

№ 89

PAMIĘTNIKI
Szymona Konopackiego

Z PRZEDMOWĄ

J. A. Święcickiego.



WARSZAWA.
DRUKARNIA
Granowskiego i Siskorskiego.
47. Nowy-Świat 47.

457/1/50.-

Zbiory specjalne



161944

Дозволено Цензурою.
 Варшава, 26 Мая 1899 года.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
 im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0176409

D-103/85

PRZEDMOWA.

Szymon Konopacki urodził się 16 października r. 1790 na Ukrainie we wsi Wołodówce, którą ojciec jego, Prokop, trzymał czas jakiś prawem zastawnem. Gdy jednak tradycja rodzinna ciągnęła ojca na Wołyń, gdzie ród Konopackich, herbu Trzaska, oddawna był osiadły, nasz Szymon, przewieziony niemowlęciem do Szulajek, położonych pomiędzy Cudnowem a Romanowem, spędził tu lata dziecińne. Kształcił się naprzód w Międzyrzecu Koryckim w szkołach pijarskich, następnie w konwiktzie ks. Dominikanów w Lubarze, pod kierunkiem księdza Wyszyńskiego i nakoniec znów w szkole międzyrzeckiej, gdzie przez swoją gorliwość w pracy i talent rymotwórczy zjednał sobie względy wyjątkowe ks. Seweryna Kulikowskiego, nauczyciela literatury polskiej i łacińskiej, a późniejszego prefekta liceum warszawskiego i tłumacza Liwiusza na język polski.

Ukończywszy w r. 1809 szkoły międzyrzeckie wstąpił Szymon do palestry żytomierskiej dla kształcenia się w nauce prawa przy głośnym wówczas mecenasie Nikodemie Szczepkowskim, a w dwa lata

później, jako młodzieniec, liczący zaledwie lat 21, wybrany został jednomyślnie podsędkiem sądu ziemskiego zwiahelskiego, który to urząd, honorowy tylko, a więc bezpłatny, był wówczas godnością bardzo poważną. Szymoń, mimo tak młodego wieku, zaszczytnie spełniał swe obowiązki, to też po upływie jednego triennium był jednomyślnie wybrany i na następne trzechlecie. Zrzekł się jednak, idąc za wolą ojca, tej godności i wyjechał do Warszawy, gdzie przyjaciel jego, poeta Alojzy Feliński, późniejszy dyrektor liceum krzemienieckiego, wyrobił mu miejsce sekretarza w komisji, wysadzonej przez Rosyę, Austryę i Prusy do uregulowania handlu i żeglugi we wszystkich prowincjach, składających Rzeczpospolitą przed r. 1772. Gdy po zwinięciu tej komisji Konopacki wrócił na Wołyń, mianowano go prokuratorem funduszków edukacyjnych liceum krzemienieckiego, po słynnym prawniku Borkowskim. Po trzech latach gorliwej i użytecznej pracy na tem stanowisku przyjął z wyboru urząd podkomorzego zwiahelskiego i spełniał go przez długie lata ku powszechnemu zadowoleniu.

Wreszcie szlachta wołyńska, oceniając wykształcenie i nieskazitelny charakter Konopackiego, powoływała go na presesa izby cywilnej wołyńskiej (1844 roku) i na marszałka powiatu zasławskiego.

„Zmęczony nareszcie długiem urzędowaniem — pisze w roku 1869 w „Tyg. Ilustr.“ sąsiad i przyjaciel Konopackiego, Tadeusz Jerzy Stecki — i obywatelskimi posługami, usunął się od nich Konopacki i w cichej wiejskiej ustroni w powiecie zasławskim, we wsi Ławrynowicach, od lat kilkudziesięciu jego

dziedzicznej, otoczony dziećmi i wnukami, gronem przyjaciół i sąsiadów, pomimo późnego wieku, z zamiłowaniem wciąż jeszcze literackiej oddaje się pracy. Wybitnie charakteryzują go, typ prawie z niego tworząc, pamięć i rzeźwość młodzieńcza, oraz ujmujący dar słowa, zwłaszcza, gdy o dawnych dziejach rozprawia. Czystość i poprawność języka, prawdziwy purytanizm w przestrzeganiu form jego, cechują w nim człowieka oddalenszej epoki. Kiedy mówi, zdaje się jakby Książnin lub Niemcewicz, z grobów powstawszy, przemawiali. Od bardzo dawna pisze *pamiętnik* swego życia, *niezawodnie ciekawy i pełen interesu*, ale to księga zamknięta, o której innym zapewne mówić kiedyś przyjdzie.“

Gdy Stecki pisał słowa powyższe, starzec prawie 80-letni, zapewne ani przypuszczał, że w 11 lat potem inny biograf Konopackiego, Eustachy Śleszyński, będzie w „Kłosach“ (r. 1881) kreślił ciepłą sylwetkę żyjącego jeszcze staruszka.

„Ożeniony w r. 1826 z Klementyną Łażnińską, podkomorzanką ostrogską — mówi biograf Konopackiego E. Śleszyński w r. 1881 — został ojcem kilkorga dzieci; a ta słodycz charakteru, ta dobroć, ta wyrozumiałość dla ludzi, ten niewypowiedziany spokój ducha, który wszyscy bliżsi znajomi w 90-letnim dziś starcu podziwiają, nadawały zawsze rozrzewniający charakter patryarchalności rodzinnemu jego kółku. Podając szczegóły z życia sędziwego naszego patryarchy, literata, pośrednika w sprawach zawiłych, urzędnika wyborowego, chciałem jedynie oddać hołd należny, czcigodnemu mężowi, którego cały żywot może służyć za wzniosty wzór cnót rodzinnych

i obywatelskich pokoleniu młodemu. *Najciekawszem bezwątpienia dziełem jego będą pamiętniki*, do których długi, a tak czynami zapełniony żywot i wielka znajomość miejscowych stosunków i ludzi obfity materiał nagromadziły."

Otóż pierwszą część tych „Pamiętników“, o których obaj wzmiankowani biografowie wspominają, przewidując, że będą one najcenniejszą po Szymonie Konopackim spuścizną, dajemy dziś czytelnikom „Biblioteki“, w przekonaniu, że znajdą w nich niemal rysów charakterystycznych do tej epoki, która jakkolwiek niezbyt odległa, jest wogóle u nas najmniej znana.

Na zakończenie dodać musimy, że Szymon Konopacki już w latach młodzieńczych pisał wiersze liryczne w duchu romantycznym, które, przedrukowane dwukrotnie w r. 1841 w jednym tomie, zjednały autorowi popularność. Prócz poezyj oryginalnych i tłumaczeń z obcych poetów, pisał Konopacki dużo rozpraw i artykułów treści historycznej i archeologicznej, rozsianych po wszystkich pismach krajowych, a także w „Encyklopedyi powszechnej“ Orgelbranda.

Najobszerniejszą pracą Konopackiego jest *Chronologia dziejów Królestwa Polskiego dla młodego pokolenia* (Żytomierz, 1860, 2 tomy z Dodatkiem). Umarł w r. 1884.

J. A. Świąciecki.

Uczucioxy pogląd na przeszłość

w lat 82.

W S T Ę P.

Mówią, że człowiek, dożywszy zgrzybiałej starości, zaczyna stopniami słabnąć na umyśle i nieznamnie cofa się do dzieciennych pojęć. Przykłady wielami stwierdzone, mogły to podać za niezbitą prawdę. Z tem wszystkiem, dwa lata już upłynęło, jak zacząłem dziewiąty krzyżyk lat moich, a wrażenia doznawane w młodości, mimowolnie w pamięci utkwione, jakby w zwierciadle odbijają się dziś w mej duszy, i żadnej nie dostrzegam różnicy pomiędzy uczuciem, niegdyś obudzonem przez rzeczywistość, a dzisiejszem jej rozpamiętywaniem. Pamięć przeto jest niewyczerpanym lat sędziwych skarbem. Ztąd w miłe wspomnienia zamożny, nie powiem z mędrcem starożytnym na tronie, że aż do cnoty, wszystko jest marnościami.

Humorystyk, Wawrzyniec Stern, ku ludzkiej ucieśze opisał sentymentalną podróż swoją do Francji i Włoch. Ja cichutko dla siebie zamierzam przebież wspomnieniami odbytą pielgrzymkę domowego życia. Utrzymam w tajemnicy przed światem ten pamiętnik najmiłszych i mniej miłych zdarzeń z sumiennym dziś o nich sądem. A jeśli jeszcze rok ja-

ki Bóg mi życie przeznaczył, odczytam to kiedyś i ciekawie badać będę, czy te same o rzeczach mniemania, jakie tu zapiszę, trwać będą i nadal. Posłuży to za wskazówkę mego postępu ku dziecięcinnej starości.

Przyjście moje na świat.

Urodziłem się za czasów Rzeczypospolitej polskiej na Ukrainie, dnia 16 października n. s. 1790 roku, we wsi Wołodówce. Wiedzieć należy, iż ojciec po skończonych naukach u Pijarów lubieszewskich i po sposobieniu się ówczesnym obyczajem do prawnictwa przy palestrze łuckiej, unikał niemiłej mu macochy, jako pieśczonej jednak z pierwszej żony mego dziada Józefa, i dlatego wymknął się z wołyńskiej odwiecznej siedziby rodzinnej, powiatu Łuckiego, na dalszą ziemię ukraińską, gdzie, mając udzielony sobie od ojca niewielki kapitał, trzymał w województwie Kijowskiem za arendownym kontraktem naprzód wieś Turbijówkę, i jako w niedalekie sąsiedztwo, dojeżdżał często do państwa skarbnikowstwa Garbowskich. Nakoniec 1783 roku ożenił się z ich synowicą, panną Ludwiką, cześnikówną żydaczewską. Przstęp do tego związku był niespodziany i przypomina wiersz Krasickiego: „Poznał Irenę, i sam się ożenił.“ Sto tysięcy złotych w złocie, licząc jak wówczas dukat po złotych osiemnaście, dał Kajetanowi Ilińskiemu, staroście żytomierskiemu, i prawem zastawy wziął od niego w siódmym procencie od swej sumy, dwie wioski: Szulajki i Racie, pomiędzy Cudnowem a Romanowem, należące jeszcze wówczas, jak i Żytomierz, do województwa Kijowskiego. W pół roku od przyjścia mego na świat przybyłem na ręku mamki z rodzicami mymi do Szulajek.

Domowe wychowanie.

Słyszałem o takich, którzy pamiętali wypadki jakoby poprzedniczego ich życia, to jest doznane przed powtórne na świat ich przyjściem. Dziwne przekonanie o wędrowce dusz ludzkich, nazwanej metamorfozą wedle wiary staro-indyjskiej, ponawia się i dziś jako główna zasada spirytystów. Nim kiedyś w swoim miejscu nadmienię o nich, przywiodę tu zdarzenie odpowiednie tej zasadzie. Ośmioletni chłopczyk, syn zamożnego domu, znanej mi rodziny, będąc z matką w Odessie, gdy tam w jednym z magazynów rozpatrywał iluminowane widoki miast włoskich, ozwał się do matki: „Mamo! ja w tem mieście byłem.“ „Tak ci się zdaje — rzekła mu — wszakże mógłbyś być tam tylko ze mną, a ja w tem mieście nigdy nie byłam; to Neapol.“ „Ja zapomniałem jak się to miasto nazywa, ale znam dobrze wszystkie te kościoły i pałace. Przypominam sobie, że w jednej tam kaplicy jest w dwóch flaszках cudowna krew jakiegoś świętego. O! znam dobrze ten Neapol, bo tam mieszkałem wprzód niż u mamy.“ Zdziwiona, ale rozsądna matka, powiedziała mu tylko: „Marzy ci się nie do rzeczy.“ Słyszałem o drugim podobnie dziwnem odrodzeniu się nie ewangelicznem, nie w duchu, lecz w ciele. Niegdyś bywałem dość często w Sławucie po zamieszkaniu w Ławrynowcach. Raz s. p. książe Eustachy Sanguszko (który umarł we wrześniu 1844 roku), mówił mi o ścisłej przyjaźni, jaką miał z pułkownikiem Józefem Poniatowskim z Tahańczy i ztąd opowiadał mi, że kiedyś Poniatowski na wzmiankę o Kamińcu, odezwał się: „Od urodzenia mego nie byłem w tem mieście, a przecież znam najdokładniej wszystkie domy, kościoły, ulice i zaułki, i mógłbym plan całego miasta zrysować.“ Książe zapytał go: „Czy tak dokładne opisanie Ka-

mieńca czytałeś?“ „Nie; ale całe to miasto z jego szczegółami utkwilo mi w pamięci z owych czasów; nim urodziłem się człowiekiem, to jest kiedy byłem kawką, i nieraz w licznych towarzystwach kawek ponad Kamieńcem przelatywaliśmy.“ Takie nieprawdopodobne urojenia mogą przecież marzyć się ludziom; a nikt z żyjących nie pomni pierwszych dni życia w kolebce. Dusza w pieluszkach śpi jeszcze i chociaż dziecku przy piersi matki zdarzają się wrażenia miłe lub wstrętne, które objawia uśmiechem lub płaczem, to przecież wrażenia lekkie, przelotne jak motylek, nie gnieźdzą mu się w umyśle, i sądu o nich niema. Organa niezupełnie rozwinięte podobne w niem są do instrumentu ze świeżo nawiązanymi strunami, którym braknie koniecznego stroju, a bez czego najbieglejszy artysta grać nie zdoła. Tym artystą w dziecku jest śpiąca dusza, która w niem czeka rozwinięcia władz umysłowych. Wychowanie przecież prawie od pierwszych dni życia zwykle się zaczyna. Z nieustannych czuwań, metodycznie powtarzanych nad dzieckiem, powstają nieznacznie stopniowane ku jego dobru nawyki. Pierwsze dzieje owego czuwania nad nami, tak machinalnie wpływowe, nie zostawiają śladów w organach mózgowych, i ztąd przeszłości niemowlęcej nikt pamięcią nie dosięgnie. Zdarzenia lat pierwszych marzą mi się jakby senne, ale daty nie wcześniejszej, jak od pięciu lat życia. Oto przywodzę sobie przybycie do rodziców moich pani skarbnikowej Garbowskiej z Ożarówki, stryjenki matki mojej, z którą nazajutrz byliśmy w cerkwi szulajkiej na nabożeństwie niedzielne. Było to widocznie za czasów trwającej tu jeszcze unii i w porze letniej, bo przed wyjazdem jadłem dużo wisien. Ubrano mnie najparadniej, w błękitny grodeturowy kontusik z czarnym aksamitnym kołnierzem i mankietami, biały kitajkowy żupan i złocisty pas z frędzlami, przypasano mi i karabelkę z drewnianą kliszą w porządnej czarnej pochwie. Słowem, tak ustro-

jonego w kompletny mundur województwa Kijowskiego, zabrała mnie babunia do swej karety. Nim zdążyliśmy do cerkwi, zbytek wisien najniespodzianie wybuchnął na jaw. Narobiłem psoty i obiciu karety białym sukniem i całej parady mojego munduru. Ten wypadek, ze względu na wiek mój, nadzwyczaj ważny, nie dał się zapomnieć. Z tychże czasów w pamięci mej zostało wejście Rosyan w okolice naszą; bo też okropnie nastraszył mnie Doniec z rudą potężną brodą i z piką w rękę, gdy zniecka wszedł do pierwszego pokoju, gdzie sam bawiłem się, ciągnąc nitką uwiązane z kart małe saneczki. W tymże roku pomnę, że dziad mój, który mieszkał w Hołuzi, w powiecie Łuckim, umarł, jak doniesiono mojemu ojcu. Było to także w pięciu moich latach, jak później przekonałem się, to jest 1795 roku. Wrażenie o tej śmierci dostrwało ztąd w mej pamięci, że się wymykał przed służącą mojej matki, która kazała zdjąć ze mnie czerwoną, po letnim ubraniu opasującą mnie wstążkę, a opasać czarną, i gdy schwycony, upornie wzbraniałem się, to służąca, panna Przeorska, pokazała mi w drugim pokoju ojca mego nad listem z Hołuzi i szepnęła mi w ucho: „Widzisz, że tatko płacze, bo twój dziadunio umarł, i teraz wszyscy tu nosić będą ten czarny kolor.“ W jesieni tegoż roku pamiętne są dla mnie urodziny młodszego o lat pięć odemnie brata, ś. p. Franciszka, który lat temu dziewięć najniewinniej oskarżony przez niegodziwego człowieka, we wsi własnej Gizewszczyźnie, za wypadki w 1863 r., do których osobiście bynajmniej należeć nie mógł, umarł w Żytomierzu, następnego 1864 roku. O boleści ztąd mojej, tajonym przedemną zgonie mego kochanego brata, obszerniej napiszę, jeśli pilnując lat kolei, dożyję tej daty. O przyjeździe na świat ś. p. Franciszka łatwo mi było pamiętać ztąd, że gdy księdza przywieziono, a nie było naprędce kuma, ja z ciotką moją, Wiktoryą Budzyńską, trzymałem go do chrztu, to jest kazano mi dotykać ręką poduszki podtrzymy-

wanej przez ciotkę, gdzie trzydniowy braciszek mój leżał. Była to wielka dla mnie uroczystość, zwano mnie bowiem chrzestnym ojcem Franusia. Kochałem go też zawsze jakby podwójnem uczuciem, i on mi pocziwie dowodził przez całe życie niezachwianego braterskiego przywiązania.

Miałem, zda się, już lat sześć, gdy kochana matka zaczęła uczyć mnie abecadła. Jej pracy nademną winieniem naukę czytania i pisma; a chociaż całego rodzeństwa było nas pięcioro, nie pojmuję, czemu dziś nie pamiętam, kto uczył początkowo starszego o lat pięć brata mego, ś. p. Antoniego, i starsze ode mnie dwie siostry moje: ś. p. Anastazyę, która w późnym wieku umarła panną 1864 roku, i ś. p. Katarzynę, która była za Stanisławem Duninem. Własną tylko początkową naukę dobrze pamiętam, jak nieraz siedząc przy matce za stolikiem nad elementarzem, patrzyłem chciwie okiem na jabłko lub gruszkę tuż przedemną, do których nie miałem prawa aż naznaczone kilka wierszy bez omyłki przesyłabizuję.

W skończonym roku siódmym dobra matka sposobiła mnie sama do spowiedzi. Mieliśmy w tym celu jechać o milę od nas do wsi Michałówki, gdzie mieszkała matka Wojciecha i Antoniego Budzyńskich, wdowa, lubo na twarzy zgrzybiała staruszka, jednak zawsze wyprostowana, wzniosłej postawy, w ubiorze Karmelitanek, stolnikowa Budzyńska. Wierną jej była rezydentką panna Paszkiewiczówna, podobnie staruszka. Przy dworze, pod tymże dachem, była kaplica i tuż pokóik, gdzie mieszkał stary kapelan Dominikanin, ksiądz Ludwik. Przed naszym tam wyjazdem matka moja jeszcze mi powtarzała, co to jest spowiedź i jak rzetelnie mam jej dopełnić; dla próby zaś, czy pamiętam, co trzeba mówić, przystąpiwszy do konfesjonału, kazała mi przeżegnać się i mówić głośno, jak mnie nauczyła. Spełniając ten rozkaz, zacząłem od krzyża świętego: „Miąca i syna.“

— Co ty gadasz? — zawołała matka. — Mów:

w imię Ojca! — I obszernie zaczęła mi tłumaczyć tak jasno, tak do pojęcia, co to jest Bóg wielki, a pełen dla nas dobroci, który pozwala mianować się Ojcem naszym, że od tej chwili umysł dziecinny, już cokolwiek rozwinięty, schwycił na wiek cały niezachwiane dotąd prawdy wiary naszej. Łotrowało się też czasem odpowiednio temu wiekowi. Gdy się zdarzyło silniej jakąś psotą zawinić, matka natychmiast dała mi to uczuć, nie wzywając mnie pieszczotliwie „Szymciu“, ale temi słowy: panie Szymonie! To „panie“ było dodawane dlatego pewnie, aby nie myślano, że matka wzywa furmana, który miał moje imię. Raz pomnę w czemś przewiniłem i mało dbając, co na to kto powie, bawiłem się na dworze obdzieraniem z kory laseczki tylko co ściętej w ogrodzie.

Wezwany tak ostrym sposobem, zastałem matkę z dyscypliną. Skoro na progu stanąłem, wzięła mnie za rękę i zaczęła owemi rzemykami smagać mnie po plecach, a ja, jakby żartując z tej kary, podobnie dotykałem zlekka laseczką po plecach matki, i tak dwa lub trzy razy okręciliśmy się w kółko. Zrazu uśmiechnęła się tylko. Ale raptem przybrawszy twarz surową, rzekła: „A to tak pamiętasz z katechizmu przykazanie Boże: czcij ojca i matkę twoją! Nie zapomnij-że spowiadać się z tego, bo jeśli nie wyznasz przed księdzem, żeś rękę podniósł na matkę i jeśli nie dopełnisz za to pokuty, to kiedyś Bóg cię może ukarać, że nie doznasz uszanowania od swoich dzieci.“ Gdyby kochany ojciec był nadszedł na tę scenę, pewniebym uczuł silniejszą jego rękę przy użyciu tej dyscyplinki.

Oboje rodzice nasi byli nadzwyczaj pobożni, i zarówno kochając nas pięcioro bez żadnej różnicy, wzorowem, chrześcijańskim życiem, religijne wpajały uwagi. A ileż to troskliwości o nas! ile nieraz kłopotów przynosił mi!

W owych siedmiu latach życia okropną miałem

przygodę. Było to zimową porą. Szczęściem dla mnie, nadjechała z Wyszczykus ciotka moja, Wiktorja Budzyńska. Wedle tej pory ubrany byłem w bajowy niebieski surducik, u którego z przodu ostatni guzik, bają obszyty, w części był wytarty, tak, że z pod obszycia drewniany wyglądał guziczek. Zachciało mi się wydobyć go do reszty z bai. Dochwytawszy w garderobie szpilki, zacząłem sam jeden w pokoju dłubać nad tą robotą z otwartą gębą. Potrzeba nieszczęścia, że mi szpilka z ręki przysnęła prosto w gębę. Sądząc, że upadła na ziemię, schyliłem się, aby ją odszukać, ale raptem uczułem, że mnie silnie ukuła w gardło. Krzyknąłem na to z płaczem. Matka moja z ciotką wbiegły z drugiego pokoju. Opowiedziałem, jak można było przy bólu, co się stało. Na to matka przerażona cofnęła się, załamawszy ręce, i w drugim pokoju, szybko chodząc, głośno wzywała: „Święty Antoni, ratuj!” A ciotka, nie tracąc przytomności, całą swą rękę włożyła mi w gębę, i nie mogąc schwycić szpilki, aby ją wydobyć, pchnęła ją dalej, tak, że wyszła mi z gardła pewnie główką w głąb dalszy. Już nie kole, zawołałem uradowany, i ujrzałem na pocziwej ręce wydobytej z mojej gęby, dość głębokie a prawie krwiste znaki od moich zębów. Bóg dobry uchronił mnie od złego następstwa z tej szpilki.

W siódmym roku lat moich zjazd u nas był nadzwyczaj liczny w dniu imienin mojej matki, to jest dnia 25 sierpnia 1797 roku. Przybyli spodziewani i niespodziani goście z dalszych nawet okolic, mnóstwo krewnych i przyjaciół, ojciec mój bowiem obszerne miał po Wołyniu stosunki. Na tenże dzień był wezwany eks-prowincyał zakonu Dominikanów, powszechnie poważany przeor klasztoru lubarskiego, ksiądz Dominik Wyszyński, dla ochrzczenia z ceremonii trojga nas razem: siostry mojej Katarzyny, mnie i brata mego Franciszka, jeszcze wówczas na rękę mamki. Ten cały balik z tańcami, a mianowi-

cie obrzęd chrztu z ceremonii przy zapalonych w dzień światek, mocno mi utkwiał w pamięci. Któżby uwierzył, że niezatarta pamięć o tym tak uroczystym obrzędzie, w lat blisko czterdzieści później stała mi się jedyną pomocą do otrzymania dekretu z Heroldyi, kiedy oboje rodzice moi już dawno nie żyli. Wyjaśnię to pod właściwym temu dekreto wi rokiem, jeśli dożyję do opisu owej daty.

Powtarzały się dość często podobne zjazdy w cichych dziś Szulajkach, a to bądź w dniu imienin mojej matki, bądź w dniu 4 lipca, na imieniny mego ojca. Trudno wyrazić, jak raz mocno byłem zdziwiony, gdy w lat kilkadziesiąt po śmierci rodziców moich znalazłem w „Dzienniku Warszawskim” z 1863 roku pod N. 122 artykuł: *Gderania pana Podstolego*, z podpisem Michał J., gdzie pan podstoli zaczyna od tych wyrazów: „Niedawno znajdowałem się na imieninach pana starosty Konopackiego.” I dalej opisując zjazd liczny tak poważnych wiekiem obywateli, jako też młodzieży, nadmieniam, że: „po serdecznych uściskach, powitaniach, bawiliśmy się poważną rozmową, nie brakło wątku, gdyż w parę tygodni następowały żytomierskie wybory¹⁾; było więc o czem pomówić, zastanowić się i obradzić etc. etc.” Następnie wychwala dawną szczerą gościnność szlachecką, a gderze aż do końca na pochwycone przez młodzież obyczaje nam niewłaściwe z zagranicznych wzorów. Na tych u mego ojca w lipcu, w dniu jego imienin, zjazdach, zwykle liczniejszych co trzy lata, oprócz życzliwości dla solenizanta, było istotnie ważnym dla Wołynian przedmiotem naradzanie się względem obioru obywateli na wyższe urzędy, jako to na marszałka gubernialnego, na prezesa głównego, jak wówczas, sądu obu departamentów i na deputatów, w nich zasiadających. Ojciec mój, połączony

¹⁾ Wybory wołyńskie odbywały się zwykle w lipcu, a od roku 1838 zaczęły odbywać się w maju.

z wielu współziomkami bądź powinowactwem, bądź przyjaźnią, czynnie i przeważnie wpływał do tej nara-
dy. Nieraz też i w Żytomierzu, wśród agitujących
się wyborów, gdzie już ja nietylko wotowałem z lu-
ckiego i nowogród-wołyńskiego powiatu, ale powiato-
wym już byłem urzędnikiem, patrzyłem na to, jak
ojciec mój odbierał wizyty bogaczy, zalecających
się daremnie do któregoś z naczelnych w gubernii
urzędów. Ale anachronizm „Gderania pana Podsto-
lego“ tak mnie zaintrygował, że z odezwą moją
o rozwiązanie tej zagadki udał się natychmiast do
szanownego, w Warszawie mieszkającego, senatora
Skibickiego, który uwiadomił mnie raczył, że autorem
powyższego artykułu jest pan Michał Jezierski.
Nowe zdziwienie! Wiem bowiem najdokładniej, że
ten zaszczytnie znany z pism swoich literat nigdy
nie był w domu ojca mego, ani też nie jest znany
nikomu z rodziny naszej. Ktoś tylko z okolicy na-
szej mógł wystawić przed nim dom mego ojca, jako
typ szlachecki, pozostały z czasów, kiedy szanowano
jeszcze krajowe nasze obyczaje. Za ten obraz domu
rodziców moich, z całą rzetelnością zdjęty, szczerą
autorowi wdzięczność dochowuję.

Okolo lat ośmiu umiałem już czytać i w dwóch liniach jako tako pisać, gdy w Wyszczykusach wujostwo moi, Budzyńscy, przyjęli do swej dziewięcioletniej córki, Zuzanny, nauczyciela, pana Szostakowskiego, i skłonili rodziców moich, aby nas troje, to jest moje dwie siostry i mnie, przywieziono tam dla pobierania łącznie z ich córką nauki. Pamiętam tylko, że więcej tam było zabawy, niż ślęczenia nad książką. Pan Szostakowski rysował bukiety, nawodzone wodnemi farbami, i coraz nowe rozdawał nam czworogu, a my w zachwycie nad tą sztuką, podziwialiśmy czerwone i niebieskie kwiatki. Nie więcej jak w pół roku, rodzice zabrali nas z Wyszczykus, bo zdarzył się Francuz, a moda pomiędzy obywatelstwem już

wówczas krzyczała na gwałt o języki obce, mianowicie francuski.

O trzy wiorsty od moich rodziców, we wsi Stol-
powie, mieszkała natenczas księżna Ponińska. Ojciec
mój dowiedział się, że z powodu wyjazdu jej zagranicę,
oddalony nauczyciel Francuz, szuka miejsca. Wezwał
go więc słownie przez posłańca. Przybył natychmiast
pan Desleury, emigrant, rojalista z rozłokowanej około
Dubna armii Kondeusza. Starzec ten ośmdziesięcioletni,
błysiały, jednołki, wcale nie udawał, jak wielu wów-
czas z jego rodu, ani hrabiego, ani też wielkiego
mędrca, z upodobani zaś jego wnosić wypada, że na-
leżał do profesyi ogrodników, bo celował w umięt-
ności szczepienia drzew owocowych, pielęgnowania
szparagów, wybornej salaty i słodkiego, olbrzymiej
wielkości grochu; a w obyczajach prostakiem był zu-
pełnym. Po dość trudnem porozumieniu się z nim
ojca mego, bo Francuz mało znał wyrazów polskich,
a po łacinie nie umiał, językiem zaś jego nikt jeszcze
u nas nie mówił, przyszło jakoś do ugody, przy któ-
rej zastrzeżona była nauka dla nas trojga i dla cio-
tecznej siostry naszej, Zuzanny Budzyńskiej. Pomnę,
że przy umowie ojciec mój zrobił uwagę, iż dzieci
będą miały trudność wielką ztąd, że one jego, a on
ich rozumieć nie może. Francuz uśmiechnął się na
to i powiedział: — Dobra, dobra! no prosilem. — Po-
łożył tabakierkę na dalekim stoliku, odszedł od niej,
usiadł i ozwał się do mnie, wskazując na stolik:—
Simon! donnez moi ma tabatière.— Łatwo się to zro-
zumiało wskazaniem na stolik, wyrazem *donnez*, po-
dobnym do „daj“ i *tabatière*. Francuz w tryumfie
ucalał mnie, gdym podał mu tabakierkę. Z tem
wszystkiem pobożny ojciec nasz w obawie, aby cu-
dzoziemiec nie zachwiał w nas położonych już zasad
religii, doradził mu ku przedszemu pojęciu języka je-
go, aby rzecz przez nas najlepiej po polsku pamię-
tana, to jest *Ojciec nasz*, najpierwej codziennie przed



lekcyą mówił nam głośno po francusku, a my gdy tę modlitwę za nim powtarzać będziemy słowo po słowie, to znany nam pacierz może ułatwić pojęcie języka. Francuz uznał słuszość tej rady; ale później wyśmiewał przed nami codzienne godzinki, które po lekcyi porannej przed obiadem zwykle odmawialiśmy z rodzicami.

Przybyła do nas cioteczna siostra nasza, Zuzia, więc we czworo zaczęliśmy brać lekcyę, zaczynając zawsze od *Notre Père*. Po jego dyktowaniu z pamięci pisaliśmy w dwóch liniach potoczne, Bóg wie jakie, rozmowy francuskie. Szło to z początku z wielkim jego i naszym kłopotem, bo musiał prawie ciągle dyktować literę po literze; ale po trzech miesiącach takiej pracy już umieliśmy niektóre wyrazy bez jego przewodnictwa dość trafnie po ich wymówieniu napisać, chociaż wiele wyrazów nie rozumieliśmy w tych rozmowach. Ojciec mój, dowiedziawszy się o tem, nabył od sąsiada dykcyonarz Trotza w czterech tomach w skórę oprawnych, które dotąd są u mnie.—Szanujcie dzieci te książki—ojciec mój mawiał—bo drogie; zapłaciłem za nie cztery czerwone złote.—Ile ten Francuz przynosił przykrości moim rodzicom, ile dał do przetrwania w cierpliwości przez miłość dla dzieci, opisałem to w jednym z pięciu listów, drukowanych w „Dzienniku Warszawskim.”

S z k o ł y.

W dziesiątym roku życia mego już płynnie czytałem po polsku i niezłem pisał; a przez dwa lata ciągle i nieodstępnie obcując z Francuzem, który mnie pieścił i z upodobaniem nauczał, mogłem już jako-tako rozmówić się w jego języku i niemylnie czytać. Brat mój starszy, Antoni, zostawał wówczas

nadal w konwikcie księży Karmelitów berdyczowskich przy publicznej ich szkole, gdzie razem byli młodsi dwaj synowie szwagrów mego ojca, Marceli, syn Wojciecha i Ignacy, syn Antoniego Budzyńscy; a gdy ich ojcowie odebrać mieli ztamtąd i odwieźć do Lwowa, gdzie starsi ich synowie, Kazimierz i Mikołaj, byli na nauce, ojciec mój, pomnąc o Pijarach, u których w Lubieszowie brał niegdyś wychowanie, skłonił szwagrów swoich do oddania tych młodszych synów do konwiku Pijarów międzyrzeckich. Jakoż w roku 1800, w końcu sierpnia, Antoni Budzyński odwiózł do Międzyrzecza syna swego Ignacego i synowca Marcelina w towarzystwie ojca mego, który i mnie malca postanowił już oddać do publicznej szkoły. Umieszczono nas w konwikcie na piętrze, gdzie po licznych celach, w każdej pod nadzorem profesorów, było nas wszystkich 54. W tychże murach na dole było sześć klas i parwa. Cała ta szkoła publiczna miała wówczas mieszczących się po dworach, pod dozorem panów dyrektorów (korepetytorów), licząc z konwiktorami, czterystu kilkudziesięciu uczniów. Ksiądz Kociurzyński był rektorem, ksiądz Damczewski, matematyk, był prefektem, a regensem konwiku był ksiądz Żebrowski, u którego my trzej mieliśmy wygodną kwaterę w towarzystwie kilku innych, a to w sali ogromnej, na komórki podzielonej deskami oszalowanymi. Ja miałem na łóżko moje komórkę wspólną z ciotecznym bratem moim Ignacym Budzyńskim, starszym odemnie o lat kilka, który się mną opiekował. Obok nas miał swoją miluchny i powszechnie już wówczas kochany dziesięcioletni Jakób Cichoński, który na biedę, zajmował ją łącznie z Marcelim Budzyńskim. Jak ogień z wodą, nigdy się zgodzić nie mogli. Obaj Budzyńscy byli przyjęci do czwartej klasy. Nie pojmuję jak się to stało, ponieważ wielka musiała być różnica pomiędzy nimi co do postępu w naukach: Marceli o wiele nie wyrównał Ignacemu. Ja, początkujący,

byłem w pierwszej klasie, gdzie się uczył gramatyki Kopczyńskiego, że „różni się ludzie od zwierząt rozumem i mową,” i moralnej nauki: „Gdy się sparzysz od ognia.” Cichoński, więcej niż ja przysposobiony w małej szkółce Misyonarzy zaślawskich, chodził już do klasy drugiej i wzorowo, jak zawsze, się uczył. Nie dziwiono się więc ciągłym sporom pomiędzy nim a Marcelim Budzyńskim, który często zaniedbywał lekcję, a nieraz pod pozorem zajęcia we właściwej porze do klasy wymykał się z fuzyjką pod płaszczem na ptaszki, za co ksiądz Żebrowski, schwyciwszy go na tem zboczeniu, uwolnił go wprawdzie od kary, jako po raz pierwszy, ale mu fuzyję skonfiskował.

Lecz któryż z mędrców świata nie podlega jakiegobądź słabostce? Ksiądz regens obok naszej sali w osobnej stancyi o drzwiach do nas otwartych, grywał na skrzypcach, z widocznym zamilowaniem swej jakoby biegłości, i ani się domyślał, że to rzępolenie raziło nam uszy, a jakby niedość nam na tem, Marceli, ów winowajca, brał u muzyka z palacu pana Steckiego początkowe lekcye na tym instrumencie. Pamiętam, że on raz cichaczem stanawszy za regensem, w milczeniu słuchał gry jego, i po ciężkim pasażu, po skrzypieniu słuch kaleczącym, nie mogąc jakoby utać swego uniesienia, ozwał się za nim: — Cudnie, przecudnie! — Regens obraca się i z przymileniem rzecze mu: — Widzę, że ty chłopcze, umiesz poznać i czuć piękność muzyki; no, kiedy tak, to ci zwracam zato twoją strzelbę, ale schowajże ją na zawsze, bo surowo ukarzę cię, jeśli się kiedy z nią wymkniesz. — I wszedłszy do swej garderobki, wyniósł konfiskatę i oddał mu ją. A Marceli po niejakiem czasie w zmowie z podobnym sobie, zrów cichaczem na ptaszki polował. Mój zaś opiekun Ignacy Budzyński był celującym w konwikcie tak z nauki, jako też z obyczajów, i w nagrodę tej nad wszystkimi przewagi, otrzymał gwiazdę wielkości dłoni, atla-

sową w błękitnym kolorze, z promieniami o hacie złotym, gdzie pośrodku był złotem wyszyty napis: *Dux juventutis* (Wódz młodzieży). Do tej dystynkcji mieli przystęp sami tylko konwiktorowie.

Z liczby ówczesnych kolegów moich zasięgam pamięcią najprzód mieszkających z nami pod okiem regensa: wspomnionego wyżej Jakóba Cichońskiego, Erazma Przebyszewskiego, Zarębę, chodzącego o kuli, Kazimierza Bętkowskiego i Seweryna Zborowskiego z młodszym jego bratem. Z innych stancyj konwiktu pozostali mi w pamięci: Karol Szwiejkowski, Adolf Dobrowolski, Leon książę Czetwertyński, Kalikst Starzyński, Kazimierz Kaczkowski, Gawroński i Kazimierz Zawadzki. Oprócz tu wymienionych, wielu z reszty fizyognomie jeszcze nie zatarły się w pamięci, lecz nazwiska ich już dla mnie na zawsze zginęły.

Co do nauki wówczas mojej, pomagał mi wiele brat mój cioteczny, ów udekorowany „Wódz młodzieży,” a errata codziennie w klasie poświadczała, że się zaliczałem do pilnych. Lecz ku końcowi kwartału skrofule tak mnie silnie nacisnęły i takie miałem wyrzuty w ogromnych pryszczach po twarzy i na głowie, że doktor, zwykle wzywany do konwiktu, Babel, który później zamieszkał we Lwowie, a natenczas domowym był lekarzem dziedzica mieszcowskiego, Jana Steckiego, chorążego w kor., polecił regensowi, aby mnie nie obarczano nauką. Do tej biedy przyłączyło się przy ciągłych lekarstwach i osłabienie do tego stopnia, że więcej bywałem w łóżku, niż na nogach.

O pięć mil od Międzyrzecza mieszkała we wsi Krzewiczach wdowa, wujenka mego ojca, pani Peretiatkowiczowa, z trzema już dorosłymi córkami: Antoniną, Benigną i Teklą. Zmarły mąż tej wdowy, Tomasz, był rodzonym bratem matki mego ojca, Antoniny z Peretiatkowiczów Józefowej Konopackiej. Staruszka ta wielką tchnęła przychylnością dla moich

rodziców, a dowiedziawszy się z korespondencji od nich, że mnie oddano do konwiktów Pijarów razem z krewnymi moimi dwoma Budzyńskimi, odniosła się naprzód do moich rodziców, aby nas mieć w swoim domu na zbliżających się świętach Bożego Narodzenia, a we właściwym na to czasie przysłała ogromne zbudowanie, aby mnie i dwóch krewnych moich zabrać do Krzywicz. Ja, jako wówczas cokolwiek zdrowszy, przechadzałem się już. Doktor jednak nie radził narażać się na mroźne powietrze z opryszczonej twarzy. Ksiądz regens na odebrany list od pani wojskiej z Krzywicz odpisał, donosząc jej, dla jakich powodów jechać nie mogę, a zezwolił na tę podróż Budzyńskim. Po latach kilkunastu dowiedziałem się tam, że opieszały w naukach Marceli zbyt skore okazał usposobienie do miłości, bo w Krzewiczach szalenie zakochał się w pięknej pannie Benignie, która w lat kilka później wyszła za Wicentego Postruskiego, chorążego rowieńskiego.

W początkowych miesiącach 1801 r., gdy znacznie pocieplano, mój ojciec zawiadomiony, że jeszcze nie chodzę do klasy, przybył i zabrał mnie do domu z twarzą okropnie przez wyrzuty oszpeconą. Matce mej zdawało się, że te wyrzuty cierpiał ztąd, iż w niemowlęctwie miałem nie więcej, jak tylko dwa pryszczki ospy naturalnej, a szczepienie jej nie było jeszcze w użyciu. Nie spełnia więc pół roku byłem tym razem w szkołach Pijarów międzyrzeckich.

W domu, troskliwi rodzice moi nie chcieli ryzykować zdrowia mego na próby doradzanych środków i postanowili szukać rady doktora Menicha w Lubarze, o trzy mile od nas, który się odznaczał bardzo liczną praktyką i z niej do takiej przyszedł zażyłości, że już zaczął być murować ów o piętrze pałacyk nad Sluczą, który stał się dziś godną rezydencją dziedziczki Lubaru, pani hrabiny Wodzickiej, z domu Karwickiej z Mizocza. Ojciec mój powołał mnie do pana Menicha, przyrzekł mu pewne wynag-

rodzenie, najął dla mnie stancję i wikt u znanego sobie starca, chorążego byłej kawalerii narodowej, pana Bagińskiego, gdzie doktor pysznymi koźmi, w pięknej karyolce codziennie mnie wizytując, tak skutecznymi poit miksturami, że po kilku miesiącach i twarz mi się oczyściła i zupełne odzyskałem zdrowie.

W temże miasteczku Lubarze był w klasztorze Dominikanów, wspomniany wyżej, a poważany w całej okolicy ich przeor, zasłużony zakonowi tego prowincjał, ksiądz Dominik Wyszyński, który pod koniec mego tam przebywania po kuracji, naradziwszy się z ojcem moim, z marszałkiem powiatu Żytomierskiego, Marcinem Bukarem, mającym wówczas małoletnich dwóch synów, Jana i Adama, i z kilku innymi z okolicy obywatelami, postanowił otworzyć konwikt pod swoją inspekcją, w murach na to dostatecznych, tuż obok klasztoru, gdzie za roczną opłatą pięćdziesięciu dukatów od osoby mają być udzielane nauki wedle programu szkół publicznych. Do spełnienia tego zamiaru księdza Wyszyńskiego najchętniej dopomogli mu obywatele. Rychło potem wezwał znanego sobie niegdyś z akademii krakowskiej, pana Daszkowskiego, na prefekta konwiktów, wyszukał Francuza i Niemca nauczycieli tych obu języków, a do wykładu matematyki, fizyki, historii, literatury polskiej, byli w klasztorze Dominikanie do dawania nauk dość usposobieni; niektórzy z nich bowiem przybyli z Litwy i kończyli nauki w owoczesnej akademii wileńskiej. Otworzył się konwikt przy Dominikanach lubarskich 1802 roku, a pierwszymi od jego założenia uczniami byli dwaj Bukary, synowie Marcina, i ja trzeci. W przeciągu kilku tygodni wzmożła się liczba naszych towarzyszy do trzydziestu kilku; wielu bowiem odbierało synów swoich ze szkół berdyczowskich i tuż obok z publicznej szkoły Bazylianów lubarskich, aby ich w naszym konwikcie umieścić. Wedle postępu w nauce, jaki kto z nas okazał, do

odpowiedniej przeznaczono go klasy; ja z Bukarami należeliśmy do pierwszej. Lecz wkrótce młodszy Bukar, Adaś, obłożnie zachorował. Ojciec jego, nie porzysztając na miejscowym doktorze Menichu, przysłał domowego od siebie lekarza, Michalka, głośnego później empiryka, który się nazwał Wojciechowskim. Wspomnę o nim niżej. Ale i ten, pomimo przyznawanej mu, a nabytej z praktyki biegłości, nie pomógł mu i miły Adaś, w samej jutrzence życia, zgasł pomiędzy nami. Po tym wypadku, starszy brat jego, Jan, zabrany był z konwikt do innej szkoły publicznej.

Prefekt nasz, Daszkowski, stał mi się z wdzięcznością pamiętnym od lat dwunastu życia mego dotąd, dlatego jedynie, że nauki poranne klas wszystkich codziennie zaczynały się od modlitwy, którą on, starzec ołysiały, klęcząc na czele nas klęczących, donośnym głosem odmawiał, a my za nim słowo po słowie powtarzali. Ta piękna modlitwa, zaczynająca się od wyrazów:—Boże mój, wierzę w Ciebie, wzmoćnij moją wiarę!—stała mi się, jak *Ojciec nasz*, nauczony przez matkę, jakby konieczną potrzebą mej duszy; i lubo dość długa, codziennie odmawiam ją przy pierwszym ocknieniu się ze snu, a to od owej daty przez całe lat 70. Niech mu za tę modlitwę Bóg wiekuistym szczęściem nagrodzić raczy! Po skończonym roku, Daszkowski, dla niewiadomej nam malcom przyczyny, opuścił nasz konwikt. Ja zaś byłem w nim ciągle lat cztery. Niektóre tam wypadki pamiętne wspomnieć tu należy. Zdarzały się w tym konwikcie nieporządki wynikłe z pobłażania starszym uczniom, zwłaszcza familii bogatszych. W klasie pierwszej, Niemiec Sztrejł, oprócz swego języka, był nauczycielem łaciny. W czasie tej jego lekcyi, raz wszedł z czwartej klasy konwikt, Aleksander Maszkiewicz, w poufalach żyjący stosunkach ze Sztrejtem. Zasiadł pod piecem z fajką na krótkim cybuzku i w milczeniu słucha, jak który z uczniów umie

swoją lekcyę. Ja stałem obrócony plecami do niego i później dowiedziałem się, że mrugnienie jego na profesora, ściągnęło karę na mnie. Byłem ubrany jak to pamiętam, w bardzo opięte spodnie. Pan Sztrejł zapytuje mnie, jak słowo *amo* będzie w czasie przyszłym? Niedobrze to pojąłem, czy o przeszłość, czy też o przyszłość bada, i zacząłem bąkać jak nieświadomy. Na mrugnienie żartownisia Maszkiewicza profesor ozwał się:—Weźcie go!—Maszkiewicz porywa mnie za nogi, drugi z rozkazu Sztrejłta za głowę i położonego ściągnął mnie silnie kańczuczkiem, nie grubszym od pióra gęsiego, lecz który tak przyłgnął do opiętych spodenek, że po dwóch uderzeniach spadłem ze stolka omdlały; może wpływał na to i przestrach niedotkniętego dotąd żadną karą. Ale przytomny a okrutny na skórę polską Niemiec wnet znalazł ratunek.—Weźcie go znów!—krzyknął; i gdy silnie trzy razy tymże kańczuczkiem mnie uderzył, już nie spadając ze stolka, stanąłem na nogach rzewnemi zalany łzami. Pierwszy to i ostatni raz, aż do zupełnego wyjścia mego ze szkół, tak mnie ukarano.

W lat kilkanaście później, już po dwóch odbytych przezemnie urzędowaniach, byłem w r. 1819 na kontraktach kijowskich. Tam w klubie zbliża się do mnie figura wysokiego wzrostu, w niedźwiedziach, wychudłej a bladej twarzy i poufale wita mnie temi słowy:—Jak się masz, mój kochany synu!—Zdziwiony tym wyrazem „synu“ od osoby mi nieznanej, powiedziałem mu:—Pan się mylisz, bo nie jesteś moim ojcem. — Och, Boże mój! nie wypieraj się mnie! Toż przecie pamiętasz pewnie, jak cię do chrztu trzymałem, gdy Sztrejł dopełniał tego obrzędu.—Aleksander Maszkiewicz? — zapytałem — Rzuciliśmy się sobie w objęcia, nie zdradzając, że to on był przyczyną ówczesnych gorzkich łez moich. Maszkiewicz natenczas, gdy w Kijowie ujrzał, był tam prezesem sądu głównego wydziału kryminalnego. Po całych

nocach w karty grywał, jak mi mówiono, i ztąd blady, wynędzniały, wyglądał jak dezterter z katafalka. Lecz później grać zaprzestał, skoro w r. 1827, w Karlsbadzie grając w wista, wygrał od bankiera wiedeńskiego 25,000 dukatów. Ale nie dość na tem, był on wyraźnie ulubionem fortuny dzieckiem, upodobał go sobie bezdzietny, zda się, dziedzic Tetiowszczyzny na Ukrainie, bogaty Potocki, i ten majątek wypuścił mu jakby w arendowną posesyę, z warunkiem, aby odsyłał mu za granicę corocznie dziewięć tysięcy rubli srebrem, gdy inwentarz wykazywał dochód większy niż dwa razy tyle, a po śmierci dziedzica posesor miał się stać dziedzicem Tetiowszczyzny. Taka transakcyja weszła z przyznania do akt sądowych. Stary Potocki po dwóch latach umarł za granicą, a Maszkiewicz został panem milionowym; lecz jako po nieżonatym, a przeto bezpotomnym, majątek jego dostał się sukcesorom jego siostry, która była na Podolu za Darowskim, podobno za owym głośnym z dekretu swego sędzią powiatu Kamienieckiego, o którym dla pamiątki wypada w treści nadmienić. Do owego dekretu sędziego Darowskiego dał powód następny wypadek. W Kamieńcu — w rynku, był właścicielem porządnej o piętrze kamienicy, kupiec Ormianin, już niemłody, a ożeniony z młodą i piękną Ormianką; na dole, gdzie kupiec najczęściej przesiadywał, był jego magazyn, a piętro było ich mieszkaniem. W tej kamienicy przeznaczono kwatere dla młodego, z pułkiem przybyłego, oficera. Po kilku dniach dobrze wychowany oficer czuł się w obowiązku oddać wizytę gospodarzowi. Od obojga uprzejmie przyjęty, powtarzał niekiedy wizyty i bywał przyjmowany w nieobecności nawet gospodarza. Lecz raz, a było to letnią porą, kiedy okna na piętrze były pootwierane, kupiec dla jakiejś pilnej potrzeby, wychodzi z magazynu swego w niezwyklej porze na górę, i ujrzał... o zgrozo! młodego oficera na klęczkach przed jego żoną. Gwałtownie opanowany za-

zdrością, a barczysty i silny Ormianin, porywa wątych składów oficera i wyrzuca go przez otwarte okno na ulicę. Spada biedny oficer, niby anioł potępiony, z raju do piekła! Lecz w upadku na ulicę trafia na przechodzącego włościanina i sam przez to bez najmniejszego szwanku ocalony, łamie nogę biedniejszemu przechodniowi. Wytacza się rzecz do policyi. Włościanin wzięty był natychmiast pod opiekę lazaretu. Idzie o sądowe wynalezienie winowajcy. Sąd powiatowy rozwiązywał takie sprawy wedle praw polskich, które w naszych Zachodnich guberniach trwały aż do roku 1842. Ta pierwsza instancya dawała w podobnych wypadkach opinię, a sąd główny pierwszego departamentu ją potwierdzał lub też zmieniał. Po ścisłym śledztwie i przejrzeniu odpowiednich praw i ukazów, sędzia Darowski wywindykował następną opinię: — Ponieważ wedle ukazu Piotra I, pod takim-to rokiem, każdy mieszkaniec miasta, mając wyrzucać z piętra przez okno sprzęt mu niepotrzebny, powinien do przechodzących ulicą głośno potrzykroć zawołać: „Strzeżcie się, strzeżcie się!” a z wyprowadzonego śledztwa okazuje się, że powyższy kupiec Ormianin nie dopełnił tego postanowienia, przeto za sprzeciwienie się prawu ma zapłacić sztrafu rubli asygnacyjnych 25 i oprócz tego nie tylko ponieść koszt wszelki na kuracyę leżącego w lazarecie skaleczonego włościanina, lecz razem wynagrodzić mu stratę czasu odjętego zarobkom, jego stanowi właściwym. Oficer zaś wymieniony wyżej, nie samowolnie spadły na ulicę, a mocą Boga uchroniony od wszelkiego szwanku, nie ma być pociągany do odpowiedzialności za złamanie nogi włościanina, na którego upadł.“

Ta sędziego opinia, jak świadczy pismo publiczne w obcym języku za granicą drukowane, po apelacyach przez kupca Ormianina, zanoszonych do coraz wyższych jurydykcyj, przeszła przez sąd główny, przez senat, aż do najwyższej władzy; i cesarz

Aleksander I własnoręcznym podpisem raczył tę opinię w stanowczy dekret zamienić.

Ale rozgadawszy się o tak niepospolitym wypadku, za daleko odstąpiłem od pierwszej klasy konwiktów lubarskiego, od bolesnej tam mojej pierwszej i ostatniej w szkołach przygody, jaką przyniósł mi przez swawolę szwagier sędziego Darowskiego, Aleksander Maszkiewicz. Lecz Bóg dobry na szali swej sprawiedliwości każde złe wynagradza dobrem. Szlachetne współczucie, jakie po tej w dziecinnych latach przygodzie okazał mi kolega i rówieśnik mój w tej klasie, świętej a nieodżałowanej pamięci Józef Bobrowski, zawiązało pomiędzy nami ścisłą i przez całe jego życie niezachwianą przyjaźń, która w wielu zdarzeniach była osłodą mego życia.

Z ważniejszych wydarzeń w tym konwiktzie pomnę o postrachu niepilnych, opieszłych malców na wiadomość, w roku 1803 powziętą od profesorów, że spodziewany jest do nas wizytator szkół gubernii Wołyńskiej, Podolskiej i Kijowskiej, Tadeusz Czacki. Jakoż ten głośny w kraju z nauki i gorliwości o jej rozszerzenie wizytator zaszczycił w tym roku bytnością swoją nasz konwikt. Porozdawane niektórym mowy powitalne w polskim, francuskim, łacińskim i niemieckim języku już na pamięć dobrze umieliśmy. Nauczyciel Francuz, uznając mój akcent jakoby najlepszym, napisał mi mówkę z kilkunastu wierszy, której z łatwością się nauczyłem. Czacki wszedł do sali w asystencji poważnego wiekiem i zasługą księdza Wyszyńskiego i prefekta, księdza Piotra Wileńskiego. Na pierwsze wejrzenie uderzył nas profil twarzy wizytatora, przypominający mędrców greckich; olysiała zbyt wcześnie, lecz w górę podniesiona głowa, a przytem rzut jego wejrzenia na nas tam zebranych, z ujmującą w twarzy słodyczą. Zdało się, że to wejrzenie było, jakby ojca cieszącego się widokiem własnych jego dzieci. Po mowie polskiej, którą miał przyjaciół mój, Józef Bobrowski, uło-

żoną przez prefekta, który był razem w wyższych klasach profesorem literatury polskiej, przyszła kolej na mnie. Podeszedłszy dwa kroki ku wizytatorowi, ukloniłem się sunięciem nogi i uchyleniem głowy, jak mnie nauczono, i zacząłem mowę francuską. Czacki, o wzroku nadzwyczaj krótkim, aby znać z fizyognomii mojej dociec, czy rozumiem, co mówię, oparł swoje dwie ręce o trzynastoletnie moje ramiona, i z przymileniem w twarzy słuchał, wpatrując się ciągle w moje oczy. Po ukończonych czterech mówkach naszych Czacki przemówił do nas, nausilniej zachęcając do nauk. Pamiętam dobrze, jak w końcu nadmienił, a cośmy nieraz nawet z dumą powtarzali sobie, że w nieszczyśliwym upadku narodu na nas polega dziś nadzieja okazania przed światem, że kraj nasz godny jest lepszego losu. I na tem skończyła się owa straszna dla niektórych z nas wizyta. Mówiono później, że Czacki na osobności podobno egzaminował samych profesorów i że w ogólności z konwiktów był zadowolony. Następnie co roku straszono leniwców opieszłych, że wizytator ma przybyć i że niezawodnie każdego z uczniów ma badać o postępy w nauce. Ale daremne bywały obawy, już Czacki więcej nas nie wizytował. Nawet ten raz jeden, jak dziś wnoszę, mógł się zdarzyć jako zaszczyt konwiktowi, za wpływem ówczesnego dziedzica Lubara, generała niegdyś wojsk polskich, Krzysztofa Karwickiego, który jako ożeniony z córką Hiacynta Małachowskiego, kanclerza koronnego, był spowinowacony z Tadeuszem Czackim, urodzonym z Katarzyny Małachowskiej, siostry tegoż wiecznej pamięci kanclerza, i słusznie uwielbianego Stanisława, marszałka wielkiego sejmu, który był rodzonym kanclerza bratem. Karwicki przez szacunek dla starca księdza Wyszyńskiego, założyciela konwiktów ku dobru publicznemu, rad był pewnie podnieść nieco znaczenie tego konwiktów bytnością w nim wizytatora.

Z roku 1805 pamiętam przejście przez Lubar

pulku dragonów na kampanię austerlicką nieszczęsnej pamięci. Jechał na czele pulku komendant jego, ówczesny pulkownik, później generał, ojciec szanownej dziś sąsiady mojej, żony Aleksandra Nartowa, Sztakelberg, który niekiedy bywał w domu rodziców moich w Szulajkach i ztąd znał mnie dobrze. Przypatrując się nad drogą przejściu tego pulku, gdym był z innymi i z profesorem na przechadźce, ujrzałem znanego mi pułkownika i powitałem go zdjęciem kapelusza, a on z uśmiechem dotknął ręką swego kasku. Było to pożegnanie na zawsze, bo już go więcej nigdy nie widziałem. Mówiono mi, że zamieszany w rozterki krajowe 1825 roku, uwięziony, w tymże roku umarł. Ożeniony on był z panną Kępską, która po nim owdowiawszy, wydała w zamęcie dwie córki swoje, starszą za Humieckiego, później naszego powiatu Zasławskiego marszałką, a młodszą za Aleksandra Nartowa, obie cudnie piękne i starannie wychowane, i potem sama weszła w powtórny związek z hrabią Humieckim, już niemłodym, stryjem swego zięcia, dziedzicem wsi Mikulina około Łabunia.

W ciągu mego przebywania w konwiktach lubarskim zmieniali się nauczyciele dwóch obcych języków. Najdłużej zostawał tam Francuz, ksiądz Vilmin, kanonik ołycki, który mnie polubił i zwykle jeździł ze mną do moich rodziców na dwumiesięczne wakacje i na święta. Francuz ten w przyzwoitym sposobie umiał się zgodzić z każdym towarzystwem: poważny ze starszymi wiekiem, żartujący dowcipnie z młodzieżą, ożywiał wesołością swoją rodzinne nasze posiedzenia. Raz na Boże-Narodzenie, gdy rodzice moi całym domem zaproszeni byli na te święta do Wygnanki, o trzy mile od nas, gdzie mieszkała ciotka moja, wdowa po Wojciechu Budzyńskim z synami swymi Kazimierzem i Marcelim, pojechał z nami i kanonik Vilmin. W tej wsi nie było kapłana; lecz w oficynie przeznaczono pod zamknięciem dość obszerny pokój, gdzie po otrzymaniu zezwolenia

zwierzchności duchownej mogła wdowa słuchać mszy świętej, jeśli ksiądz się zdarzył. Kanonik Vilmin był uprzedzony przez mego ojca, że z jego łaski, w dniu tak uroczystym, będziemy mieli, nie jeżdżąc do kościoła, mszę świętą. W wigilię wieczorem bawiliśmy się w grę ówika, do której i on należał. Po skończonej grze kanonik, rad z kilku złotych wygranych, żartował z młodzieżą, która cośkolwiek przegrała. Kazimierz Budzyński, zważając tę jego uciechę z wygranej, bierze go na bok i szepce rzecz udaną, jakoby on zakład zrobił z obecnym tam stryjecznym bratem Mikołajem, że jutro kanonik w trzech kwadransach skończy trzy msze swoje, i dodał: „jeśli wygram, w takim razie, tobie kanoniku złożę cichutko całą na to stawkę“. Uśmiechnął się, na zgodę podając rękę kanonik; a nazajutrz, rzeczywiście trzy msze święte w tak krótkim czasie kompletnie były odprawione. Zakład był niby o rubla, który cichaczem dostał się naszemu kanonikowi, a wszyscy byli radzi, że w zimnym pokoju niedługo zatrzymało nas nabożeństwo. Po latach kilku mego z nim przebywania w konwiktach lubarskim dowiedziałem się w Międzyrzeczu, że on tam przy publicznej szkole księży Pijarów był wprzód nauczycielem swego języka, gdzie przed samymi wakacjami, na uroczystość Ś. Józefa Kalasantego, patrona Pijarów, uprosił rektora, aby mu dozwolił mieć kazanie. Wprawdzie, co do naszego języka księży byli pewni, że Francuz nie wystawi się na pośmiewisko, bo najtrudniejsze dla cudzoziemca wyrazy polskie, nauczył się dokładnie wymawiać. Lecz w rzeczy ważniejszej był zawód. Oto dnia 4 lipca, wśród ciągnącego się nabożeństwa dla szkoły i licznych parafian, wstępuje na ambonę wzniósł postawy poważny kanonik, a odczytawszy odpowiednią ewangelię, zaczyna od tych wyrazów: — „Ś. ty Józef Kalasanty, miał imię toż same, jakie miał Oblubieniec N. M. Panny; a ponieważ ten był stolarzem, a przeto mógł robić konfesyonały, zatem mówmy

o sakramencie spowiedzi". — I tak z rzemiosła stolarskiego wznosił się do ważności spowiedzi, którą sobie obrał za przedmiot kazania. Po tem to kazaniu przeniósł się do naszego konwiku lubarskiego, zkąd następnie oddaliwszy się, otrzymał przez wpływy i starania probostwo w powiecie Zasławskim, we wsi Butowcach, gdzie niegdyś Jan Przyłuski, kasztelan brzeziński, dziedzic tego majątku, piękny wymurował kościół. Odwiedzałem go tam parę razy w przejeździe przez Butówce traktem krzemienieckim. Naprzód było to w podróży z przyjacielem moim Józefem Bobrowskim do wsi Hrycek, gdzie mieszkała matka Bobrowskiego, w powtórny związek Staniszevska. Wstąpiliśmy pod wieczór do kanonika, któregośmy nie widzieli od lat kilkunastu, to jest od czasów naszego w Lubarze konwiktorstwa. Rad nam był nadzwyczaj, a po herbacie, dowiedziawszy się, że w zajezdnej tam karczmie mamy nocować, skłonił do wizyty i do wieczerzy w pałacu u pani kasztelanowej Przyłuskiej, o kilkadziesiąt kroków od plebanii. Przedstawił nas nieznanym poważnej a bezdzietnej wdowie gospodyni, przy której ciągle bawiła dawno już okwitła w dziewictwie, jako rezydentka, panna Ślaska. Prezentacya ta osłupiała nas: — „Mam honor dać poznać pani kasztelanowej dwóch najmędrszych uczniów moich niegdyś!" — I tu wymienił nazwiska nasze. Gdy wkrótce zasiedliśmy obok siebie do gotowej już wieczerzy, Józef Bobrowski żartobliwy, jak przez całe życie, szepnął mi do ucha: — „Na miłość Boga! udawaj ty mądrego, bo ja nie potrafię". — Powtórnie byłem u kanonika w roku 1821, mieszkając w Krzemieńcu. W późnej jesieni, w podróży mojej kolowej, gdy niespodzianie zaskoczył mnie mróz silny, a nazajutrz, już ze śnieżną zamiecią, kopna droga, z trudnością po trakcie dowlókłem się do Butowiec. Tam na probostwie, znalazłem łaskawego na mnie kanonika Vilmina, jak zawsze uprzejmego. On pod swoją opiekę kocz mój zabrał, a raczył dać sanie,

którymi do ojca mego dojechałem. Wprzód na lat dwa zdarzyło mi się widzieć go w Romanowie u senatora Józefa Augusta hrabiego Ślińskiego w dniu 1 sierpnia 1819 roku, gdzie asystował biskupowi diecezji naszej, ś. p. Gasprowi Cieciszewskiemu przy poświęceniu miejsca na kościół księży Jezuitów, przebywających tam od roku 1812 po rok 1820, to jest do czasu ich ogólnej w Rosyi kasacyi. O tej Jezuitów katastrofie, może jeszcze wspomnę kiedyś pod właściwą datą. Nakoniec, już nie pomnę, w którym roku nasz pocciwy kanonik zakończył życie w Butowcach i tam został pochowany.

Po upływie lat czterech w konwiku przy Dominikanach lubarskich, gdzie byłem już w czwartej klasie z promocyą do piątej, przybywszy na wakacje do domu, prosiłem ojca, aby mnie znów oddał do Pijarów międzyrzeckich, i chętnie otrzymałem na to zezwolenie, bo on wysoce szanował Pijarów. W roku 1806, już z młodszym bratem moim ś. p. Franciszkiem, przybyliśmy do międzyrzeckiej szkoły, gdzie ojciec powierzył nas ks. Kulikowskiemu, profesorowi literatury polskiej i łacińskiej, późniejszemu prefektowi liceum warszawskiego, gdzie odznaczył się pięknem tłumaczeniem na język polski Liwiusza. Brat mój, jako początkujący, wszedł do pierwszej klasy. Ale co do mnie, po ścisłym egzaminie, mianowicie z łaciny, niestety! uznano, że nie mogę być wyżej umieszczonym, jak w trzeciej klasie. Byłe u Pijarów, w milczeniu przecierpiałem to upokorzenie, tem boleśniejsze, żem zastał dawnego kolegę i rówieśnika Jakóba Cichońskiego już w szóstej klasie kończącego nauki, gdy w jej początkach mała zachodziła różnica, on bowiem był w drugiej, gdym ja należał do pierwszej klasy. Trudno mi było zapomnieć, żem w konwiku lubarskim miał już wstąpić do klasy piątej. We trzy tygodnie po rozpoczętym roku szkolnym profesor łaciny w trzech niższych klasach, ksiądz

Kmita, przystępny, łagodny i pilny nauczyciel, zada nam ułożenie wierszem polskim czterech wierszy łacińskich Naruszewicza, jakie miały być wybite złoczeniami literami na piramidzie wzniesionej z rozkazu króla Stanisława-Augusta nad rzeką Niemnem, ze szczytów wysadzonej prochem skały przez jednego z obywateli litewskich; wierzchołek bowiem tej skały utrudniał przejście statków żeglarskich i tamował handel. Profesor naprzód dopomógł nam do zrozumienia tych wierszy; następnie polecił niektórym zrobić każdego wyrazu rozbiór gramatyczny. Na lekcji następnej, gdy w trzeciej klasie koledzy moi czytali po kolei swój rymowany przekład, uważałem, że książd Kmita, przechadzając się, ciągle miał uśmiech na twarzy, i niekiedy przerywał czytanie ucznia uwagą swoją na kaleczenie polszczyzny. Gdy z kolei czytać zacząłem, profesor zwolnił kroku i nie uśmiechał się; przeciwnie, przybrał wyraz surowości w twarzy, i zbliżywszy się do mnie, zapytał: — „Kto wasanu te wiersze napisał?” — „Ja sam napisałem.” — „Prze-czytaj jeszcze!” — Spelnilem jego wolę. — „Zrób wasan rozbiór gramatyczny oryginału!” — Powiodło się bez omyłki. Książd Kmita, nic nie mówiąc, wziął moją ówiarke z wierszykami i włożył ją sobie w zana-drze. Lekcja dnia tego ciągnęła się dalej zwykłym porządkiem. Nazajutrz, gdy z kolei przy innym profesorze wszyscy byliśmy w ławkach, książd prefekt Damczewski wywołał mnie przez wpół otwarte drzwi na korytarz, wziął w milczeniu za rękę i wprowadził do czwartej klasy, gdzie łaskawie przedstawił mnie obecnemu tam profesorowi. Wyniknęło to zapewne z uwagi księdza Kmity, że przy egzaminie z łaciny zbyt mnie surowo potępiono, albowiem ten profesor z rozbioru gramatycznego, jaki zdołałem bez omyłki dopełnić, mógł powziąć przekonanie, że w języku łacińskim, który jedynie stał mi na przeszkodzie, uczyniłem dość znaczny postęp. Bądź co bądź, wierszyki moje podniosły mnie wyżej o jedną klasę i ztąd

niezatarłe trwają w mej pamięci. Przywodzę je tu, abym ich kiedyś nie zapomniał:

Z tej rzeki ostry kamień, co żegludze wadził,
Cnotliwy obywatel w powietrze wysadził;
A pamięć niech zostanie na wieki potomne,
Że miłość dla ojczyzny rwie skały ogromne!

Uwielbiany przez całą szkołę profesor literatury, ks. Seweryn Kulikowski, pod którego opiekę oddał mnie i brata mego nasz kochany ojciec, i który raz na wakacje jeździł z nami do naszych rodziców, dość często cierpliwie i łaskawie słuchał skleconych przezemnie w rozmaitych przedmiotach wierszydeł. Z nich przecież ani jednego dziś nie pamiętam, a powyższe tłómaczenie z roku szesnastego lat moich, po upływie lat 66, utkwilo w pamięci, jak żołnierzowi potyczka wojenna, za którą mu krzyż na piersi dano.

Z tej szkoły międzyrzeckiej, wówczas na stopie gimnazjum będącej, ileż mam drogich pamiętek! W ciągu przebywania mego w klasie trzeciej poznałem się z blizka z nieboszczykiem Wiktorem Lenkiewiczem i odtąd całą mocą duszy przyłgnęliśmy do siebie. Gdy za zdarzającą się niepilność moją w przedmiocie ksiąg Euklidesa, nieznosnie mnie nudzącego, prefekt Damczewski, profesor matematyki, rozgniewany, zostawił mnie na rok drugi w klasie czwartej, Wiktor Lenkiewicz odebrał do niej promocję, a ja w doznanej przygodzie znalazłem pociechę, że w tejże klasie mam drogiego sercu przyjaciela. On lubo należał do swawolnych, lecz wielką miał pamięć, żywe objęcie i ztąd bez natężonej pracy liczył się zawsze do celujących, lecz najmniejszego jeszcze nie objawiał usposobienia do poezji, w jakiej tak pięknie odznaczył się później. Któż w kraju z pomiędzy literatów nie zna jego oryginalnej z pomysłu bajki o trójkacie A, B, C. Ta bajka drukowaną była w „Cwiczeniach naukowych“, wychodzących od roku zda się 1818,

a wydawanych przez uczniów liceum krzemienieckiego, do którego Lenkiewicz nie należał; on bowiem w roku 1810 wprost z Międzyrzecza udał się z profesorem fizyki, młodym wówczas klerykiem zgromadzenia Pijarów, do uniwersytetu wileńskiego, z kądem w roku 1812 porwał ich wir wojenny pod wkrótce zwichnięte skrzydło Napoleona I, gdy ten w pełni tryumfów spieszył przez Wilno po swój upadek w Moskwie. Oto są słowa, jakie o nim pisze czcigodny Kazimierz Władysław Wojcicki w tomie XVI, na kartce 862, „Encyklopedyi powszechnej“ z roku 1864 wydania S. Orgelbranda:

„Lenkiewicz (Wiktor), urodził się w Tłuszczy, miasteczku ołyńskim. Początkowe szkoły ukończył w Międzyrzeczu, wyższe nauki pobierał w Wilnie. Przerwała je kampania 1812 r. Przy wążtem zdrowiu, wszedł do wojska i stanął pod sztandarem generała Konopki, który zbierał zawiązek wojsk litewskich. Gdy Konopka z całym oddziałem pojmany został w Słonimie, Lenkiewicz zdołał wymknąć się i o tym wypadku uwiadomił w Wilnie księcia Basano, który go z tą wieścią wysłał do Moskwy, do cesarza Napoleona. Pomimo coraz słabniejącego zdrowia, dopełnił tego zlecenia; nowego zaś, z którym go Napoleon do Neapolu wysłał, nie mógł dopełnić. W Warszawie, oddawszy powierzone mu piśma księdzu Pradtowi, pięć miesięcy przeleżał w ciężkiej chorobie. Przewieziono go na Wołyń; po spoczynku wysłano do Włoch. Niewiele mu łagodniejszy klimat pomógł; w powrocie, umarł w Wiedniu, mając lat dwadzieścia dwa. Szczupły zbiorek wierszy Lenkiewicza wydał Tymon Zaborowski wraz z jego życiorysem w „Ćwiczeniach naukowych“ (1818 r., t. 2), pomiędzy którymi szczególnie odznaczają się bajki“:

Wyżej powiedziałem, że on w Międzyrzeczu przy mnie wcale nie objawiał usposobienia do poezyi; ale pomnę, jak już wówczas oceniał istotne natchnienie

nie i jak trafnie odróżnić je umiał od wymuszonej nad rymami pracy. W roku 1807, gdyśmy oba byli w czwartej klasie i w tak serdecznej zażyłości, żeśmy prawie myśli swoje wzajem zgadywali, umarł mu ojciec w Tłuszczy, starosta Lenkiewicz, zostawiając czterech synów: Gracyana, już od trzech lat ożenionego z posażną księżniczką, Czetwertyńską, Erazma, później kapitana wojsk Księstwa Warszawskiego, który za kampanię 1812 roku otrzymał krzyż *virtuti militari*, a później był ożeniony ze znajomą moją, Cecylią Abramowiczową, o której niżej coś jeszcze wspomnę; trzeciego Franciszka, także tych wojsk kapitana i takimże krzyżem dekorowanego, a najmłodszym ich bratem był mój przyjaciel, Wiktor. Wszyscy oni już nie żyją, a wszyscy może przez wzgląd na moje z ich bratem stosunki, zaszczytali mnie jawną życzliwością. Ich ojciec, nie wiem dziś dlaczego, nie w swojej parafii, lecz w Międzyrzeczu był pochowany. Na jego grobie staraniem synów wzniesiono pomnik, składający się z kamiennych kilku filarów, wśród których stał kamienny sarkofag. Wiktor w klasie raz szepnął mi o swoim kłopotcie: Oto owdowiała matka jego, znając osobiście ks. Kalinowskiego i wiedząc o tem, że on jest profesorem polskiej literatury, prosiła go przez listowną odezwę o ułożenie napisu na grobie jej męża. Profesor to jej żądanie spełnił; lecz jego wiersze nikomu z rodziny, jako zbyt wymuszone, się nie podobały; i ztąd prosić mnie zaczął, abym ja ten napis ułożył.—Co mówisz?—rzekłem mu—ja, co moje niekiedy głupie rymy przedstawiam mu do poprawy, czyliż ważyłbym się iść w tem na wyścigi z moim profesorem? Powiem ci, że z waszej strony, aby go nie obrazić, wypada wam przyjąć cokolwiek on na odezwę matki waszej napisał; ty wiesz, jak on powszechnie jest szanowany.—„A niech gniewa się na samego siebie, że nie do rzeczy napisał. A ty bądź spokojny o jego obrazę; nie wydamy

przed nikim, że wybity na sarkofagu napis jest twoim". Nie przyrzekałem mu przecież. Nazajutrz, gdyśmy byli na spacerze ku stronie cmentarza za miasteczkiem, wprowadził mnie na cmentarz, aby pokazać świeżo ukończony pomnik. I tam na grobie ojca tak usilnie prosił mnie, lży ocierając, tak zaklinał, że nakoniec, pod koniecznym warunkiem tajemnicy, obiecałem pomyśleć nad tem. Jakoż po dwóch dniach, z wielką obawą, aby się profesor mój nie dowiedział, przyniosłem mu żądany napis, z powtórzeniem warunku tajemnicy o autorze. Ów napis, jeśli mnie pamięć nie myli, jest taki:

Mężu! Ojczel na wieczność okryty kamieniem!
Lży ronić jest zwyczajnem ludzi przeznaczeniem;
Ale w sercach żyć będą twe zacne przymioty!
Czas chełwy, wszystko niszczy, a szanuje cnoty!

Z nadzwyczajnem uniesieniem uściskał mnie za te wierszyki. Wybito je na sarkofagu. Rzewne było nasze pożegnanie, gdy w roku 1809 opuszczałem szkołę, gdzie on miał jeszcze rok jeden pozostać. Jakoż w roku 1810 wyjechał do Wilna. Niekiedy pisywał do mnie; listy jego pełne były szyderczego dowcipu, mianowicie opisanie wierszem pogrzebu z wielką okazałością dziedzica obszernych dóbr międzyrzeckich, chorążego W. kor. Jana Steckiego. Te listy, podobnie jak wiele innych piśmiennych z dawnej daty pamiątek, zaginęły w częstych po świecie moich przenosinach. W roku 1811 po raz ostatni znaleźliśmy się z nim w Żytomierzu na lipcowych wyborach, gdzie ja w 21 roku życia zostałem obrany podsejmem Nowogród-wołyńskiego powiatowego sądu, a on z uniwersytetu wileńskiego przybywszy na wakacje do domu, z braćmi swymi przyjechał. Nie dano nam nacieszyć się sobą. Zwykle na wyborach formujące się partie w przedstawieniu kandydatów na urzędy gubernialne odrywały mnie od towarzystwa z kochanym Wiktorem. Deklamował on mi

wówczas z pamięci tak wszeteczny, tak sprosny poemat, że szanując drogą mi pamięć o tym przyjacielu, nie chcę jej brudzić wspomnieniem tytułu tego poematu. Błyszczał w nim dowcip, ale też często przebiła kanwa szyderstwa ze świętych prawd religii. Ja, lubo wówczas nie znałem Woltera, jak tylko z jego dzieł dramatycznych, lecz zdarzało mi się czytać i w towarzystwie ludzi wykształconych słyszeć potępienie jego bezbożności, powiedziałem otwarcie Wiktorowi, że jego poemat nie może mu zjednać chwały w religijnym, jak nasz, narodzie i że szkoda tak wysokich zdolności na tak poziomy przedmiot. Zachęcałem go do szlachetniejszej poezji, ale on w latach 19-tu, jakby już syt życia, żartował sobie z literackiej sławy. Mocny mnie żał przejmując nad zgonem jego tak wczesnym, więcej jeszcze nad jego przetrwaniem cierpieniem w mękach z niczem nieporównanych, gdzie przy kalectwie, stopniami coraz więcej wzmacniającem się, umysł w czerstwym zachował się zdrowiu, aby tem silniej czuć mu dawał stan jego. Był to żyjący człowiek, zamknięty w grobie swego ciała! Przywodzę tu sobie innych kilka podobnych wypadków, gdzie jakby dla ocknienia zbaczających od wskazanej nam drogi widoczny był palec Boży!

Wracam do roku 1807, w którym przypuszczono mnie w szkołach międzyrzeckich do towarzystwa Sodalisów, jakie w dwóch przeszłych wiekach było strażą wiary w dogmata naszego wyznania, mając za główną zasadę cześć dla N. M. Panny i obronę Jej sławy, choćby z krwi rozlewem. Ta kongregacja zarazem podtrzymywała moralność i czystość obyczajów pomiędzy młodzieżą. Wiktor Lenkiewicz, młodszy odemnie o dwa lata, nie otrzymał jeszcze tego zaszczytu. W następnym 1808 roku szkoła, za potwierdzeniem swej miejscowej władzy, po kończącym wtenczas nauki swoje Jakóbie Cichońskim, raczyła mnie obrać prefektem Sodalisów. Przeznaczono pe-

wny termin, w którym publicznie na tę dostojność miałem wykonać przysięgę. Spiesznie doniosłem o mil 15 ojcu memu o spotkanyim mnie zaszczycie. Kochany a silnej wiary ojciec ucieszył się tą wiadomością tembardziej, że niegdyś będąc uczniem szkoły lubieszowskich Pijarów, był także prefektem Sodalisów; i ztąd wiedząc, że obrany na to przewodnictwo, składał zawsze jakąś ofiarę na świecę, z którymi co niedziela po Mszy Ś-ej na osobne chodziliśmy nabożeństwo do N. P. Maryi, przysłał mi natychmiast trzydzieści rubli w srebrze, które ja, po wykonanej przysiędze przed ołtarzem Bogarodzicy, który był w naszej czwartej klasie, z brzękiem wysypałem na podaną mi tacę.

Wspomnieć tu należy o miłej niespodziance, jaką zrobiełem raz tu w Ławrzynowcach zacnemu a powszechnie kochanemu sąsiadowi o miedzę, Jakóbowi Cichońskiemu, gdy on z żoną był u mnie. Gawędziliśmy o szkolnych rozmaitych wydarzeniach i on zapytał: — „Czy też ty masz jakie piśmienne pamiątki ze szkół międzyrzeckich?“ — „Zaraz ci pokażę.“ — I wyjąwszy plik papierów z pomiędzy ważnych dla mnie dokumentów, złożyłem przed nim naprzód świadectwo Pijarów z roku 1809, gdy mnie w świat wypuszczali, potem drukowany także patent na Sodalisa z ogromną pieczęcią pod dniem 2 maja 1807 roku, z podpisem obok niej księdza Dominika Kmity, a z drugiego boku z podpisem owoczesnego Sodalisów prefekta, Jakóba Cichońskiego. — „Patrz! — ozwał się z rzewną radością do żony. — „Tyś nie wiedziała, jakiej niegdyś mąż twój dostąpił godności! Wielką zrobieś mi przyjemność ocknieniem w pamięci owej daty. Rzecz szczerzej niż to, waleśając się po świecie, umiałeś przez lat tyle uchować od zatracenia te drogie pamiątki młodości, u mnie ani śladu nie znajdzie.“ — Ale za to, powiedziałem mu, ludzie pamiętać będą o tobie.

Wspomnę tu jeszcze z tegoż 1807 roku o wy-

padku, który z mojego i kilku innych wpływu dotknął całą szkołę. Przybył do Międzyrzecza Niemiec Koch z liczną kompanią, aby zadziwić nas skokami na linie i rozmaitemi zręczności sztukami, a otrzymać od nas czterystu za bilet dla każdego po dwa złote. We wtorek przed południem ci Niemcy w kapeluszach ze strusimi powiewnemi piórami, w pasowych, galonem obszytych spencerach, w opiętych spodniach łosich, z muzyką, na felownych koniach, zaczawszy od pałacu, objeżdżali miasteczko i z kolei nawiedzili plac przed kolegium Pijarów, aby wszystkim oznajmić, że dnia tego wieczorem owe sztuki będą przedstawione. Pod naczelnictwem dwóch profesorów, o godzinie oznaczonej, zeszło się nas wielu do obszernej sieni zajezdnego domu, gdzie Koch z kompanią swoją był rozlokowany. Z pomiędzy uczniów czwartej klasy znachodził się tam ubożuchny kolega nasz w szarym wytartym płaszczu, Lubliński. Ten siedział naprzeciw wyprężonej liny. po której pani Kochowa z dragiem w rękach, dla utrzymania równowagi, zaczęła zwolna przećbodzić, a nie wiedząc, aby czemkolwiek mógł jej przeszkodzić, machnął od niechcenia pręcikiem, który miał w ręku. Koch, pilnujący porządku, dostrzegłszy ruch pręcika, ze złością wpada na biednego Lublińskiego, porywa go za kołnierz i wypycha za drzwi, nauczając, że ruch jego pręta mógł zmylić stopę jego żony i poddać upadkowi z niebezpieczeństwem życia. Nam niektórym krew na to zawrzała, bo dosyć było cicho pręt mu odebrać. Tymczasem owe niemieckie sztuki po wtorku miały się powtórzyć z dodatkami we czwartek. A więc we środę rano, gdyśmy się zeszli do klas swoich, nim przybyli do nas profesorowie, trzech nas z czwartej rozeszło się do pierwszej, drugiej i trzeciej z przedstawieniem, o ile można najczulej, obraży honoru naszego, której Koch publicznie, a z taką zniewagą na Lublińskim dokonał, że oto jutro po południu on znów oznajmiać

przyjedzie o swoich siglach; że naprzód kto pocziwy, zachowa to w sekrecie, że przed jego zjawieniem się na placu naszym wszyscy zbierzemy się do klasy pierwszej, jako największej, i zaprosimy Kocha do tej klasy, aby wobec nas wszystkich przeprosił Lublińskiego. Gdym tak mówił w klasie drugiej, jeden z malców dodał: — „a jak nie zechce przeprosić, to przymusimy kańczukiem“. — Kańczuki możecie mieć ukryte przy sobie; ale tylko dla pogróżki, gdyby się wzbraniał przeprosić, do czego zapewne nie przyjdzie — rzekłem im — ale zaklinam was pod słowem uczciwości, abyście zachowali to wszystko w tajemnicy! — „Dobrze, dobrze! Nikomu ani słowa nie powiemy!“ — odezwało się kilku. Podobnie Maciński, kolega mój, mówił w klasie trzeciej, a nie pomnę, kto z tem poselstwem był w trzeciej. We czwartek po obiedzie zwykle bywała rekreacja; przecież bez żadnego dzwonnka zeszli się uczniowie klas czterech do pierwszej, gdzie każdy miał ukryte narzędzia kary: kańczuki, dyscypliny, harapniki nawet, kto co mógł cichaczem zarwać od swych dyrektorów (nadzorców). Zjawia się nakoniec Koch w towarzystwie kilku i trąbą daje znak przybycia. Uczniowie mianują mnie i Macińskiego do wezwania Kocha. Tu zmyślenie było konieczne. Po naradzie z Macińskim, odezwałem się do siedzącego na koniu Kocha: — Książd prefekt prosi pana do siebie, abyś raczył opowiedzieć mu, jakie sztuki będą dziś przedstawione. — Koch, pomówiwszy chwilę z jednym ze swoich, zsiadł z konia i razem z nim udał się za nami. Wyznaję, że mnie wówczas tajny opanował niepokój, gdym pomyślał, co z tego nastąpić może, gdy hardy Niemiec nie zechce przeprosić. Ale oprzytomniomy, przewidując, że większy będzie kłopot z dwoma, szepnąłem Macińskiemu: — prowadź Kocha do pierwszej klasy, a ja drugiego zamknę w naszej. I pod pozorem, że tam czeka na niego jeden z profesorów, który także chce coś wiedzieć o ich sztukach, wpu-

ściłem go do pustej klasy i drzwi na klucz zamknąłem. Wpadłem do pierwszej, gdzie Koch wprowadzony był do uczniów. Zastaję zwałą kłótnię i wrzawę. Koch rozgniewany, że go zwiedzono, bo prefekta nie zastał, oburzył się na propozycję przeprosin. Przy mojem wejściu jeden z malców ozwał się: — „Słuchaj, Niemcze! jeśli dobrowolnie przeprosić nie zechcesz, to cię przymusimy. Tu, jakby na hasło dane, każdy z nich zaczął mu grozić wydobytem kary narzędziem. Koch, rozszłoszczony, miotając po niemiecku przekleństwa na szkołę, rzuca na uczniów swoją mosiężną trąbę, która górą poszła i żadnego z nich nie tknąwszy, uderzyła o ścianę i pogięta, zepsuta, padła pomiędzy nimi. Nastąpiło za to oburzenie malców. Zachodzą mu z tyłu, chwytają za nogi, a upadłego na ziemię, inni chwytają za głowę. Zaczął się nacisk około niego i bój okropny! Gdzie kto mógł dosięgnąć, katowali go kańczukiem, harapem, dyscypliną i kijami nawet. Krzyczałem na nich, ile sił stało: — Dostyc, dostyc! — I zaledwie my starsi mogliśmy go wyrwać z rąk malców. Schwycił się z ziemi rozczochrany Niemiec i pogroził nam piekielną karą. Gdy miał wychodzić z klasy, szepnąłem jednemu z malców, aby poszedł wypuścić drugiego Niemca z zamkniętej czwartej klasy, a jeden z uczniów, uragając się Kochowi za jego upór, wetknął prawie nieprzytomnemu z bólu i złości pogiętą trąbę. Wsiedli oba na koń i galopem odjechali do miasta. A my, dawszy sobie słowo, że jeśli dziś będą przedstawiane sztuki pomimo zaszłego wypadku, żaden z nas tam się nie pokaże, cichutko rozeszliśmy się po stancyach. Tym razem na wypadek śledzwa winowajców żadnej zmo- wy nie było. Wkrótce potem z okna mego oficyny pijarskiej, przy kolegium, gdzie z bratem mieliśmy wyborną z wiktem kwaterę u Czecha Koniatki, dostrzegłem, że ci oba Niemcy w asystencji oficera i dwóch żołnierzy pułku czarnych Aleksandryjskich

nuzarów, pod komendą generała tam konsystującego, do którego udali się po protekcję, spiesznym szli krokiem do kolegium, a jak się potem okazało, do ówczesnego rektora naszego, księdza Grabowskiego. Niezadługo uderzono w dzwon szkolny. Winni i niewinni, zeszlismy się do tejże pierwszej klasy jako najobszerniejszej. Wchodzi do nas prefekt Domczewski z wyrazem surowości w twarzy, a za nim oficer od huzarów i dwaj Niemcy. Tu należy powtórzyć dla pamięci, że na usprawiedliwienie nasze żadnej nie uczyniliśmy zmywy. Prefekt, rzuciwszy smutnem okiem po nas, przejęty żalem, czynił nam wyrzuty za ciężką boleść, jaką brutalnym postępkim szkoły przynieśliśmy naszej zwierzchności. Po tak rzewnem a poważnem przemówieniu, którego wysłuchaliśmy w milczeniu ze spuszczoną głową, jakby już potępieni winowajcy, on po chwili przestanku, rozpoczynając badanie, zwrócił się do jednego z malców najbliższej stojącego w ławce i zapytał: — „To i waćpan należałeś do tego?” — Nie! — odpowie mu — nie należałem! — Następnie kilku po kolei badał podobnie, a każdy powtórzył słowa najpierwszego. Zniecierpliwiony prefekt staje pośrodku i zapytuje: — „Któryż z was należał, wyznajcie!” — Ozwala się zbiorowa odpowiedź, jakby iskrą elektryczną pobudzona, w jednym donośnym wyrazie: „Wszyscy!” W twarzy zacnego prefekta błysnęła utajona radość. Dziś mniemam, że to uczucie powstało z tej myśli, iż dzieci, któremi on się opiekuje, umieją lepiej utrzymać jednomyślność, niż ich niegdyś ojcowie na sejmach. Gdy oficer na to uśmiechał się, a Koch cicho do ucha nalega o coś prefekta, ten znów pojedynkowo zapytuje starszych, niebadanych wprzód. I znów każdy z nich mówi, że wcale nie należał do tej sprawy. Tu jakby rozgniewany prefekt odezwał się: „Im większy upór, tem większa kara spadnie na winowajców! Zaraz mi wyznać, kto was namawiał, kto z was najwinniejszy?”. I wnet hucznie

wrzasnęliśmy, jakby umówiony wyraz: „Wszyscy!” Tym razem, skoro ucichło, znalazł się zdrajca, już dziś nieżyjący J. O. On odezwał się: — „Ja powiem”. — Prefekt, jakby cierpiący na zdradę, z silnym naciskiem powiedział mu: — „Kiedy wiesz z pewnością, to gadaj!” — Otóż powiem: w naszej trzeciej klasie namawiał nas pan Maciński. — Ależ prefekt znał w Macińskim wzorowego ucznia tak z obyczajów, jako też ze znakomitych postępów w każdym przedmiocie; więc oczywiście nierad i ze zdrady i z oskarżenia, z wyraźną niechęcią przemówił zasmucony: „Pan Maciński niech wyjdzie z ławki i stanie na boku”. — Potem, zwróciwszy się ku innej ławce, wezwał ku sobie pokojowca swego, ucznia z klasy drugiej, i cicho mu coś polecił. Ten wyszedł z klasy i nastąpiła przerwa w badaniach; ale prefekt użył jej ku moralnej dla nas nauce, że zgoda, jaką objawiamy ku obronie naszej, byłaby godną chwały, gdyby miała za przedmiot jakibądź pożytek towarzysstwa; ale w tym wypadku niecnem tylko nazywa się spiknieniem przeciw zwierzchności i t. d. W tem pokojowiec wraca trzymając w ręku tak drobny kańczuk, jakby dla zabawki dziecinnej. Koch ujrzawszy to narzędzie podane prefektowi, zawołał złamanym językiem: — „Nie, nie! Och nie takim mnie bili. Byli dziesięć razy grubszel!” — Uśmiechnął się prefekt, rad zapewne, że dobrego ucznia Macińskiego wyzwoli tem od kary. — „Przepraszam pana — rzekł do Niemca — nieprzyzwoicie postąpiwszy u siebie z uczniem panem Lublińskim, ściągnąłeś na siebie bolesny wypadek; a teraz chcesz, abym za winę, której dałeś powód, kaleczył tę młodzież! Nic z tego nie będzie! Rozejdźcie się, panowie, po swoich stancyach. A panu — rzekł do Kocha — wolno zanieść skargę gdzie się podoba”. — Nazajutrz ciężką co do mnie miałem przetrwać łaźnię. Przed lekcją ranną, jak zwykle, byłem z mojem tłumaczeniem wierszami wyjątku z poezyi Delila u mego opiekuna szanowne-

go ks. Kulikowskiego. Nie wiedziałem o tem, że ktoś mnie przed nim oskarżył, jako w klasie drugiej namawiałem malców i że Kocha sprowadziłem do zgromadzonych uczniów. Na wstępie czule przemówiwszy do mnie ten uczony profesor wymowy, skończył na tem, że kara jest tylko w zawieszeniu; że jako główny winowajca, niezawodnie wpisany będę do czarnej księgi i ogłoszona mi zostanie *ekskluzya*, czyli wypędzenie ze szkół. Przedstawił dalej zmartwienie ztąd rodziców, tak trafiając do serca, że lzy mi się puściły. On dobry, ujrawszy to, zmienił twarz do tąd surową i odezwał się: — „Niech ci to służy za naukę, jak przy każdym przedsięwzięciu rozsądek ma przewodniczyć. Z tego pocucia żalu nad rodzicami wnoszę, żeś nie pomyślał o następstwie, jakie cię spotkać może. Tym łom twoim rad jestem, w nich widzę, że zboczenie swoje w głębi duszy uznajesz. Dość mi na tem. A teraz uspokój się. Zapewniam tajemnicę przed rodzicami, a tu w razie potrzeby będę cię bronił“. — Z jakże silną wdzięcznością ucałowałem rękę mego dobroczyńcy! Nie przyszło już do czytania mego tłumaczenia, ale zupełnie uspokojony, odszedłem do klasy.

Wieczorem, na mojej kwaterze, staruszka, żona Czecha Koniutki, który z waltornią swoją, jako muzyk, należał do orkiestry pana Steckiego, już wiedziała z całą dokładnością o wczorajszym wypadku Kocha i ztąd zaczęła opowiadać zdarzenie podobne w tej szkole z czasów jeszcze Rzeczypospolitej. „O! ze studentami — rzekła — bardzo trudna sprawa. Proszę panicza posłuchać: Oto, jak zapamiętam od pierwszej młodości mojej, bywało tu zwyczajem, co i dotąd trwa jeszcze, że w wigilię święta Bożego Ciała podwoły skarbowe pana chorążego koronnego przywoziły z jego lasów młode brzoźki dla ozdoby ołtarzów na placu przed kościołem, gdzie nazajutrz miała obchodzić procesya. Otóż raz szkoła długo czekała na te brzożki i doczekać się ich nie mogła,

Zebrawszy się więc licznie blisko swego placu na moście, wyglądali tego transportu nad wieczorem. Pomiedzy nimi był najzwawszy, Józef Iliński, staroście żytomierski. Ten ujrawszy podwoły z brzożkami, pobiegł do nich, a gdy się dowiedział, że ten transport przeznaczono do folwarku dla ekonoma, przywołał stojących na moście kolegów i dalejże naciskać na parobków, aby zawracali przed kościół. Stał się zgłęb wielki na rynku, na który i ja patrzyłam. Jeden z parobków dał znać na odwach. Wnet przybyli z bronią w rękę „śledzie“ pana chorążego, jak zwano jego niewielką, zebraną milicję. Ale gdzie tam! Nic to nie pomogło! Iliński tak dobrze komenderował, że studenci okropnie pokaleczyli kijami tych śledziów, a oni, biedacy, nie odwazyli się strzelać do paniczów. Zwyciężeni, zostawili podwoły studentom, którzy je powiedli na plac przed kościół i umaili brzożkami już przygotowane ołtarze. Prawda, że księża Pijarowie potem wielki mieli kłopot. Wachmistrz ulubiony przez pana Steckiego, najmocniej był pokaleczony, bo nawet oko mu wybili i ten głównie oskarżał pana Józefa Ilińskiego. Ztąd pan chorąży koronny nastawał na Pijarów, aby wedle szkolnego prawa ten winowajca był ukarany. Otóż później mówiono w mieście, że za to wpisali go do jakiejś książki czarnej i kazali mu wynieść się precz z tej szkoły. Jakoż potem nigdy go już nie widywałem w kościele.“ A ja jej na to: — „Ten staroście żytomierski dziś jest w Petersburgu senatorem ulubionym przez cesarza.“ „Ot to! No proszę! Aż miło było popatrzeć na niego: wzrostem słuszny, a przesłizny na twarzy!“

U pana chorążego W. koronnego bywały niekiedy bardzo liczne bale. Obywatelstwo z rozmaitych okolic zjeżdżało się. Pijarowie doznawali wielkiego poważania u tego dziedzica tak obszernych włości, że liczono majątek jego na dwadzieścia pięć milionów złotych. Był on potrzykroć ożeniony. Nie

pomnę, która pierwszą jego była żoną. Wiem z pewnością, że drugą była Popielówna, córka kasztelana lwowskiego, z którą się rozwiódł, a którą, tu zamieszkawszy, poznałem w domu mego przyjaciela, Wiktora Krajewskiego, już zgrzybiałą staruszkę. Trzecią żoną chorążego była Walewska z Tuczyzna, córka wojewody sieradzkiego, która po przyjeździe na świat swej z nim jedynej córki, nie mogąc znieść rany jego na udzie, nigdy zagoić się nie mogącej, a nazwanej Wilkiem, że pożerała surowe mięso wołowe, którem ją codziennie okładano, rozwiódła się z nim i wyszła za księcia Stanisława Jabłonowskiego, starszego brata z innej tylko matki księcia Maksymiliana, którzy oba byli synami księcia Antoniego, kasztelana krakowskiego. Z Popielówną chorąży nie miał potomstwa; z najpierwszego zaś małżeństwa miał dwóch synów; z nich starszy Karol, ożeniony z Cetnerówną, odumarł jedną tylko córkę. Z wdową po nim ożenił się generał, słusznie a wielce poważany Kniaziewicz, a z córką Michał ksiązę Radziwiłł, który w 1831, w czasie nieszczęśliwie zakończonego powstania pod generałem Krukowieckim, był przed nim i przed generałem Skrzyneckim czas jakiś zastępcą naczelnego wodza, dzielnego pod Napoleonem I-ym, a wówczas gdy go kraj powołał, śpiącego przez niedziel sześć generała Chłopickiego. Synem młodszym z pierwszej żony chorążego W. K. był Józef, ożeniony z córką wojewody Wilgi; ten miał syna tylko Ludwika, który był u Pijarów moim w szkołach kolegą, i u jednego metra, dyrektora orkiestry pałacowej, pana Kamińskiego, braliśmy z nim lekcye muzyki. Ludwik, ożeniony z Czacką, córką miecznika w. kor. córką, zostawił syna Henryka, który się ożenił z córką Henryka hrabiego Ilińskiego w Romanowie. Córka zaś z powtórnego małżeństwa, Ludwika, na emigracyi w Galicyi wyszła za Pruszyńskiego. Na wyżej wspomniane bale u chorążego, wedle jego odezwy, Pijarowie wybierali z pomiędzy uczniów

niektórych, zwykle kilku więcej otartych z przyzwyczajoną światową, a ten zaszczyt nigdy mnie nie omiął. Raz, gdy tam na balu byłem, w mazurze dał mi się dostrzedz z ciągłej nademną uwagi jakiś młody, bardzo przystojny brunet słusznego wzrostu. Po skończonym tańcu zbliżył się ku mnie i zapytał: „Czy pan jesteś Konopacki, jak mówiono?“ — Tak jest — odpowiedziałem — ale kogoż w osobie pana mam zaszczyt poznać? — „Odpowiem wówczas, gdy pan raczysz wymienić imię swego ojca“. — Mój ojciec ma imię Prokop. — Na to on z przymileniem w twarzy bierze mnie za rękę i ściskając ją, rzecze: „Bardzo miło mi poznać pana! Jestem Spiridyon Rohoziński. Zachodzi pomiędzy nami pamiętne dla mnie podwójne powinowactwo. Dziad pana, ojciec jego ojca, wołyński niegdyś poseł na sejm elekcyjny 1764 roku, był urodzony z Rohozińskiej, a po śmierci pierwszej żony swojej, Antoniny Peretiatkowiczówny z Krzywicz, z którą miał jedyne go syna Prokopa, ożenił się powtórnie po śmierci mego ojca z owdowiałą matką moją Rohozińską z domu Stępkowską. Ztąd ja, będąc wówczas małoletnim, stałem się pupilem dziada pańskiego, Józefa Konopackiego, starosty głuchowskiego, jako jego pasierb. Z dzieciennych lat moich pamiętam ojca pańskiego, zwanego wówczas Prokopciem, który, jak później mówiono mi, dowiedziawszy się przypadkiem w małoletności swojej, że matka moja, która go bardzo kochała, jest nie matką jego, lecz macochą, odtrącał odtąd jej pieszczoty i wstręt powziął do ojcowskiego domu. Oddany do szkół lubiszewskich, gdy je tam ukończył, a przeszedł do palestry łuckiej dla nauki prawa, zamieszkał następnie na ukraińskich dzierżawach i tam się ożenił. Widzisz pan, jak znam dokładnie rozgałęzienie domu dziada pańskiego. Nie zapomnę go też nigdy przez wdzięczność za ojcowską jego opiekę nademną; i ztąd wielką mam przyjemność

poznać w panu jego wnuka". Od tej chwili nie zdarzyło mi się nigdzie spotkać Spiridyona Rohozińskiego. Mówiono o nim później, że był dzielnym pułkownikiem wojsk polskich. W roku 1850, gdy był w Kniahyninie u Rasławstwa Boguszów, na ślubie ich córki Stefanii, wychodzącej za Bolesława Rohozińskiego, poznałem tam młodego Rohozińskiego, syna Spiridyona.

Z pomiędzy uczęszczanych przezemnie z Pijarami balów u chorążego kor. Jana Steckiego, pamiętny mi jest, chociaż z pewnością nie oznaczę czy z roku 1807 lub 1808, ślub jego jedynej córki ze związku z trzecią żoną Walewską, panny Doroty Steckiej, z Józefem księciem Lubomirskim z Dubna. Na ten bal zjazd był liczny magnatów wołyńskich, oddawna już nieżyjących, po których, z małym wyjątkiem, z obszernych wówczas posiadłości szczytki tylko u marnotrawnych potomków zostały. Widziałem tam księcia Michała Lobomirskiego, ojca zeniętego się księcia Józefa. Ten ojciec jego był niegdyś generał-majorem wojsk koronnych. Był tam książę Hieronim Sanguszko ze Sławuty, ostatni wojewoda wołyński; książę Stanisław Jabłonowski z Annopola, ożeniony z rozwódką, chorążyną Stecką, której córka wychodziła za męża; był generał Kniaziewicz; był któryś z Radziwiłłów i wielu innych, dziś w mej pamięci zagubionych, obok których wielu też było obywateli okolicznych z żonami i młodzieżą do tańców. Rektor nasz, ksiądz Grabowski, ślub dawał, piękną wprzód do młodej, stojącej przed nim u ołtarza parę powiedziawszy mówkę z pamięci. Akt ten dopełniał się o wieczornej porze przy świecach. Nastąpiły tańce. Mnóstwo par stanęło do polskiego, a na czele był chorąży Stecki z córką swoją Dorotą, już księżną Lubomirską. Przeszedł z nią krąg jeden i stojącemu na boku oddał ją jej mężowi. Nastąpiły dla młodzieży tańce skoczne, w ciągu których roznoszono cukry, limonady, orszady, a dla starszych

rozmaite wina. Potem pyszny z okien pałacu okazał się widok na sztuczne ognie, czyli fajerwerki, po których czarniejszą wydała się ciemność nocy, podobnie jak po owej dogorywającej ówczesnej świetności magnatów, smutniejszym wydaje się stan dziś podupadły ich potomków. Wieczera i zabawy trwały do późnej nocy. Pomnę jak dziś niemiecką fizyognomię pana młodego. Był on wprawdzie nie brzydki, lecz wypieszczenie biały, jakby z malowanym policzkiem; odznaczał się mundurem maltańskim. Generalskie złote bulony na ramionach młodzińca, mającego lat 22, przy krzyczącym ponsie jego munduru, dziwną z jego wiekiem stanowiły sprzeczność. Zastanawiała mnie nieraz ta „malto-mania“ w latach mej młodości rozpowszechniona. Dawniej był zakon kawalerów maltańskich, którzy w bezżenności stawali w obronie chrześcian przeciw muzułmanom. Lecz później, a zwiaszcza gdy Malta na czas krótki stała się własnością Rosyi i cesarz Paweł I ogłosił się jej mistrzem, tworzyły się owe kawalerstwa w Petersburgu nie tylko pod jego panowaniem, ale i później, kiedy tę wyspę odstąpiono Anglii. Szredawano więcej dającemu dawniej przygotowane patenta z okienkami dla wpisania imion nowokreowanych kawalerów. Znałem osobiście mnóstwo takich ponsowych maltańczyków, pyszniących się w czasie zjazdu obywateli po ulicach gubernialnego miasta białemi przy stosowanym kapeluszu strusimi piórami, brzęczącą po bruku szablą przy generalskich bulonach. Ta, przez lat kilkanaście, prawie powszechna ślepota u majątniejszej młodzieży przypomina mi niepospolity w powiecie żytomierskim wypadek, z którego wyniknął proces szczęśliwie, bo zgodnie zakończony. Pewna posażna panna, w domu ojca na wsi samotna, uczyła się grać na gitarze u młodego a przystojnego metra, który tam od pół roku dla owej nauki zamieszkał. Lubo dobry szlachcic polski, ale chudy to był pacholek, jak mówio-

no, a przeto tam za wysokie progi były na jego nogi. Lecz miłość, jakby lubiąca przelamywać tamy, często się gnieździ, gdzie upór jest niezawodny. Niedługo potrzeba czasu na porozumienie się serc ujętych czułą melodią muzyki. Panna, słusznie przewidując, że jej ojciec stanie z opozycją, szepnęła gitarzyście, aby przynajmniej postarał się o kawalerstwo maltańskie. Był to dla niego wyrok nieodwołalny. W lubem marzeniu o swej przyszłości zabiera z sobą cały szczupły fundusik na podróż do stolicy i tam resztkami opłaca wyjednany patent; a zostało mu tyle tylko, aby pocztą wrócić do celu swych marzeń. Staje przed panną w ponsowym mundurze. Ale niestety! zastał ją już zaręczoną innemu wedle woli jej ojca. Biedak, przecierpiawszy moralnie, usłuchał jurystów, nie wierzących w żadną idealność, gdzie się wmiesza interes pieniężny. Doradzono mu pozwać ojca panny o zwrot pożyczki na kawalerstwo maltańskie sumy z procentami. I po wydanym pozwie ojciec, oszczędzając sławę córki, rad nie rad, wrócił zgodnie wszelkie z jej przyczyny złożone koszty, a mundur od wielkiego święta jako pamiątka niefortunnej miłości pozostał przy muzyku do śmierci. O! ślepoto ludzka! Dziwić się potrzeba, że niektórzy nawet z osiwiałych przywiązywali jakoby jakąś wartość do tych błyskotek, otrzymanych bez żadnej zasługi! Potrzeba było tylko złożyć metryki i dowody niewątpliwego szlachectwa z przodków, mieniając się ich potomkiem w czwartym, czy w piątym pokoleniu.

W roku 1808, gdy z młodszym bratem moim, Franciszkiem, przybyliśmy w początkach lipca na wakacje do domu, ojciec nasz oznajmił mi, że w tym miesiącu pojedzie z nim na wybory do Żytomierza, gdzie jako już osiemnastoletni, będę mógł z nim i ze starszym bratem, Antonim, wotować na gubernialnych i powiatowych urzędników. Jakoż przed dniem 20 lipca przybyliśmy do miasta gubernialnego.

Mój ojciec najął dom wielki, gdzie łącznie z Budzyńskim z Wyszczykus i dwoma jego synami, Mikołajem i Ignacym, tegoż dnia przybyłymi, zamieszkaliśmy. Codzień mnóstwo miewaliśmy interesowanych gości. Stanowiliśmy bowiem niemałą partję, gdyż przybyli do nas Budzyńscy młodzi z Wygnanki: Kazimierz i Marceli. Każdy z nas mógł mieć przyjaciela lub znajomego do protegowania na urząd. Budzyńscy z Wyszczykus należeli do powiatu żytomierskiego, a z Wygnanki do Nowogród-wołyńskiego, czyli Zwiahelskiego. Mój ojciec zaś z synami wotował w Łuckim, jako dziedzic Holuzji, a z powiatu Nowogród-wołyńskiego, z prawa zastawy gdzie mieszkał. Do ojca mego licznie uderzali krewni jego z dalszych okolic Wołynia i znajomi, aby wybadać, komu z kandydatów, już na gubernialne urzędy wiadomych, sprzyjać zamyśla. Obliczano partje za tym i za owym. Wszystko to było dla mnie nowością zajmującą; a co do wotowania, jakie się zwykle dopelniało wrzucaniem do balanterówki galek na prawo lub lewo, stosowałem się do rady i woli ojca mego, bo ten świat wołyński, z kilkuset osób złożony, był mi prawie zupełnie nieznany. Na sali wyborczej przedstawiał mnie mój ojciec wielu ze znakomitszych obywateli, z których wszyscy prawie byli, jak mój ojciec, w mundurowych kontuszach z kołnierzem paliowym, prócz jednego Stanisława Wurcla, który był we fraku, a kończył urząd marszałka gubernialnego. Wszyscy ci znakomitsi byli ozdobieni gwiazdami z czasów Rzeczypospolitej przy wstęgach, błękitnej Orła Białego i czerwonej św. Stanisława. Jeden tylko generał, Antoni Puławski, niegdyś konfederat barski, a biada mu! później konfederat targowicki, i na koniec generał-inspektor kawalerji niegdyś narodowej, lubo w kontuszu, miał przy polskich orderach i rosyjską gwiazdę. Znał go dobrze mój ojciec, a lubo nie szacował, ale spotkawszy na sali, i temu dał mnie poznać. Przedstawił mnie też podkomorzemu

Strojnowskiemu, Orła Białego kawalerowi, ale już przy szpadzie, a nie przy karabeli, jak wszyscy kon-tuszowi, nosił się bowiem we fraku. Widziałem go później, w roku 1814, w Petersburgu, u senatora hrabiego Kińskiego, gdzie pan podkomorzy tak umiał podobać się dworowi, że tam dopiął senatorstwa, ale nie na długo, bo za panowania tegoż Aleksandra I kazano mu ustąpić z senatu za winę najścia przemocą na sąsiednie grunty małego ze wzrostu marszałka łuckiego, Majewskiego, który w procesie tak ważnym odznaczył się zwycięstwem nad senatorem, licznych włości posiadaczem. Ojciec mój miał z nim znajomość z czasów Rzeczypospolitej, kiedy ów senator był w Łucku adwokatem, gdzie mając sobie powierzone interesy bogatej wdowy, Jełowickiej, zjednał sobie jej serce powabem twarzy i głową, i nakoniec z nią objął Horochów z kilkunastu wsiami, i miał z nią jedną tylko córkę, wydaną za Jana hr. Tarnowskiego z Dzikowa, o którym, jako moim protektorze, mówić będę pod rokiem 1816. Tę żonę jego wówczas w Warszawie poznałem. Senator Strojnowski, w późnej już starości, ożenił się powtórnie z Rosyanką, i dla córki z tego związku przybyłej kupił znaczną majątność w Rosyi. Był on bratem rodzonym rektora niegdyś uniwersytetu wileńskiego, biskupa tejże dyecezyi, a trzeci z nich, dawno już nieżyjący, smutne dla braci zostawił wspomnienie; mówiono mi bowiem, że za czasów polskich był uwięziony i sądzony za zbrodnię zabicia jakiegoś księdza. Na tych wyborach 1808 roku podawano na marszałka gubernialnego generała, na urlopie będącego, Bartłomieja Giżyckiego, urlop bowiem był nieograniczony. Ojciec mój szczerze mu sprzyjał, lubo generał bywał niekiedy w temperamentcie swoim zbyt popędliwym, o czem niżej powiem. Miał on tam za sobą liczną partję, lecz strona prowadząca na ten urząd Aloizego Gostyńskiego, możnego obywatela w powiecie dubieńskim, puściła wieść fałszywą do ucha po

salach wyborczych, że Giżycki byle był obranym, natychmiast ustąpi miejsca trzeciemu kandydatowi, księciu Karolowi Jabłonowskiemu z Ostroga, któremu szlachta, nie wiem dlaczego, wcale nie sprzyjała. Ta intryga dała znaczną przewagę w wotach Gostyńskiemu, którego obrano marszałkiem gubernialnym. W owych czasach nie przedstawiano cesarzowi gubernialnych urzędników do potwierdzenia wyboru. Zwykle zatwierdzał ich cywilny gubernator Komburlej, zastępujący generał-gubernatora. Potwierdzenie przeto nastąpiło nazajutrz, a Gostyński, dobrze przygotowany, dał dla gubernii obiad, na który mój ojciec z synami otrzymał bilet zapraszający. Nazajutrz po tym obiedzie ujrzelśmy przybywającego do nas na salę wyborczą, z niezwykle dotąd asystencyą naszego marszałka. Wyczytał w *uczrzedzeniach* Katarzyny II, że ten urzędnik w czasie zjazdów obywatelskich ma mieć przy sobie eskortę wojenną. Upominał się więc o nią i zaparadował z sześciu na koniach za kareta dragonami. Ta niespodziana pompa podniosła w pychę niektórych z partji Gostyńskiego, że umiał sobie tak wysoką nadać powagę. Ale nie dość na tem. Oto zwykle w czasie zebrania się wszystkich marszałków powiatowych do gubernialnego miasta dla jakichbądź powodów, zasiadali oni za długim stołem z czerwonym suknem, a marszałek gubernialny przy tymże stole przydywał. Gostyński zaś, przybywszy z taką paradą do ich koła, chciał odrazu a widocznie okazać wyższość swoją nad nimi. Sekretarz jego kazał wnieść po za kratki, oddzielające nas od koła marszałków, stolik okryty takimże suknem ze złotemi frędzlami, z boku stołu wielkiego postawiony. Skoro dowiedziano się, że tam osobno ma zasiąść marszałek gubernialny, dotknięci tem powiatowi, odnieśli się z zapytaniem do gubernatora, czy takie jest rozporządzenie najwyższej władzy. I na odpowiedź pana Komburleja sprzątnięto ów osobny stolik, a odtąd Gostyński, niechętny

powiatowym marszałkom, musiał z nimi przy jednym stole zasiadać. W urzędowaniu swoim nie był on wcale czynnym, ciągle prawie zastępował go żytomierski, jak mi mówiono, marszałek powiatowy. Wszedł on bowiem nieszczęśliwie w czasie tego urzędowania w *podrad* o dostawę znaczniejszej partii prowiantów dla wojska. Zboże wówczas było tanie, potem o wiele, bo o drugie tyle podniosło się w cenie. A chociaż dla tego interesu był w Petersburgu i wrócił z orderem św. Anny na szyi, ogromną przecież poniósł stratę z wielkim uszczerbkiem w majątku. Mówić jeszcze będę o nim, jak mnie raz powitał w lat trzydzieści po tem urzędowaniu. Na prezesa sądu głównego departamentu cywilnego, który dziś nazywa się *hraźdanska pałata*, obraliśmy księcia Dymitra Czetwertyńskiego, słusznie chwalonego z prawości charakteru i zdrowego rozsądku. Jedną mu tylko wadę starsi zarzucali, iż nie więcej liczono mu lat wówczas, jak 26. Deputatami na ten sąd główny byli obrani: Jan Wyleżyński, znany z bajek o dwóch kłosach i o kaczcze, członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, później powiatowy nasz w Związku marszałek, na koniec wizytator szkół trzech nasych gubernij, drugim deputatem znany w gubernii z wiadomości prawa i uczciwego w sądzie powiatowym urzędowania, Antoni Woronicz, brat rodzony księdza prałata, później prymas kongresowej Polski, i trzecim był Bartłomiej Hulewicz. Od rządu dodany, zasiadał tam *sowiecnik*, Polak, Stanisław Zakrzewski. Nie pomnę, kto wówczas był obrany na prezesa pierwszego, czyli kryminalnego departamentu. To wiem tylko, że ten departament, gdzie sądzono samych zbrodniarzy i poddanych pod sąd urzędników za dowiedzione przestępstwo jakiegobądź przewarykacyi, mało zajmował obywateli. Przeciwnie zaś, wiele dbano o wybór osób do cywilnego, czyli drugiego departamentu, gdzie o własność majątkową sądziły się liczne wówczas sprawy, zwłaszcza z powiatu owru-

ckiego i żytomierskiego. Pieniactwo pod tą datą prawie powszechną było namiętnością. Obieraliśmy powiatowych marszałków, sędziów, podsędków, pisarzów, deputatów do pierwszego i drugiego departamentu, deputatów do komisji legitymacyjnej, gdzie przydywował marszałek gubernialny, a sekretarz był obrany przez całą także gubernię, ale kto na jaki urząd w jakimobądź powiecie został obranym w r. 1808—nie pamiętam.

Po wyborach lipcowych 1808 roku wróciłem z młodszym bratem moim do szkół międzyrzeckich, gdzie z otrzymaną promocyą wszedłem do piątej klasy. Tytuł obywatelstwa, liźnięty na wyborach, pewną nadawał mi powagę w rozumieniu moich kolegów. Zacząłem więc używać tej mniemanej przewagi nad nimi. Na przedstawienie moje, uczynione Wiktorowi Lenkiewiczowi i Antoniemu Golejewskiemu, ułożyliśmy sobie towarzystwo literackie z wezwaniem kilku innych. Co tydzień, w niedzielę, schodzili się oni do mnie, gdzie przy fajkach czytaliśmy po kolei bądź prozą, bądź wierszem utwory nasze w rozmaitych przedmiotach. Z owych pism własnych nic nie pamiętam, i z tych czasów nie pozostał u mnie najmniejszy świstek. Pomnę tylko, że Wiktor Lenkiewicz odznaczał się pomiędzy nami zawsze jakąś w swem piśmie swawolą lub sarkastycznym dowcipem. Pijarowie wiedzieli o tem towarzystwie i niektóre utwory moje czytywałem memu zawsze opiekunowi, szanownemu księdzu Kulikowskiemu. Nie naganiali nam tego ćwiczenia. Bo też obok tego, w piątej klasie, nad nauką we wszystkich przedmiotach, a szczególnie w matematyce, tak pilnie, z taką pracowałem usilnością, że prefekt Damczewski, nadzwyczaj rad ze mnie, powiedział raz w klasie: „Lat osiemnaście daję matematykę, a dotąd nie miałem tak pilnego ucznia, jak p. Szymon Konopacki.” Jakoż dziś sam podziwiam owoczesne moje pojęcie i pamięć. Zdarzało się, że ten profesor,

zadając nam lekcję z trygonometrii, brał w rękę z patyczków, porządnie i mocno poklejonych figurę z wielu literami, gdzie mnóstwo było pokrzyżowanych trójkątów i czworoboków, których stosunki pomiędzy nimi wyjaśniał, mówiąc raz tylko, a prawie przez pół godziny, i zapytywał: „Czy panowie pojęliście to?” a ja odzywałem się: Ja powtórzę. I udawało mi się bez omyłki powtórzyć. Ztąd profesor polecał kilkunastu moim kolegom, aby schodzili się do mnie dla przygotowywania się na następną lekcję, i ztąd u niego, jako u prefekta, tyle zjednałem sobie względów, że przy końcu szkolnego roku 1809, na jego przedstawienie, cała zwierzchność szkolna zgodziła się na wpisanie imienia mego do złotej księgi. Ale co też ta fortuna z ludźmi wyrabia! Iliński, z czarnej księgi, zasiadł w senacie! A ja... *quel état, et quel état!!!*

Na wiosnę 1809 roku, przez dwa miesiące, począwszy od maja, brałem lekcye konnej jazdy za zezwoleniem zwierzchności szkolnej, a to w bardzo wesolem towarzystwie innych piętnastu, pomiędzy którymi znajdował się i Wiktor Lenkiewicz. Te lekcye dawał nam koniuszy pana chorążego W. K. Jana Steckiego w obszernej jego rajtszuli, na pięknych, dobrze wytresowanych jego koniach. Ów koniuszy, nazwiskiem Biron, zda się Niemiec, brał od nas za miesiąc nauki po trzy dukaty od osoby, a lekcye bywały raz tylko na tydzień, co czwartek po południu. Jeździliśmy tam na bardzo ślizkich, a bez strzemion siodłach. Uczył nas trzymać się kolanami, gdy przyszło skakać w wielkim pędzie przez nastawione dość wysoko drągi. Uczył też zręczności w schwyceniu na kij pierścieni na hakach zawieszonych, podobnie w pędzie, czego nigdy dokazać nie mogłem dla krótkiego wzroku. Z Wiktorem Lenkiewiczem, w godzinach wolnych od publicznych nauk, braliśmy prywatne lekcye rysunków, które się zaczęły z przerwami od roku jeszcze 1807, jak świadczy

ta data, zapisana w zagięciu na dwóch pejzażach mojego pędzla, zrobionych wodnymi farbami, a które dziś w złożonych, brudnych dawnością ramkach, zdobią tu mój pokój bawialny. Miła w nich jest pamiątka przyjaźni z Lenkiewiczem, który też same ze mną widoki ze sztychu kopiował, i miła pamiątka młodzieńczych lat moich.

W 1809 roku bawiła w Międzyrzeczu pani Walewska, z domu Lubieniecka, dla kuracyi u tamtejszego doktora medycyny, Włocha, nazwiskiem Awrezio. Była to, nie pomnę już w jakim stopniu, siostra cioteczna mojego ojca. Po nieszczęśliwie wydanej na świat córce, także od urodzenia kalece, utraciła władzę w nogach, paraliżem tkniętych. Mąż jej, Kacper Walewski, krewny wojewody sieradzkiego w Tuczyń i brygadiera Adama w Połonnem, dojeżdżał do niej niekiedy ze wsi Chotopy, w połowie dziedzicznej Lubienieckich, jej stryjów. Pani Walewska, zamieszkawszy dla kuracyi w Międzyrzeczu, gdy się dowiedziała, że tam ja z moim bratem w szkołach jesteśmy, wezwała nas, jako krewna naszego ojca, do siebie. Była to pięknie ukształcona kobieta i ściśle miała stosunki z niektórymi ze świetniejszych niegdyś domów wołyńskich. Twarz jej dla malarza nie miała wzorowych rysów, lecz brak tej zalety w jej trzydziestu latach wynagradzał w mowie i spojrzeniu wyraz dobroci i łagodności. Ciągłe siedząc w fotelu do którego przenoszono ją z łóżka, ze świętą cierpliwością znosiła stan oplakany zdrowia. Powitała nas z uprzejmą przychylnością familijną. Zastaliśmy przy niej dwóch jej synów, Władysława i Juliusza, z których starszy pozostał dotąd już olysiałym kawalerem, a młodszy ożenił się z hrabianką Krasicką. Bawiła przy niej, jakby dawniej nazywano, rezydentka, bardzo przystojna panna Kulczycka, do której wówczas zalecał się piękny, młody, świeżo wyszły z uniwersytetu doktor medycyny, pan Zejdel, i z nią wkrótce ożeniony, zamieszkał w Starym Konstancy-

nowie. Panią Walewską, jako dobrą krewną moją, często w Międzyrzeczu odwiedzałem. Niedługo ona w kalectwie swoim żyć mogła. Jakoż w rok później dowiedziałem się już w domu, że odrętwiałość od nóg, przechodząc stopniami coraz wyżej, śmierć jej przyspieszyła. Owdowiały Kacper Walewski był u moich rodziców i dawał mi do poznania, że zamierza starać się o rękę siostry mojej, Katarzyny, później Duninowej. Ktoś z jego rodziny skierował go do panny Oświecimskiej i z nią się ożenił.

Wyszedszy z chlubnym atestatem ze szkół międzyrzeczkich księży Pijarów w lipcu 1809 roku, gdy przybyłem z młodszym bratem do domu, zaledwie upłynęło dwa tygodnie, dobry a gruntownie rozsądny mój ojciec powiedział mi: „Wielkim byłoby grzechem, gdybyś ty w domu siedząc, wyszedł na próżniaka, co to bywa nieprzydatny ni ludziom, ni sobie. Trzeba, synu, abyś ty się udał do palestry żytomierskiej, gdzie byleś chciał tylko, nauczysz się praw, jakie i przodkom naszym służyły; bo dozwoliła na to po rozbiórce kraju cesarzowa Katarzyna II i jej następcy Paweł i dziś panujący Aleksander I. Możesz przy pracy schwycić pamięcią owe prawa z samego słuchania wniesień, czynionych przez patronów, i wypadłych na te wniesienia dekrétów sądu głównego cywilnego departamentu. Przygotuj się do tego, że niekiedy będę cię badał o powodzenie spraw, jakie mnie mogą zajmować, gdzie ty masz mi przywodzić zasady, na jakich dekrét jest oparty. Mam dobrą znajomość z zacnym panem Nikodemem Szczepkowskim, który jest mecenasem, a jednym z pierwszych przy sędzię głównym. Będę go przez list mój prosił, aby on cię zaliczył do swoich dependentów. Nim tu ze szkół przybyłeś, już obmyśliłem mieszkanie twoje w Żytomierzu. Podśudek tamtejszego sądu powiatowego, Michał Trypolski, ożeniony z siostrzenicą matki twojej, Zuzanną Budzyńską, ma w Żytomierzu rocznie najętą połowę domu sekretarza

magistratu, pana Horbawenka, z osobną izbą dla czeładzi i z kuchnią. Trzeba ci wiedzieć, że on trzy razy tylko w ciągu roku zjeżdża tam na kadencję, czyli sądy powiatowe, to jest w styczniu, w czerwcu i w październiku, gdzie zabawiwszy trzy tygodnie, najwięcej w mieście, wraca do siebie na wieś, zostawiwszy najętą połowę domu zamkniętą. Otóż oświadczył mi, że ty możesz tam mieszkać. Na twoje konieczne potrzeby przeznaczam dla ciebie roczną pensję dukatów czterdzieści, a osobno na stół trzy dukaty na miesiąc. Te pieniądze odbierać będziesz kwartałami z góry. Ale uprzedzam cię, synu, że w mieście gubernialnem młody, jak ty, człowiek, przy pieniądzach bywa narażany na okropne zgorzzenia. Módl się więc, proś Boga, abyś był wolnym od wszelkiej podobnej pokusy, bo inaczej ciężkie do zniesienia mogłoby cię spotkać nieszczęście. Oto świeży masz przykład. Umarł w tym roku Adam Giżycki, porucznik niegdyś kawaleryi narodowej, brat Franciszka, pułkownika, ożenionego z Sulatycką, i generała Bartłomieja, ożenionego z Ilińską, siostrą senatora. Ten zmarły Adam był bezzennym i już nie mógł się ożenić, bo w młodszych latach poszedłszy drogą zepsucia, oszpecony został utratą nosa i stał się obrzydzeniem dla świata. Człowiek taki jest jakby dawniej wyklęty przez kościół, musi żyć w odosobnieniu, samotny, nikt chętnie do niego zbliżyć się nie waży, bo go dotknęła kara Boża, zaraźliwa, straszna choroba. Niech ten przykład na zawsze utkwí w twej pamięci, a za łaską Boga wyjdiesz na użytecznego ludziom człowieka i zjednasz sobie szacunek. Jest tam kilku, jak mi Trypolski mówił, synów obywatelskich dla ćwiczenia się w prawie, lecz nad wszystkich cytowano mi Antoniego Poradowskiego, który jest synem znanego mi zacnego szambelana Poradowskiego. Staraj się o przyjaźń tego młodzieńca. Mówią, że on już postępek wielkim w wiadomościach prawa odznacza się.“

Skoro dla brata mego Franciszka skończyły się w tymże 1809 roku wakacje, on wysłany został do konwiktów szkół międzyrzeckich, gdzie od osoby płacono rocznie 50 dukatów, a w kilka dni potem, po dostatecznem opatrzeniu mojej garderoby, wyjechałem do Żytomierza.

Palestra Żytomierska.

Przybywszy do Żytomierza wprost na wskazaną mi kwaterę podsędka Trypolskiego, zastałem go tam dla jakiegoś interesu, gdzie dwa dni tylko miał zabawić. Poprowadził mnie wieczorem do kolegi swego, pisarza sądu powiatowego (którym wówczas mianowano: „sąd ziemski“, a dzisiejszą powiatową policję nazywano „sąd niższy“, a ztąd zasiadających tam asesorów, mianowano w zwykłej mowie, „niżnikami“). Tym pisarzem sądowym, mającym wówczas głos doradczy w komplecie, a na zjazdach, czyli kondescensyi, głos stanowczy, był pan Ignacy Dobielewski, następnie podsędek tegoż sądu, potem sekretarz sądu głównego po panu Rożańskim, nakoniec deputat, obrany przez gubernię do cywilnego sądu głównego. Na tym wieczorze zabrałem znajomość z młodym jak ja Antonim Poradowskim, który tam miał swoją kwaterę, poznałem obecnego tam sędziego pana Jezierskiego, który nosił się w kontuszu, podobnie jak pisarz, dał mi się poznać brat pisarza, Feliks Dobielewski, adwokat sądu głównego, i jeszcze dwóch, czy trzech gości, których nazwiska dziś nie pomnę.

Nazajutrz gdy Michał Trypolski odjechał do wsi Wołosowa, gdzie miał część po ojcu swoim, a gdzie poważna wiekiem pani sędzina wdowa matka jego mieszkała, aby ją tylko odwiedzić, bo sam podsędek mieszkał w Tysiunnikach, wziętych w posagu

po żonie, udałem się po mszy świętej do p. Nikodema Szczepkowskiego, który na wspomnienie, czym jestem synem, uprzejmie mnie powitał, a przeczytawszy list mego ojca, z ożywioną w twarzy radością odezwał się: — „Bardzo rad jestem ufności ojca pańskiego! Znajdziesz tu pan młodzież godną jego towarzystwa, z których każdy prawie sposobi się do sądowniczych urzędów, i każdy, byle szczerze pracował, może być użytecznym w obywatelstwie“. Zaprosił mnie na obiad na godzinę pierwszą. Był to dzień świąteczny, w którym juryzdykcy byli zamknięci. Na obiedzie poznałem u niego pana Zenona Ordę z powiatu włodzimierskiego, który w podobnym jak ja wieku, zaciągnął się tu na dependenta. Po obiedzie, gdyśmy oba wyszli na miasto, opowiedział mi, że i dwaj inni, których widziałem u stołu, są dependentami pana mecenas, lecz oni są niższego rzędu, sposobią się jedynie na adwokatów, nic mu za stół nie płacą, lecz za to wysyłani są przez niego do archiwum grodzkiego i ziemskiego dla często potrzebnej kwerendy, przepisują na czysto jego wniesienia i summaryusze, a nadto prawie codzień koleją noszą za nim do sądu głównego pliki dokumentów w takiej ilości, że zaledwie je serweta objąć może.

Prosiłem go, aby mi ułatwił umowę o obiady; zdawało mi się bowiem, że w tym przedmiocie przystęp do mecenasu w kontuszu o złotolitym pasie będzie mi za trudny. Ale nazajutrz, gdy był u niego, on uprzedzony przez p. Ordę, sam przemówił: — „Bardzo chętnie przyjmuję propozycję pana, objawioną mi przez pana Ordę. Mam dobrą znajomość z ojcem pana, więc miłe dla mnie będzie dłuższe z nim towarzystwo, a w dodatku, może w ciągu obiadów znajdzie się niekiedy i korzyść z gawędy, bo nieraz o toczących się sprawach w sądzie głównym wypadnie nam mówić“. — Wydobyłem z woreczka moje trzy dukaty i położyłem je przed nim

na stoliku; on je schował i odezwał się: — „Wypada tylko uprzedzić pana, że niekiedy w sprawach ważniejszych wniesienia obustronne przeciągają się do godziny drugiej, i że w takich zdarzeniach trzeba mu będzie coś przekąsić na śniadanie u siebie lub tuż przy sądzie głównym w traktyerni pani Gruszeckiej“.

Codziennie bywałem na sesjach sądu głównego, gdzie niebawem mnóstwo porobiłem znajomości. Przy pierwszym tam wejściu, skoro deputat Antoni Woroniecz dostrzegł mnie stojącego blisko krtek, on, który bywał u mojego ojca, wnet zbliżył się, powitał, wezwał mnie po za kratki, przedstawił księciu prezesowi i kolegom swoim, a odtąd w tej izbie sądowej już nie byłem obcym. Jowialny Stanisław Zakrzewski, *sowiec* sądu głównego, który dziś nazwany jest towarzyszem prezesa, w przerwach wniesień adwokackich czasem podchodził ku kratkom i żartobliwie odzywał się do nas, młodzieży. Znał on mojego ojca, ztąd niekiedy zapraszał mnie na ciepłe śniadania. Bywałem czasem na wieczorach u księcia prezesa Czetwertyńskiego, który zamieszkał tam z żoną i dziećmi. Książę wiodł życie dość wystawne; dawał niekiedy bale, na które zwykle bywałem zapraszany. Był to kłopot niemały dla pieśzaków, jak ja: dorożek wówczas do najęcia nie było, ulice niebrukowane a okropnie błotne; trzeba było szukać kogoś aby mnie, na bal ubranego, wziął do swojego powozu. Żytomierz natenczas, uznawany tymczasowo miastem gubernialnem, był z pozoru lichym miasteczkiem. Naprzeciw kościoła Bernardynów, przy „kłodzie“, tak nazwanej pod daszkiem mierze zbożowej, leżała na rynku odwieczna sterta gnoju, codziennie wznosząca się. Domy żydowskie, lubo za jezdne, ale drewniane i niektóre do upadku nachylone. Na Cudnowskiej ulicy zakładano fundamenta na jednopiętrową kamienicę skomorowskiego żyda, arendarza wsi Skomorochy. Tuż obok zastałem już jedyną

w mieście kamieniczkę o piętrze Galla, która tam dotąd wiekują obok dzisiejszych gmachów kilkopiętrowych, które i w stolicy mogłyby mieć nieposłednie miejsce. Latarni w całym mieście nie było. Tak nędznie przedstawiało się miasto gubernialne w roku 1809 i 10-m i takim było jeszcze z częściowem wzmaganem się murowanych domów, przez lat kilkanaście, aż po gubernatorze Giżyckim w roku 1826 nastąpił gubernatorem Litwin, Andrzejkowicz, który gwałtownymi środkami zmusił mieszkańców dołożenia kosztów na bruk latwy ze sterzących tam kamieni nad Teterowem i na zaprowadzenie latarni po wszystkich ulicach. Piękna katedra, murowana z czasów rzeczypospolitej, trwa tam dotąd bez żadnej zmiany; lecz nad rynkiem kościół Bernardynów drewniany, fundacyi dawnej starosty żytomierskiego, Kajetana Ilińskiego, spłonął w pożarze miasta roku 1820 w czasie wyborów, za gubernatorstwa Giżyckiego Bartłomieja, ożenionego ze starościanką Ilińską. Ten gubernatorłożył koszt znaczny z przyłożeniem się okolicznej składki na wymurowanie OO. Bernardynom kościoła w miejsce spalonego. Mury klasztorne przy drewnianym kościółku dawnej są fundacyi. Lecz niedługo ten zakon cieszył się nowo-wzniesioną świątynią Pańską. Pokasowano razem wszystkie ich klasztory, a w całej gubernii Wołyńskiej pozostał jeden klasztor Bernardynów w Zasławiu. Przebywając w palestrze żytomierskiej, bywałem najczęściej u Bernardynów na nabożeństwie; ztąd w pamięci mi pozostał nagrobkowy napis na pomniku dla starościny Ilińskiej, z domu Wessłówny. Wiadomo, że z tejże rodziny była żona królewicza Konstantego Sobieskiego. Jakiś poeta bernardyński schwycił to powinowactwo ku podniesieniu rodu pani starościny, i tak po niej żał swój wyraził:

„Z Sobieskich królu polskił twój bliski kwiat nikniel
Wessłowiel wasze grono między trupy padal

Tu Iliński w sieroctwie omglewać przywyknie
 Starosta żytomierski, gdy już zwłoki składa
 Swej żony... Czytelniku! racz się zastanowić!
 Za Maryę-Józefę troje Zdrowaś zmówić!"

Wątpię, aby kto z dziś żyjących wiedział o tym nagrobku, spłinionym w pożarze 1820 roku razem z drewnianym kościołem. Po kasacyi Bernardynów żytomierskich kościół ich, murowany kosztem Giżyckiego, oddany został księżom świeckim.

Wracam do moich tam wypadków w roku 1810. Żebrak obdarty, bo pijak, nazwiskiem Salomoński, układał wiersze, gdzie wprowadzie były rymy, ale sensu ani za trzy grosze. Zeszyt tych wierszy zawsze tenże sam, ale ze zmianą adresowej kartki, obnosił koleją do przybyłych obywateli i nas miejscowych mieszkańców, aby coś otrzymać na wódkę. Był też i u mnie z parę razy z tym zeszytem, a gdy schwylił datek, zwykle prosił, aby mu natychmiast po przeczytaniu zeszyt ten zwrócić. Wówczas oddzierał adres, przyszywał inny, i szedł dalej próbować szczęścia. Salomoński, jak się później okazało, powziął od kogoś wiadomość, że ja składam wierszyki; było to na moją konfuzyę, jaka mnie niebawem, a niespodzianie spotkała. Książę prezes Czetwertyński mieszkał dość daleko od izby sądowej, na końcu ulicy Wilskiej. Raz po długiej slocie, wychodząc z sesyi, wezwał mnie na obiad i zaprosił do swojego spuszczonego koczka. Noga za nogą, jadąc powoli po ogromnem błocie przez miasto, zbliżamy się do miejsca, gdzie trzech posługaczów policyjnych pora się koło kogoś, aby pijanego wydobyć z rynsztoka. Za ledwie podtrzymując, postawili go na nogach, on dostrzegłszy nas blisko siebie, żałośnie zawołał: — „Kolego! kolego, panie Konopacki! ratuj mnie!” — Książę uśmiechnięty spozirzał na mnie, i ja, lubo z goryczą w duszy, zaśmiałem się. Ale razem wytłómaczyłem księciu zagadkę owego w rymach koleżeństwa. Tym sposobem rad nierad musiałem objawić księciu upo-

dobanie moje w poezyi. Z takim bowiem usposobieniem wypadało wówczas ukrywać się, bo nazwa poety, po większej części, była tytułem próżniaka.

Pomiędzy kolegami moimi w prześwietnej palestrze był młody z powiatu łuckiego Węgrzecki, prostoduszne stworzenie Boże, który później, przez wpływy familijne, zostawszy marszałkiem tegoż powiatu, zostawił po sobie pamiątkę szczególniejszego rachunku lat swoich. Gdy był na tym urzędzie, raz z gronka obywateli na jego obiedzie, gdy on coś prawil o dawniejszych czasach, ktoś zapytał go, kiedy się rodził. Na daną jego odpowiedź, ktoś drugi rzetelną powiedział liczbę jego lat. On na to: — „Przepraszam! Mylisz się, mocimbdzieju! Ja przyszedłem na świat dnia pierwszego września, to jest o cztery miesiące przed nowym rokiem; a przeto należy potrącić z każdego roku lat moich po cztery miesiące, a zobaczysz pan, mocimbdzieju, że o wiele jestem młodszym niż się komu zdaje”. — I ten sławny rachunek, nie dla żartu, ale jakby najściślejszą prawdę matematyczną powtarzał, chlubiąc się tem własnem odkryciem.

W palestrze będąc, mnóstwo porobiłem znajomości z przybywającymi za interesami obywatelami. Jeden z takich, z powiatu żytomierskiego, młody Józef Głębocki, mocno mnie polubił. Często on tam dojeżdżał ze wsi do brata swego Kantego, który był powiatowym marszałkiem. Wesolo dni moje schodziły i nie zawsze beczynninie. Pan Szczepkowski powierzał mi niekiedy ważne i mniej ważne dokumenty dla ułożenia rozumowanych sumaryuszów. Czasem nudzącą mnie beczynność osładzało najmielsze towarzystwo Antoniego Poradowskiego, z którym w ścisłych byłem stosunkach. Dojeżdżał tam niekiedy mój przyjaciel i kolega szkolny, Józef Bobrowski. Pomnę, że raz przybył w zimowej porze i zajechał wprost do mojej u Horkawenka kwatery. Po odbytych ze mną noclegu, gdyśmy zaczęli się ubierać, zapytałem

go: „Czy na poranny traktament będziesz pił, kochany Józefie to, co ja teraz pijam?“ — „Ja zgodzę się na wszystko, czy dasz kawę, czy herbatę“ — odpowie. — „Nie zgadłeś!“ — rzekłem mu — bo ni jedno, ni drugie, ale najtańszy krupniczek jęczmienny nawet bez mięsa, nawet bez masła.“ — Zaśmiał się i rzecze: — „A zkądże u licha ten twój post tak ścisły? — „Słuchaj, a nie zdziwisz się. Biorę od mego ojca kwartalną pensję z góry. Tymczasem, w bieżącym kwartale zdarzyły się potrzeby nieprzewidziane, a ni by konieczne, które pokazały mi wkrótce denko mojego woreczka. Znam dobroć ojca, on na przedwczesną moją odezwę nie odmówiłby mi przysłania pieniędzy; ale wiem z pewnością i o tem, że zmartwiłby się, iż nie umiem zastosować rozchodów do mojej możliwości; a dałem sobie słowo nic tu nie brać na kredyt, ani też długu jakiego zaciągać. Garnuszek krupniku, oto w tym piecu zgotowany, kilka groszy kosztuje. Mam jeszcze ze trzy złote, one mi na to wystarczą; a za parę tygodni, to jest w terminie właściwym, ojciec niezawodnie kwartalne przysła pieniądze“. — On na to: — „Ale weźże u mnie kilka rubli, a potem je oddasz!“ — Pożyczyć nie mogę, bo przelamałbym dane sobie słowo; a darowizny, nawet od ciebie, drogi mój Józefie, nie przyjmę. Jeśli mnie kochasz, to na pamiątkę ku dalszym latom napijesz się ze mną postnego krupniku. — Zawołałem na mego fagasa i ten przyniósł nam na tacy dwie szklanki i parujący krupnik w garnuszku. Ten kochany Józef Bobrowski, przyjaciel mój do śmierci, zawarł też ścisłe stosunki z Antonim Poradowskim i obadwa nieraz razem bywali u moich rodziców, a co z tego wynikło, niżej, lubo z boleścią serca, opowiem.

A co do spraw w tym sądzie głównym, ileż to wniesień obito się o uszy moje! Nie mogę dziś wyliczyć ważniejszych nawet procesów, toczących się przy mnie po lipiec 1811 roku, to jest po datę wyborów, na których obrano mnie już urzędnikiem. Nie-

które przecież utkwiły mi w pamięci. Trudnożbo zapomnieć, na przykład, o podłem frymarczeniu, przez które wyludzano rewersa u marnotrawców, jakim był np. Teodor Urbanowski, młody dziedzic dóbr Cepcewickich, który, jak jemu podobni, poddawał majątek pod rozbiór. Sławna też sprawa tam była przeciw panu Korzeniowskiemu, dziedzicowi Kodni, z czasów, gdy on był prezesem tegoż sądu głównego, a pod cudzem imieniem nabywał dobra małoletnich Moczulskich za najlichszą cenę. Wnosił tę sprawę przeciw Korzeniowskiemu adwokat Wincenty Łoziński, ojciec niedawno zmarłego w Syberyi Bolesława, który był ożeniony z córką J. I. Kraszewskiego, jednego dziś z najznakomitszych autorów naszych, która owdowiawszy, wracała do Warszawy z dwojgiem małoletnich dzieci i nagle w drodze na stacyi pocztowej umarła, a szczęściem dla tych sierot, ktoś także wracający z Syberyi, zabrał je do Warszawy, aby oddać ich babce tam mieszkającej osobno od męża, bo nasz kochany autor zamieszkał w Dreźnie. Wincenty Łoziński we wniesieniu swoim wcale nie szczędził obecnego w sądzie sekretarza pana Różańskiego, który w tym urzędzie był i przy Korzeniowskim, a co dziwniejsza, nie szczędził również rodzonego brata swego, Feliksa Łozińskiego, który będąc plenipotentem Moczulskich, zmownie z prezesem i sekretarzem, działał na szkodę małoletnich. Na tę zdrożność mrowie przechodziło po mnie! Mniemałem, że po tem wniesieniu tak ohydnej czynności krwawe niechybnie nastąpi starcie się pomiędzy Wincentym Łozińskim a panem Różańskim. Lecz jakież było zdziwienie moje, gdy po zadzwonieniu na ustęp, wśród licznie zebranych nas w bocznej sali, wpadł uśmiechnięty z izby sądowej sekretarz, zaczął ścisnąć i całować adwokata, mówiąc mu głośno te słowa: — „Bodaj ciebie, panie Wincenty! Wszak i bez tej sprawy wszyscy wiemy, żeś ty poczciwy człowiek; a bez

żadnej potrzeby wiele szczegółów przedstawiłeś". — I na tem skończyło się tak silne dotknięcie honoru.

Pomiedzy poważnymi wiekiem mecenasami najpiękniejszą odznaczał się wymową i wielką znajomością prawa pan Dubrowlański, już o siwym włosie. Mówiono, że należał on za czasów jeszcze Rzeczypospolitej do palestry lubelskiej. Był osiadłym obywatelem powiatu żytomierskiego, jako dziedzic wsi Kokulina, którą na prawie dożywotniem zostawił owdowiałej żonie. Głoszono piękność ich córki, która wyszła za Andrzeja Niewmierzyckiego, dziedzica wsi Stolpowa pod Cudnowem, i miała z nim córkę, wydaną za Piotra, syna Michała Trypolskiego. Lecz pani Andrzejowa Niewmierzycka, na lat kilka przed wyjściem za mąż swej córki, dość jeszcze młoda i piękna, dała się skłonić podszeptom pana Adolfa Grocholskiego, wymknęła się tajemnie z domu męża i osiadła w domu pana Grocholskiego, w Czerwonej, przebrana po mężku pod imieniem młodziutkiego Dunina. To jej tam przebywanie trwało lat ze dwa. Ale raz, pan Andrzej przybywa dla sprawunków do Berdyczowa i spotyka na ulicy miasta nadzwyczaj paradny z pochodniami kondukt przy asystencji rozmaitych księży. Zapytuje kogoś z niezajomych, czyj to jest pogrzeb, a ten mówi mu: „Pani Niewmierzyckiej ze Stolpowa.“ — Powinien był powiedzieć Czerwonej. Ale widząc pan Grocholski, podejmuje koszt dla niej ostateczny na tę paradę, chciał zatrzeć przed światem jej nieprawę u niego przebywanie. Mówiono, jakoby tej nieprawości sprzyjała jej matka, stara pani Dubrowlańska i ztąd później ożeniony z jej wnuką Piotr Trypolski, gdy ta bywała niekiedy z uszanowaniem u babki w Kokulinie, nie chciał nigdy tam towarzyszyć swej żonie, i nie mogąc przebaczyć obojętności tej staruszki na zboczenie jej córki, nie życzył sobie poznać jej nawet. Tu nadmienić potrzeba jeszcze o widzeniu, jakie miał ten Piotr Trypolski. Gdy pani Dubrowlańska

umarła, on po raz pierwszy przybył do Kokulina, aby w imieniu jej wnuki, a swej żony, objąć tę wioskę prawnym porządkiem. Tam samotnie nocując w pokoju niegdyś nieboszczki, gdy przy świecy w łóżku długo w noc czytał, nie mogąc zasnąć, zjawia się postać nieznanego mu staruszki z oburzeniem w twarzy; milcząca, pogroziła mu palcem i znikła. Opowiadał potem o jej ubraniu, i poświadczono, że w takim właśnie położono ją do trumny. Zapisuje ten wypadek dla siebie, nie oglądając się na żarty innych z duchów, niezgodnych z wysoką oświatą dziewiętnastego wieku. Ja prostak, wierząc w nieśmiertelność duszy i wszechmocność Boga, przypuszczam sobie, że owe widzenia zdarzają się za Najwyższą Jego wolą, jako przestrogi ku dobru ludzi. Rozważmy następstwo owej groźby staruszki. Pani Piotrowa Trypolska wyszła za mąż w latach szesnastu i była cudnie piękna. Kochał się w niej, lubo żonaty, blizki o miedzę sąsiad Stolpowa, mieszkający w Drennikach pan Słowacki, stryjeczny brat znanego w kraju poety Juliusza. Zazdrość nim miotana na widok szczęścia Trypolskiego. Na samej granicy gruntów stolpowskich jest małe jezioro, należące do Drennik. Tuż nad tem jeziorkiem były zebrane konopie pana Andrzeja Niewmierzyckiego, jako na własnym jego polu. Ekonom jego, nie zasięgając rady swego pana, namoczył te konopie w swem jeziorku. Pan Słowacki, rad sposobności do ostrej zaczepki, nie zrobił odezwy z jakimi bądź wyrzutami do tak blizkiego sąsiada, właściciela namoczonych konopi, lecz napisał list do jego zięcia Piotra Trypolskiego, gdzie najszkaradniej obryzgał błotem i pogardą jego teścia. Ów oszczerczy list, wysłany o trzy mile do wsi Raczek, gdzie Trypolscy natenczas mieszkali, w niebytności męża odebrała żona. Wyczytawszy w nim niezasłużony paszkwil na ojca, odpisała mu krótko, że z tej jednej sprawy o namoczenie konopi wnosić wypada, iż wszystkie niegodzi-

wie uczynione zarzuty jej ojcu raczej do niego stosować się mogą. Z tej odpowiedzi pan Słowacki wziął pochop do wyzwania jej męża na pojedynek. I niewinny, poczciwy Piotr Trypolski, strzałem z pistoletu trafiony w samo serce, padł trupem, zostawiając młodą wdowę i osierociwszy troje małoletnich dzieci. Słowacki w obawie prześladowania od rządu zemknął za granicę. Lecz po upływie roku, tęskniąc do swoich, a w sumieniu czując się winowajcą, napisał z Brodów list do wołyńskiego marszałka gubernialnego ś. p. Karola Mikulicza, aby on sprawę jego pojedynekową, jako konieczną, bo honorową, raczył poddać pod sąd całego koła marszałków powiatowych. Z odpowiedzi Mikulicza, wyrozumiawszy, że mu tu nikt ręki nie poda, w Brodach w łeb sobie wystrzelił.

Po tak długim ustępie o sukcesorach mecenasa Dubrowiańskiego wracam do mojej palestry. W następnym 1810 roku, korespondując niekiedy z moim ojcem, chętna mnie wzięła ku jego pociesze naśladować Antoniego Poradowskiego, który często czytywał przy krótkach sądu głównego wymowne wniesienia swoje. Ośmieliłem się prosić p. Szczepkowskiego, aby mi dał jeden z procesów wytoczyć się mających w sądzie powiatowym. Jakoż powierzył mi sprawę żyda przeciw panu Michałowi Korzeniowskiemu, dziedzicowi Kodni, o tysiąc kilkaset rubli. Po przejrzeniu dokumentów uznałem sprawiedliwość w zaroszczeniach powoda. Ztąd, bez żadnych wybiegów prawniczych, dało się ułożyć przekonywające wniesienie, którego nawet nie dawałem do przejrzenia mojemu mecenasowi. Wystąpiłem z tą sprawą u krótki sąd powiatowy i miłe mi było zdziwienie krewnego mego podsądka, Michała Trypolskiego, i znanych mi: sędziego Karola Jezierskiego i pisarza Ignacego Dobielewskiego, którzy tę sprawę sądzić mieli. Wykretnie było tłumaczenie się plenipotentą pana Korzeniowskiego, nie zasługujące

z mojej strony na replikę. Uśmiechnąłem się tylko i sprawę żyda wygrałem, nie widząc go ani wprzód, ani po wygranej. Było to pierwsze i ostatnie w Żytomierzu moje wystąpienie adwokackie. Ale do ciotki mojej, Józefy Budzyńskiej, mieszkającej w Wygnance o mil dziesięć, wdowy po Wojciechu Budzyńskim, a stryjecznej siostry mojej matki, doszła wieść o tym tryumfie moim. Ona dowodząc mi wielkiej rodzinnej przychylności, uznała już godnym ufności jakoby prawnikiem. Odebrałam od niej list, wzywający mnie do wpływu w jej interesie z sukcesorami zmarłego marszałka Czajkowskiego w powiecie Żytomierskim, po którym majątek poddano pod rozbiór. Ten Czajkowski należał do *podradu* o dostarczenie prowiantów wojskowych. W tym celu zakupił zboże u mojej ciotki, dał na to dokument i nie uiszczył się. Przysłała mi ciotka odezwę Czajkowskiego o sprzedaż owego zboża i potem wystawiony przez niego dokument, a przy liście ciotki mojej było przyłączonych kilkanaście rubli srebrnych na koszt podróży. Należało się ciotce mojej, wedle dokumentu, dwa tysiące kilkaset rubli, oprócz procentów. Prosiła mnie w liście swoim, aby z temi jej dokumentami udać się do wsi Ozadowki pod Berdyczowem na oznaczony termin oblikwidacyi długów, co zwykle poprzedzało eksdywizję długów majątku.

Pomnę, jaka mnie radość objęła na tę ufną kochanej ciotki i że na zjeździe w Ozadowce poważną już rolę odegrałem. Nie dziwi mnie dziś ta chępliwość, bo wówczas jeszcze nieskończonych miałem lat dwadzieścia. Najawszy brykę żydowską, ruszam o mil kilka na oznaczony termin do Ozadowki. Dość późno przybywszy, zajechałem do karczmy na nocleg. Nie wiem, co mój lokaj znalazł tam na wieczór za wziętą u mnie złotówkę. Ja, lubo głodny, ale zdrowy, najsmaczniej zasnąłem. Nazajutrz, ubrawszy się, wypilem szklankę przegrzanego mleka, i po fajce, po godzinie ósmej, już byłem gotów je-

chać do dworu, kiedy karczemny arendarz wszedł do obrachunku za nocleg. Gdy odebrał, co mu się należało, pytam go, kto dziś we dworze jest gospodarzem? — „A pan nie wie?” — A nie wiem i dlatego pytam. — „Może pan ślisał o bracie marszałka, co umarł, a jeżeli nie ślisał, to ja powiem: pan Czajkowski, starosta bachtyński, to won teraz tam gospodarz.” — Powiedz mi co o tym staroście, czy on człowiek wiekowy, czy bogaty? — „Młodszy on był od swojego brata, marszałka, ale już dobrze siwy; a co do bogactwa, at! On, prawda, ma majątność, no, co to za sztuka, że zbiera pieniądze, które ktoś dalszy zabierze, bo on dzieci swoich niema. Win taki skąpy, tak na grosz łapczywy, że żyd najuboższy więcej straci na żywność, niż pan Bachtyński. Win mięsa nigdy nie kupi; ale jak zobaczy na swoim dziedzińcu świnię ze wsi, to każe łapać i uszy im obrzynać, a z tych uszów gospodyni gotuje jemu potrawkę. At! paskudny człowiek. Wszyscy tu mówią, że on obiadu nie każe gotować, bo i kucharza niema. W święto tylko z piekarni jeść mu przynoszą. A na codzień wie pan, jak on żyje? Oto wychodzi na tok albo w pole zrana do robotników, kiedy kobiety przynoszą mężom ich obiady. Win tak wstydu niema, że idzie od garnuszka do garnuszka i każdej z tych kobiet mówi: „Muszę też zobaczyć, jak wy szelmy baby karmicie swoich mężów!” — I po kolei tu chlipnie kilka łyżek barszczu, tam po trochu u każdej to klusek, to kaszy lub grochu i już na cały dzień był syty. Jakże jemu nie być bogatym?” To może i z nas gości nierad będzie? „Nu, gdyby to szło o jego majątek, to pewnie państwo tam byliby głodne. Ale wdowa po marszałku przysłała kucharza z Berówki i sama dziś przyjedzie, bo dziś urzędników spodziewała się.” Po takiej wiadomości o staroście bachtyńskim niezwłocznie siadłem do bryki i ruszam do dworu. Nie zastałem jeszcze nikogo z gości. W pierwszym pokoju spotkał mnie

pan starosta. Powiedziałem mu przy ukłonie, kto jestem i po co przybyłem. On na to: „Czy pan nie jesteś synem Prokopa?” Z odpowiedzi mojej dowiedziawszy się, że tak jest istotnie, zaprosił mnie do drugiego pokoju, gdzie zaledwieśmy usiedli, przyniesiono mu na małej tacce kawę w jednej tylko filiżance. Na ten widok pomyślałem, że z tego podania posiłek nie dostanie się dla mnie. Lecz omyliłem się; bo pan starosta, dolawszy do swojej kawy połowę garnuszka śmietanki, podaje mi resztę i rzecze: „Może pan tę trochę wypije”. Rumieniec uderzył na twarz moją z oburzenia i wstydu, że mnie uważa za młokosa, który na śmietance poprzestanie. A więc skłamałem: — Dziękuję panu, ja już po kawie. — Wkrótce potem zaczęli zjeżdżać się wierzyciele nieboszczyka, krewni i urzędnicy, wielu też było i plenipotentów, znajomych mi z Żytomierza, a przy tem kilku z młodzieży, co zwykle, byle okoliczność, ściągają się na zjazdy. Podano nam obfite śniadanie zimne i ciepłe, po którym, pod prezydencją urzędników sądu powiatowego, w obszernej sali, zaczęto na ich wezwanie, w akcie zjazdowym zapisane, przedstawiać dokumenta, które plenipotent od masy przeglądał i nad niektórych ważnością czynił przeczące uwagi. Z kolei i ja dokument, ciotce mojej Budzyńskiej służący, złożyłem. Bez żadnego zaprzeczenia wpisano dług jej należny, jako mający być uiszczony przez wydział w ziemi. Pod koniec tych wpisów nadjechała w żałobie po mężu młoda i bardzo miła pani marszałkowa. Młodzież natłocznie garnęła się do niej z powitaniem a ja nieznanym prosiłem obecnego tam Józefa Głębockiego, aby mnie jej raczył przedstawić. Po sutym, a dość późniejszym dla całego zgromadzenia obiedzie, gdzie z kobiet sama tylko była gospodyni, wszyscy młodzi otaczaliśmy ją grzecznościami, na jakie kogo starczyło. Jeden nawet z krewnych jej zmarłego męża z tem się odezwał: „Pani wyobrażenia mieć nie mo-

żesz, jak mocno działa na nas ten czarny jej ubiór! Naprzód przy tym kolorze cudnie odbija wdziek jej lat wiosennych! Powtóre pod tym ubiorem... wdowa! Ten jeden wyraz ściąga konieczny hołd światu. Jakby religijny? O! w tak młodych latach, przy takich powabach, utraciwszy podeszłego męża, wiele się zyskuje na żalobie! Zarumieniona spuściła oczy i po chwili przytłumionym głosem rzekła mu: „Pozwoli pan, abym zrobiła mu na to uwagę, iż z mojego położenia żart widoczny z ust jego zdaje się niewłaściwy“. Przeprosił ją ucałowaniem ręki i znów uśmiechnięta obdzielała nas czarami swej uprzejmości. Wieczorem po herbacie ktoś zaproponował gry wówczas powszechne. Graliśmy to w sekretarza, to w sąsiada, to w dwuznaczniki, a gdy przyszło się komuś na cenzurze, a na mnie wypadło zbierać tajne o nim zdania i zbliżyłem się po kolei do pani marszałkowej, ona mi szepnęła: „Ja naprzód pana cenzuruje za jego imię Szymon, czemu nie Erazm?“ — Kążesz pani? — odszepnąłem jej — wnet jestem odtąd Erazmem. — Objawiła mi do ucha niewinne jakieś zdanie o siedzącym na cenzurze, a po mojej głowie płacze się zagadka dlaczego mam być Erazmem? Po grach ukończonych, gdy już miano podawać wieczerzę, wzięłem na bok Józefa Głębockiego i zwieram się z owego tajnego wymagania gospodyni. On uśmiechnięty szepnął mi: „Bardzo ci winszuję! Pewnie żadnemu z nas tego nie powiedziała; widać, żeś ty jej się podobał“. Dziwny jesteś w tym domyśle! Cóż w tem za dowód? „Otóż kiedy chcesz dowodu, to powiem. Ona, nie mając jak lat 15, przymuszona przez ojca wyszła za starego wdowca, a kochała się w młodym Erazmie Lenkiewicz, którego imię tobie chce nadać. Co ty na to? No, podumaj, chłopczel! Wszak przyznasz, że wdówka jak pączek świeżo rozwity, a ja dodam, że ten pączek dobrze jest oprawny“. At — rzekłem mu — żartujesz sobie z dwudziestoletniego młodzika. — I na tem ur-

waliśmy rozmowę o niej. Ale na tym wieczorze zaczęto już mnie nazywać Erazmem, bo Głębocki powiedział niektórym, że to jest drugie moje imię. Na nocleg udałem się znów do karczmy, gdzie u żyda zamówił sobie kwatere, aby rano odjechać ztąd do Żytomierza. Nazajutrz rano, nim zdążyłem ubrać się, jakże mnie ujęła pamięć o mnie grzecznej pani marszałkowej! Na ogromnej srebrnej tacy przyniósł mi jej lokaj kawę z całym srebrnym przyborem, z cukiernicą, z pięknym koszykiem słodkich, jak jej spojrzenie, ciasteczek. Wprawdzie więcej mnie to kosztowało, niżbym zapłacił w traktierni, bo dałem lokajowi rubla, ależ jakaś głupia uluda droższa mi w tej chwili była nad wszelkie skarby! A przecież wróciwszy do Żytomierza, wkrótce przestałem marzyć o tej wdowie i dotąd nie zdarzyło mi się spotkać jej gdziekolwiek. We dwa lata po tym zjeździe oblikwidacyjnym wyszła za Ludwika Kraszewskiego, któremu później senator Iliński wyjednał staraniem swoim u papieża tytuł hrabiego Państwa Kościelnego. Ten tytuł bardzo stosownym był zażyczytem dla kawalera maltańskiego, który na wszelkich zgromadzeniach lubował się jasnością pónsowego z bułonami munduru. Co do jednodnionej zmiany mojego imienia, którem przecież nigdy się nie podpisywałem, doszła ona do moich rodziców, nie wiem przez kogo, gdyż i nim przybyłem do domu, odwiedził ich raz gwardyan Bernadynów cudnowskich, który gdy zapytał: „Czy pan Szymon zawsze jest w Żytomierzu?“, matka moja odezwała się jakby z żalem: „Nie ma już Szymona!“ — „Jezus Marya! — ksiądz zawołał. — „Jest on tam, jest, dzięki Bogu! ale pod imieniem Erazma, tak go dziś młodzież nazywała“. Gwardyan oburzył się na to i przedstawiał straszną dla mnie obrazę istotnego Patrona, nalegając przy tem, abym wrócił do nadanego na chrzcie imienia. Co zaś do mojego ojca, ten, skorom przybył do domu, powiedział mi: „Zmieniać imię dla

czyjejs fantazyi jest wielką płochością. Nie chcę, abyś się zwał Erazmem. Dano ci dwa imiona na chrzcie ś-tym: Szymon i Ewaryst, i tak zapisany jesteś w dekrete naszej legitymacyi szlacheckiej. Z płochej przemiany imienia mógłbyś kiedyś mieć niesłychanny kłopot". Upewniłem ojca, że podpisuję się i zawsze podpisować będę mojem właściwem imieniem Szymon. Lecz później w lat 12 odebrałem w Krzemieńcu, gdym urzędował w komisyi edukacyjnej, list z Petersburga od młodego przyjaciela mego, zaczęty od tych wyrazów: „Kochany Erazmie!" W odpowiedzi prosiłem go, aby mnie zwał Szymonem.

W tymże 1810 r. ojciec wezwał mnie do podróży z nim na kondescensję w powiecie rowieńskim do wsi Cholop, w sprawie o melioracyę posagu po jego babce. Proces z Lubienieckimi o to był rozpoczęty jeszcze za Rzeczypospolitą i nie było w nim przemilczenia. Sprawę tę miał sędzić zacny podsedek żytomierski, Michał Trypolski. Plenipotentem od strony przeciwnej był znany mi, młody i przystojnej adwokat z Żytomierza, Jan Żeromski, który wkrótce potem ożenił się z bogatą wdową Gardlińską, bratową starego Aleksandra Gardlińskiego z Semenówki. O nich później będzie kilka wzmianek. Kondescensya w Cholopach trwała przez dwa tygodnie. Bywały tam dość żywe spory, wybiegami jurystów podsycane, a przerywane kielichem, przy którym nakoniec przyszło do zgody, lecz ta nawet kosztów prawnych ojcu memu nie wróciła. W ciągu tego zjazdu zaproszeni byliśmy na obiad do rowieńskiego marszałka, którego nazwiska nie pomnę. Liczne zastaliśmy tam zgromadzenie, gdzie ojciec prezentował mnie gospodarzowi i niektórym z gości, a pomiędzy tymi księciu Józefowi Lubomirskiemu, kasztelanowi kijowskiemu, dziedzicowi Równego. Ten książę ożeniony był z kochanką niegdyś Tadeusza Kościuszki, hetmanówną litewską, Sosnowską, i był

ojcem Fryderyka, a dziadem znakomitego muzyka, Kazimierza Lubomirskiego, który niedawno umarł za granicą, o czem tu wieść doszła.

W tymże 1810 roku na wezwanie ojca przybyłem do domu z Żytomierza, aby z rodzicami, starszym bratem i siostrami być na ślubie Ignacego Budzyńskiego, który się żenił z Kunegundą Ilińską, młodszą córką Ksawerego Ilińskiego, podkomorzego powiatu ostrońskiego we wsi Żemelinach, gdzie on prawem zastawu mieszkał. Ze związku Ignacego Budzyńskiego z Kunegundą Ilińską w roku 1810, w roku następnym 1811 przyszedł na świat syn ich najstarszy, Michał. Matkę jego prowadząc do ślubu, nie mogłem rościć sobie, aby później w lat 44 ten syn ich Michał, miał być moim zięciem, a przecież wróciwszy z emigracyi, ożenił się w roku 1854 z najstarszą córką moją, kochaną Otolią, wdową po Piotrze Lasocie.

O! ten rok 1810, stał mi się pamiętnym na całą resztę życia z poraż pierwszy powziętych uczuć, dotąd niewygasłych! Cioteczny brat mój, Kazimierz Budzyński z Wygnanki, starszy odemnie o lat sześć, od młodzieńczych lat moich najczulszą okazywał mi przychylną braterską. Młody, przystojny, dość majątny, szukał zabaw i lubił uczęszczać na zasłyszane i w dalszej okolicy baliki, na których mniej zachwycała go piękność twarzy, jak przy wyższym wzroście powab ułożenia panny; i dla takiej gotów był o mil dwadzieścia pojechać, aby z nią tańczyć i słów kilka do niej przemówić. W tym roku dowiedział się on, że w Żytomierzu ma być w jesieni ósmego listopada, to jest św. Michała, na imieninach gubernatora. Komburleja liczne zgromadzenie. Pisując niekiedy do mnie, nadmieniał raz w liście, że na ten bal zjedzie i że chce przedstawić mnie solenizantowi, który już osobiście był mu znany. Przygotowawszy cały ówczesnie używany przybór galowy, niecierpliwie oczekiwałem przybycia Kazimierza. W sam dzień balo-

wy, już zmrok zapadał, kiedy żydek z domostwa zajezdnego wpadł do mnie z wiadomością, że jakiś pan przybył do nich i wzywa, abym z nim był na balu. — A gdzież powóz? — pytam go. — Na progu domostwa os żelazna pękła u koczka, ale już kowal spogrzewa ją. Niech panicz idzie tam piechotą. — Nie było innego środka! W niebrukowanym Żytomierzu błoto grzązkie sięgało natenczas po wszystkich ulicach wyżej kostek. A więc w połowie ubrany, ruszam w butach, a mój służący niesie za mną w zawiniątku całą paradę nieznoszącą błota, jako to: jedwabne pończochy białe, trzewiki i krótkie niższe ubranie, a przytem frak najnowszej mody. Zdziwiłby się dziś, gdyby to ktoś czytał, czemu nie wezwałem dorożki? Ale po naszych miastach spał jeszcze przemysł utrzymywania dorożek; nikt za żadne pieniądze dostaćby ich nie mógł. Wierzono w to, że tak Pan Bóg chce, aby ten piechotą brnął po błocie, kto powozu swego nie ma.

Powitałem serdecznie Kazimierza. Po naszych uściskach, gdy kowal w sieni pora się około osi, obiecując ją spogrzzać za godzinę, Kazimierz wezwał gospodarza i bada go, jacy i zkad goście przybyli do miasta. Żyd natychmiast wyliczył ich dość długi szereg, a gdy wymienił: — Jest i z Wołczyńca pani podkomorzyna Zaleska z całym domem — dostrzegłem, że mój kochany badacz drgnął widocznie i odezwał się do mnie po francusku, że jedna z córek tej pani, Teofila, dość słusznego wzrostu, piękną ma figurę i prześlicznie tańczy. Zapytał żyda, gdzie pani podkomorzyna zajechała? Ten wskazuje mu po drugiej stronie rynku dom wprawdzie niedaleki, gdzie jasne biło światło z okien, ale przejść potrzeba przez ogromne błoto. Kazimierz szepnął mi: — Jedźmy tam konno. Lokaj narzuci nam dery na konie, a na trzecim pojedzie za nami, aby konie zabrać i wrócić po nas czterema z naprawionym koczem, a pociemku nikt nas jadących konno nie pozna. —

Zgoda. — Oczyszczono moje buty, w których przyszedłem, ubieramy się we fraki jak na pierwszą wizytę i w duchu rycerskim, jakby na zdobycie serca, puszczamy się w imię Boże. Ale czy mogłem ja przewidzieć, co mnie tam czeka?... Przychodzi mi na myśl pierwsze tam widzenie wnuki pani Zaleskiej, czternastoletniej wówczas Józefy Bierzyńskiej, i po jej śmierci, w roku 1850 nastąpionej, widzenie się moje w Pieńkach z jej krewną, wdową po Jakobie Cichońskim, którą troskliwie badałem z jakiej choroby pani Turkułowa życie zakończyła.

Pani Cichońska, odpowiedziawszy na to, żalem przejęta, pokiwała głową, patrzy mi w oczy i rzece: — Ach, jak ona pana kochała! — Na wspomnienie tych jej wyrazów lzy kręcą mi się w oczach. O! pierwsze podobne uczucie, jakim ona mnie natchnęła, trwa w nas niezachwianie przez najdłuższe lata i wchodzi z nami do grobu. Ale, Boże wielki! Zbrodnia cięży na mnie! Młodzieńcza moja nierozwaga stała się przyczyną bolesnych łez jej i nieśczęsnego jej losu.

Przywiode najprzód dla pamięci całą domową rodzinę pani podkomorzyny Zaleskiej. Oddawna wdowa, a w latach już sędziwych, miała dwóch synów: Seweryna, marszałka żytomierskiego, ożenionego z Bierzyńską z Pawszanki urodzoną, i Kantego, który pułkownikiem gwardyi umarł w Petersburgu, a córek pięć. Z tych najstarsza wyszła za wdowca, Józefa Bierzyńskiego, który był teściem Seweryna Zaleskiego, druga za generała Mantejfla, po którego śmierci w powtórny weszła związek z bogatym generałem Gudowiczem i trzy jeszcze panny: Teklę, Teofilę i Julię. Ze związku najstarszej córki pozostało dwoje zupełnie osieroconych dzieci: Świętosław i Józefa Bierzyńscy, dla których, gdy oboje rodzice pomarli, Seweryn Zaleski, wuj ich, a zięć ich ojca, stał się opiekunem znacznego ich majątku; Świętosław oddany był do

liceum krzemienieckiego, zwanego jeszcze gimnazjum, a siostra jego, Józefa, odbierała staranne wychowanie u swej babki we wsi Wołczyńcu. Po krótkim opisanu tej rodziny, przystępuję do tak dziwnej a kawalerskiej wizyty w karczmie.

Zeskoczywszy z naszych rumaków, prosimy spotkanego w sieni lokaja, aby nas oznajmił pani podkomorzynie. Staruszka, widując nieraz po balach Kazimierza przy najukochańszej córce swej Teofilce, tak rada była nas przyjąć, żeśmy za drzwiami usłyszeli z naciskiem ten wyraz: — Bardzo, bardzo proszę! — W pierwszym pokoju zastajemy matkę z dwiema córkami; trzecia Julia, nie lubiona przez matkę a nadzwyczaj do niej podobna, zwykle zostawała w domu.

Przy powitaniu i prezentacji mojej, bo nikomu tam nie byłem znany, rzuciłem okiem na boczne drzwi otwarte do drugiej izby, gdzie młodziuchne dziewczę o lnianych puklach, już na bal ubrane, coś poprawiało u swej sukni, stojąc przed oświetlonym zwierciadłem. Jeszcześmy nie usiedli, gdy weszła do pierwszego pokoju i grzecznym powitała nas ukłonem. Była to wnuka pani podkomorzyny, Józefa Bierzyńska, pierwszy raz na świat wywieziona, i lubo w pięknych kształtach zupełnie uformowana, babka ją przecież mając jeszcze za dziecko, nie wspomniała przed nią, kto my jesteśmy, lecz co do mnie, na pierwszy rzut oka pojąłem, kto ona jest dla mnie. Wzrost nad lata wyniosły, jasno popielate włosy przy czarnych oczach, powaby świeżo rozwiniętej postawy, jak wpółotwarty pączek, twarz z wdziękiem słodczy anielskiej, zwiastowały mi i taką jej duszę. Oczarowany, milczący, oka z niej spuścić nie mogłem. Gdy usiadła przy babce, ta odezwiała się do nas: — Ten mój robaczek nigdy jeszcze nie był na balu; radby prędzej ten świat wielki ujrzyć i dlatego śpieszniej się wystroiła, nim ciotki pomyślały o swej toalecie.

Bawiliśmy tam z pół godziny, rozmawiając o przybyłych do miasta na tę fetę i o panu Komburleju, znanym osobiście pani Zaleskiej; a skoro kocz nasz zaszedł przed bramę, pożegnaliśmy te panie, aby swobodnie sposobiły się na huczną wystawę.

Gdyśmy wsiedli do powozu, szepnąłem do Kazimierza: — Ach, pocóż mnie tu wprowadziłeś! Gdzie ona jest, gdziekolwiek będzie, tam jest świątynia i tam do żyjącego w niej bóstwa, całe życie modlić się będę. — On mi na to: — Oho! już Józia oczarowała cię! a więc podziękuj mi za tę znajomość; bo kochać, choćby bez pewnej nadziei, jest szczęściem lat twoich. Prawda, że ona bardzo miłutka i znacznie urosła od czasu, jak ją widziałem u jej wuja, Seweryna Zaleskiego, lecz dla mnie jest to z gniazda wypadła ptaszyna, która podlecieć jeszcze nie może, bo niezupełne ma piórka. Wzrost będzie niepospolity, jak wnoszę dziś z jej lat czternastu. Lecz ręczę, że ty zapomnisz o tej sierotce, gdy ujrzysz Teofilę w mazurze. — Tu pomyślałem: — I jeszcze sierotka, aby mocniej Ignąć sercem do niej. — Od Kazimierza pochwiałem wiadomość o śmierci obojga jej rodziców.

Po przekąsce z traktyerni przy naszej herbarcie pilno mi już było jechać do gubernatora; lecz kochany Kazimierz tak się płukał i oblewał kolońską wodą, tak się spóźniał z ubieraniem swoim, że przybywszy na bal, już zastaliśmy panią podkomorzynę z rodziną i mnóstwo zgromadzonych gości. Niebawem zaczęły się tańce. Kazimierz nie zaniedbał zaprezentować mnie panu Komburlejowi. Gdy zaczęto grać poloneza, ja mając na oku „robaczka,” co się wświdrował w pamięć moją i w serce, z utajoną nieśmiałością odważyłem się podejść ku niej, i na mój ukłon i wyciągniętą rękę, ona z lubem przymileniem w twarzy podała mi swoją, a świat cały zamknął się przed memi oczami. Nie pomnę w tym tańcu moich pierwszych słów do niej. Musiały one tchnąć

ogniem pierwszego w życiu a najsilniejszego uczucia, bo zdało mi się z jej spuszczonej oczu i z lekko zaplonionej twarzy, iż pojęła wrażenie na mnie sprawione. Odtąd w ciągu balu nikogo nie dopuściłem do niej, a po każdym skończonym tańcu odwazałem się zamawiać ją do następnego.

Pocziwy Kazimierz, patrząc na nas, cieszył się mojem szczęściem, jakby widokiem radości kilkoletniego dziecka, któremu zabawkę jakąś przywieziono z miasta. Zato przyznawałem pochwały, jakich on nie szczędził dla balansów panny Teofili w samym zaczęciu mazura, ale mówiłem mu, że obok zręcznych a wyuczonych ruchów i obok pięknej figury, ta panna i w twarzy i w całej postawie objawiała zaletność, która mnie wcale nie ujmowała i od której nawet odwracałem oczy, stojąc przy Józi. Bo też kto wyrazić zdoła urok tego głosu, jakby z niepewności siebie przytłumionego, gdy na moje pytanie odpowiadała. Kto zdoła opisać wdzięk niewysłowny jej ruchów, od Boga jej dany, a właściwy usposobieniu jej duszy? Odurzony, nie rad sobie, raz złorzeczyłem chwili poznania tak niedostępnej dla mnie istoty, to znów, ośmielony jej grzecznością, roilem niebo na ziemi! Ach! głupia młodości! A przecież, ja dziś starzec, niby mędrszy, zazdroszczę głupocie moich lat dwudziestu!

Śród zabawy u gubernatora i po uczcie wieczornej ciągnącej się do późnej nocy, gdy stałem raz w sali rozmawiając z Kazimierzem, zbliżył się do mnie książę prezes Czetwertyński i zaprosił na jutrzejszy wieczór do siebie. Kazimierz nie znał go i prosił, abym go księciu zaprezentował; i on też był zaproszony.

Na tym drugim balu, znów nieodstępny towarzyszył Józi w tańcu, poczułem spotężniony szal mój dla niej, a widocznie dostrzeżony przez jej ciotki i babkę, która w prostocie pocziwego ducha, nie przewidując co z tego wyniknie, cieszyła się tak wcze-

snym tryumfem „robaczka.“ Podkomorzyna w obcowaniu z młodzieżą wcale nie przybierała tonu wyzszej, salonowej przyzwoitości i była dość rubaszną. Gdy tam raz po skończonym walcu przywiodłem Józię do opróżnionego przy babce miejsca, starszka uśmiechnięta rzekła mi: — Dziękuję ci, że z nią tańczysz. — Ach, pan! — zawołałem — ja Bogu i pani dziękuję, że mnie wolno choć na chwilę być przy jej wnuczce.

Na tym balu u księcia prezesa, równie jak i na wczorajszym, był syn podkomorzyny, Seweryn Zalesski, marszałek żytomierski. Kazimierz w dobrych, poufanych z nim stosunkach, powiedział mi na tym wieczorze: — Ty powinieneś szukać znajomości z wujem i opiekunem Józi. Trzeba ci wiedzieć przytem, że to dość majątny człowiek. Ożeniony z Bierzyńską, z pierwszego związku jej ojca, która była siostrą Józi, ale z innej matki, podwójnie spokrewniony z tą sierotą, jest jej szwagrem i wujem. Jakże nie masz go poznać? On dziś wdowiec ma trzy małeletnie córki, a oprócz znacznego po żonie posagu, tak piękne wziął po niej brylanty, że sprzedawszy je po jej śmierci, otrzymał za nie trzykroć sto tysięcy złotych, i głosem się to stało, że za żonine brylanty kupił porządną wieś Pilipy, ztąd o trzy mile. Zbliźmy się do niego, ja cię z nim zapoznam.

Przy tej prezentacji, lubo bardzo krótkiej, gdy pan marszałek przy mnie rozmawiał z Kazimierzem, najdokładniej dał mi się poznać. Powiedziałem też potem Kazimierzowi: — Twój pan marszałek może poczeiwym jest człowiekiem, ale zdaje mi się, że trochę nadęty i że majątek tylko głowę mu osłania przed światem. Dla ciebie on uniżony przyjaciel, bo pewnie radby cię widzieć mężem siostry swojej, Teofilki. Lecz on podobno nie zna cię dostatecznie; on ani się domyśla, że ty po żonie czegoś więcej wymagasz, niż balansów mazurkowych. — I tak się stało istotnie; Kazimierz gotów był pojechać o mil kilkana-

ście, aby się zachwycać tańcem panny Zaleskiej, ale był to stary wróbel, co nie da się złowić na plewy.

Po tych balach, gdy Kazimierz, powiernik serdecznej mojej tajemnicy, i wszyscy rozjechali się goście, ja w żalach za sierotką, jak osierocony, błąkałem się po pustym dla mnie Żytomierzu. Z przymusem szukałem roztargnienia w zwykłym uczęszczaniu na sesje sądu głównego, gdzie pozwy i dekreta razili niezgodnością ze stanem mej duszy. W ciągu zimy, martwy na wszystko, jak cała natura w tej porze roku, gdym na święta przybył do rodziców, siostry dostrzegły tę zmianę we mnie. Zaczęły mnie badać o nowe znajomości na żytomierskich, głośnych po gubernii balach i po nitce doszły do kłębka. Miałem wielką przyjemność wyszeptać przed niemi, co się we mnie działo. One gdzieś na balu zabrały były znajomość z nieboszczką Sewerynową Zaleską, siostrą Józji z innej matki, o młodziutkim zaś robaczku słyszały tylko, że bardzo jest ładną.

Starsza moja siostra, Anastazyja, bardzo rozsądna, zrobiła mi uwagę: — Żal mi ciebie! Ona nigdy nie będzie twoją, chociaż wierzę temu, że ty mogłeś jej się podobać. Posażna, piękna, otoczona ciotkami, o których mówią, że przy pańskim wychowaniu, każda z nich nie więcej otrzyma posagu, jak szlachecki kapitalik trzydzieści tysięcy złotych; ona jest dla nich drogą, jak żrenica oka. Ta ich siostrzenica ściga młodzież do Wołczyńca. Z pomiędzy przybywających dla Józji, jej ciotki pragną którego zwać dla siebie. Dodajże do tego dumę jej wuja i opiekuna, którą w nim dostrzegłeś, a przynasz, iż tam młodzieniec przez niego tylko wprowadzony, a niezawodnie bogaty, może mieć, i to nie prędko, pomyślne przyjęcie. Na jej skłonność zważać tam nie będą, a wykształcenie i zalety serca twego są dla pana marszałka i siostr jego bez żadnej wartości.

Młodsza zaś siostra moja, Katarzyna, później Duninowa, zaślepienie przywiązana do mnie, widząc

mnie zasmuconym na te wszystkie prawdy, jakie ja po nocach nie śpiając, sam jasno w sumieniu mojem widziałem, przerywa tamtej: — Co mówisz! Czyliż się nie domyślasz, że tam, zaczawszy od babki, wszyscy płaszczyć się muszą przed Józją? Niech ona go tylko pokocha, co niezawodnie już nastąpiło, to rzeczy można, że tam nikt się nie sprzeciwi. Ja nie powiem, aby on teraz miał się tam oświadczać; oboje jeszcze na to zbyt młodzi. Ale, na miłość Boga, bywaj w Wołczyńcu! Ach! gdybym ja miała zręczność poznać ją! O! pewniebym ją wybadała! Ona nie mogłaby utaić przedemną swoich dla ciebie uczuć.

Po tem zwierzeniu się prosiłem o tajemnicę przed rodzicami. Myśl młodszej siostry, aby tylko mogła zabrać znajomość z Józją, a pewnie wybada ją o jej dla mnie uczuciach, uznałem za najtrafniejszą i tak mi przypadła ona do serca, iż wzdychałem do Boga, aby jakimbądź sposobem to ich poznanie się przyspieszył. Wspomnę o tem później.

W roku 1811, gdy w styczniu wróciłem do Żytomierza, zjawił się tam dla jakiegoś interesu z gubernii kijowskiej młody, majątny, a jeszcze nieżonaty Jędrzej Abramowicz, urodzony z Budzyńskiej, siostry ś. p. Wojciecha i żyjącego jeszcze wówczas Antoniego Budzyńskich; był więc ów Jędrzej ciotecznym bratem moich ciotecznych braci Budzyńskich młodych. Ztąd byliśmy pomiędzy sobą, jako krewni, od lat dziecińczych w dobrych i zażyłych stosunkach. Gdy bawił w Żytomierzu przez dwa dni, zapytałem go raz, czy zna podkomorzynę Zaleską. „O! znam ją najlepiej, i bywam u niej. Wszak ona mieszka w naszym powiecie Machnowieckim. Jeśli chcesz wesoło zabawić się, przyjeźdź do mnie, a razem pojedziemy do Wołczyńca, gdzie, jak mówią, na blizki karnawał ma zebrać się młodzież. Ja przysłę po ciebie konie.“ Z jakimże uniesieniem radości uściśkałem go za tę propozycję! Moja niedawno odnowiona garderoba była dostateczną; dokupiłem tylko dwie pary świe-

zych rękawiczek. Kwartałne z góry pieniądze od kochanego ojca miałem w kieszeni prawie nietknięte i koni najmować nie trzeba było. Wszystko wyraźnie, za łaską Boga, składało się ku szczęściu moich lat dwudziestu, już skończonych w przeszłym październiku. Sanki w oznaczonym terminie przybyły po mnie. Przededniem wyruszywszy, przeleciałem za Berdyczowem trzy, czy cztery mile w dniu jednym do Floryanówki, gdzie zacny Jędrzej, rad memu towarzystwu, najserdeczniej mnie powitał. Po dwóch dniach najmilej u niego spędzonych, w ciągu których dał znać swemu bratu młodszemu, Pawłowi, o mojem przybyciu i wezwał go, aby z niebóstępną swoją skrzypką przyjechał do nas, z tem, że razem z nami pojedzie na ostatni tydzień zapust do Wotczyńca; i stosownie do tej odezwy, Paweł tegoż dnia przybył. Wyjechaliśmy w niedzielę, na tydzień przed ostatkami, do pani podkomorzyny. Najuprzejmiej nas przyjęła, równie jak jej córki, z których Teofila mogła coś sobie roić z przybycia majątnego Jędrzeja; bo co do starszej, Tekli, ta, lubo stawiała chętnie do tańców i wszelkie z młodzieżą podzielała zabawy, ale, jako już przekwitła, pewnie zgodziła się już z wolą Pana Boga, aby o zmianie stanu nie marzyć. Józia, przy pierwszym na mnie spojrzeniu silnie zarumieniona, ze spuszczeniem oczu, grzecznym powitała uklonem. Z jej rumieńca wpadłem na domysł, że tę biedaczkę sierotę pewnie ciotki prześladowały za moje częste z nią tylko tańce na balach. Zastaliśmy przybyłego z Krzemieńca jej brata, Świętosława, nadzwyczaj do niej podobnego blondyna, z którym poznanie się wielką mi sprawiło przyjemność. Z domowych osób była tam jeszcze guwernantka Józii, Szwajcarka, do nauk i muzyki, która przy tem dawała lekcye śpiewu pannie Teofilii. Wkrótce tegoż dnia jeszcze kilka obcych osób z okolicznej młodzieży przybyło. Wieczorem, przy herbacie, staruszka, jak zwykle rada wesołemu towarzystwu, odezwała się do nas: „Słu-

chajcie, chłopcy, jaka mi myśl przyszła! Pan sędzia zaprosił mnie z córkami na huczny czwartkowy wieczór do Machnówki. Zróbmy mu siurpryzę. Moja sąsiada z córką jutro tu przyjedzie, będziemy więc mieli cztery panny. Was tu dziś jest sześciu, to jest dwóch muzyków, pan Paweł i pan Baranowski, i czterech do tańca. Otóż potrzeba, abyście wszyscy sześciu mieli krakowskie granatowe żupany z wylogami karmazynowemi, szamerowane tegoż koloru sznurkami, trzeba wam mieć pasy nabijane jakimiś świecami guzikami. Wszystko to na czwartek przed południem dostarczy wam Machnówka. Ale jeśli kto jeszcze przyjedzie do mnie, jak się spodziewam, pamiętajcie nie wydać sekretu, aby wieść o tem nie doszła do sędziego. Panny, po krakowsku przebrane, ja rozdram pomiędzy was czterech: córka sąsiady mojej dostanie się panu Antoniemu Sobańskiemu, moja Teklunia—panu Mazarakiemu, Teofilka—panu Jędrzejowi Abramowiczowi, a robaczek Józia—najmłodszemu z was, panu Konopackiemu. Każda z nich swojemu krakowiakowi własną ręką uwiąże, w miejsce chustki, przy kołnierzu czerwoną wstążkę. Mówcie, chłopcy, czy zgoda?” Wrzasnęliśmy wszyscy: zgoda, zgoda!

Nazajutrz rano, my, młodzież, umieszczeni w oficynie, zrobiliśmy rachunek całego kosztu na krakowskie ubrania, każdy z nas złożył część swoją i dwóch z pomiędzy nas wyjechało do Machnówki po sprawunki. Tegoż dnia wieczorem wrócili z upewnieniem od krawców, że na rano w czwartek wszystkie sześć żupanów będą gotowe i że złożone przez nas pieniądze wystarczyły nawet na obszycie ich galonami. Tymczasem spodziewani goście przybyli. Ciągnęły się bez przerwy zabawy, tańce i gry rozmaite. Pamiętny mi ten wieczór, w którym Świętosław, już spoufalcony ze mną, zmieszał siostrę swoją i mnie napędził raka. Graliśmy w pierścionek. Na nią wypadło nosić się z nim, aby go tajnie oddać, komu

się jej podoba. Brat jej pewnie od ciotek zasłyszal o domysłanych moich sentymentach i nie mógł powściągnąć chęci objawienia, że i on wie o tem. Skoro Józia powstała z pierścionkiem w ręku, on na głos odezwał się: „O! teraz łatwo zgadnąć, komu się on dostanie, pewnie panu Konopackiemu.“ Biedny robaczek spłonęła wstydem; a jakby schwyłany winowajca, i ja mocno zarumieniony, spuściłem oczy. Byłem pewnym, że aby okazać, że domysł brata jest mylny, ona innemu odda swój pierścień. Przecież stało się, jak brat przepowiedział, a to jakby na dowód, że ona nie zważa na prześladowania. Oszałały szczęściem, chciałem ucałować ten pierścień. Wtajemniczony Świętosław Bierzyński sprzyjał moim z jego siostrą stosunkom.

We czwartek wieczorem, już przy pochmurnem niebie, dobrze się ściemniło, gdy my w naszych ubiorach, gotowi do podróży, oczekiwaliśmy tylko na nasze strojące się krakowianki. Czekwały też od godziny przy ganku pozaprzęgane sanie. Na biedę przy silnym mrozie, zaczęła się zamieć. Nie zważamy na to. Skoro panny wystąpiły na salon w pasowych gorsetach, ze spuszczone na plecach warkoczami, gdzie wplecionych wstążek czerwonych sute wisały końce, staruszka klasnęła w ręce z radości i wezwała naszych skrzypaków: „Zagrajcie-no im krakowiaka, spróbujemy, jak się nam uda ta komedya!“ Każdy z nas uchwycił swoją za ręce i raz tylko w krąg poszliśmy po sali z wesołym pod muzykę przyspiewkiem, a staruszka, wykrzykując brawo, wstrzymała nas uwagą, abyśmy nie wyszli na zimno zbyt zmordowani, a do pańien przemówiła: „Dajcie wstążki waszym chłopcom!“ Wnet każda wydobyła je przygotowane z za gorsetu i zaczęły obdzielać niemi swoich krakowiaków. Z uszanowaniem, jak do ziemskiego bóstwa, zbliżyłem się do mojej towarzyszki, a ta w milczeniu, zarumieniona, drżąca, jakby niepełną ręką, zawiesiła mi u szyi przy kołnierzu fontaź

z długimi końcami czerwonej wstążki. Był to dla mnie nadmiar szczęścia. W rozmarzonej głowie zdało się to godłem fortunnego losu... O! głupia ślepoto lat młodych, jakże dziś w surowym sądzie moim dziecinną mi się wydajesz! Z tem wszystkim rozum, zimny rozum starca, zazdrości owej uludzie o tak lubych, tęczyowych kolorach.

Zamieć się wzmacza, a my pewni pod przewodnictwem podkomorzyny, której furmani, choćby z zawiązanymi oczyma, trafią o milę do Machnówki, ruszamy za nią w kilkoro sani, rozmieszczeni najwygodniej. Podkomorzyna do ogromnej o sześciu koniach budy, zabrała najukochańszą Teofilę i wnuczkę; w drugiej za nią budzie była poważna jej sąsiadka z córką i panna Tekla, a my wszyscy w odkrytych za niemi puszczamy się sankach. Zaledwie za wieś wyjechaliśmy, pijany furman u naczelných sani, chcąc krótszą jechać drogą, zaczął toczyć zacięty spór z forysem: ten na prawo, ów na lewo upiera się jechać, i pijany przemógł. Wjechaliśmy na małą drożynę, gdzie niebawem zamieć wszelkie pokryła ślady. Zbłąkani, nieustannie zmieniamy kierunek. Nakoniec wśród pola bez granic, raptem wszystkie wstrzymały się sanie. Naczelną buda pod wodzą pijanego furmana uwięzła w jakiejś fosie, zkąd konie, wyrrywając ją, złamały dyszel. Kazano forysiowi co prędzej wyprządz jego konia i śpieszyć do domu po inne sanie i po ludzi w pomoc ku wynalezieniu drogi. Foryś odjechał, lecz długo się błąkał nim do wsi trafił, bo z powodu zamieci nic widzieć nie mógł. A my w głos po sankach nucimy piosnkę, z jaką w Machnówce wystąpić potrzeba. Wtem lokaj podkomorzyny dobija się do naszych odkrytych sanek i pyta, gdzie jest najmłodszy krakowiak, którego wzywa jego pani. Wszyscy zgodzili się na to, że ja nim jestem. Brnę po śniegu, wcale nie przewidując, co mnie tam spotka. Skoro stanąłem na wezwanie, staruszka rzecze: „Boimy się, abys nie przeziął na odkrytych saniach,

więc robaczka umieściłam za sobą, a ty zajmij tu miejsce poniżej". Ach, pani! czyliż ja wart jestem tej pamięci o mnie! Mam dobre futro, nie zziębne. „At, milcz a siadaj! tak chce Józia, ona to o tobie pamiętała." Boże dobry! Cóż tu za szczęście zbiegło się dla mnie!—pomyślałem sobie.—Jakby obłąkany otucha, usiadłem w budzie, i na domiar tak niespodzianej doli, byle spojrzeć przed siebie, twarz Józii tuż była przy mojej. Więc w większej części obrócony ku niej, utkwilem oczy w mojego anioła. Przejęty głębokiem uszanowaniem dla niej, a obawą panny Teofilii, która temi dniami już zaczęła surowem spojrzeniem śledzić i oczyma badać każde moje zbliżenie się do jej siostrzenicy, nie przemówilem i słowa do Józii, nawet nie podziękowałem jej za troskliwość o mnie, bom siedział obok panny Teofilii. Rozmawiałem z podkomorzyną, patrząc na jej wnucę. Tak przesiadeliśmy wszyscy wśród okropnej zamięci na polu przez noc całą. Narzekala staruszka na furmana i ciągle niecierpliwiła się, równie jak jej córka; milczała Józia i ja w milczeniu wznosiłem dziękczynne oczy ku Bogu za wypadek, który dał mi poznać serce dla mnie życzliwe w ubóstwianej Józii, i tak blisko noc całą być przy niej. O samym świcie wrócił forys z ludźmi przy innych saniach z budą, gdzie podobnież usadowieni, już nie do Machnówki, lecz napowrót udaliśmy się do Wołczyńca. Tam, z niezachwianą fantazją, zawsze wesola podkomorzyna, zabrała głos do zgromadzonych w sali: „Nie powiodło się nam. Ale nie upadajmy na duchu. Teraz rozejdźmy się, aby zasnąć choć parę godzin. Dziś i jutro nie wypuszczę was od siebie, a w niedzielę pojedziecie z nami w tych samych ubiorach, ale wcześniej, znów do Machnówki, gdzie, jak mi mówiono, ma być zgromadzenie na tańczący wieczór u naszego marszałka. Czy zgoda?" Zgoda, zgoda!—odpowiedzieliśmy tłumnie. Gdy staruszka do nas mówiła, ja w duchu myślałem: nie pragnę le-

pszego powodzenia nad to, któremu doznał tej nocy. Połowę życia oddałbym, aby resztę dni tak blisko być przy niej.

Po długim wypoczynku, gdy nas z oficyn wezwano na herbatę, my już we frakach, zastaliśmy kilka osób przybyłych z sąsiedztwa, przed którymi o naszych ubiorach wczorajszych zamilczano. Sam tylko wypadek zbłąkania się pijanego furmana był opowiedziany. Lecz owa na polu nasza noc bezsenna tak stała się o mil kilka głośną i to ze wszelkiemi szczegółami, że gdy na Wielkanoc przybyłem do domu, ojciec uśmiechnięty zapytał mnie: „Czy to prawda, co mówił mi w Romanowie Ludwik Kraszewski, że ty w czasie karnawału, będąc w Wołczyńcu, i ztamtąd w licznej towarzystwie jadąc gdzieś wieczorem na tańce, tak zziąbłeś w odkrytych saniach wśród zamięci na polu, gdzieście zbłądzili, że poczciwa podkomorzyna zabrała cię do swoich sani z budą, i jej fartuszkami okryty, przesiadałeś tak z nią całą noc?" Opowiedziałem rzetelnie ojcu ów cały wypadek, a siostrze na boku najdrobniejsze szczegóły o Józii. Obie upewniały mnie o jej skłonności ku mnie, ale starsza, pokiwaawszy głową, skończyła tem: „Tak, tak! to dość widoczne, ale żal mi was obojga." O! ta kobieta, później sama godna litości, jasno widziała przyszłość robaczka i moją.

Wracam do dalszej powieści o Wołczyńcu. Przybyła tam z sąsiedztwa osoby w piątek potwierdziły wiadomość, że na tańczący wieczór w niedzielę, zbiera się liczne u marszałka w Machnówce towarzystwo. Te w oczekiwaniu dwa dni przeminiły nam najweselsiej. Podkomorzyna, lubo w podszłym wieku, przy niezachwianem zdrowiu i wytrwałości na niewczasy, miała niepospolity a nieoceniony w gospodyni dar ożywiania gości; nieodstępna była towarzyszką młodzieży do późnej nocy. Były więc przy niej w piątek i sobotę i tańce i gry rozmaite,

i wesółą gawędą bez szarpania dowcipem czyjej bądź sławy

W ostatnią zapustną niedzielę podróż do Machnowki, przy pogodzie i zelżonym mrozie, powiodła się nam bez żadnego wypadku. Wieczorem przybywamy do marszałka. W sieni słyszymy muzykę. Stosownie do ułożonego przez podkomorzystą programu, ona ze swoją sąsiadką zatrzymały się w przedpokoju, a my w parach, poprzedzani przez dwóch naszych muzyków, grających od ucha krakowiaka, wpadamy, tańcząc, do sali, gdzie tańczono mazura. Ucichł on, jako przed starszym bratem, a my, swobodnie krążąc po sali, wprowadziliśmy chwilowo w osłupienie gospodarza i liczne grono gości. Lecz po prześpiewanej jednej strofice przed muzyką, gdy drzwi się otworzyły i podkomorzyna z sąsiadką swoją weszły do sali, marszałek poznawszy już ich córki, pospieszył ku matkom z uniżonym powitaniem i z uniesieniem wdzięczności za tak miłą mu niespodziankę. Wnet kazał podać wina i ozwał się do mężczyzn o toasty na cześć matek i krakowianek z ich towarzyszami. Damy wszystkie zbiegły się i otoczyły kołem nasze krakowianki. Wtem gospodarz podchodzi ku nim i prosi, aby jeszcze powtórzyły swój taniec z niedokończonemi śpiewkami. Nasze skrzypaki na dany znak znów się odezwali, a my w parach już gotowi, zatoczyliśmy w skokach krąg po dużej sali, bijąc holupce podkówkami, i kolejają, stając przed muzyką, każda para swoją prześpiewała strofkę. Moja pamiętną mi jest dotąd:

„Pada deszczyk, pada, będzie jutro ślizko;
Szczęśliwy ten, który ma kochankę blisko!”

Och! byłem-że, byłem wówczas szczęśliwy. Trzy dni temu, w czwartek, Świętosław nie chciał jechać z nami, nie wiem, czy istotnie lękał się zamieci, jak mówił, czy dotknięty przez babkę, że mu odmówiła

krakowskiego ubrania z tej tylko przyczyny, że nie było dla niego piątej krakowianki; dał się jednak namówić. Po skończonym naszym tańcu, gdy zbliżył się do mnie, ja patrzę mu w oczy i rzucam się do ucałowania twarzy, z której on tak jest podobnym do siostry. A on mi szepnął. „Mówią, że ja podobny do Józki; pewny jestem, że ty dlatego tylko mnie kochasz.” Mylisz się—rzekłem mu—kochałbym cię zawsze, ale nie tak mocno; a więcej jeszcze pokocham cię, gdy jej nigdy nie narazisz na rumieniec, jak to zrobiłeś przy grze w pierścione. „Bądź spokojny! będę milczał, choć wiem wszystko. Strzeż się tylko ciotki Teofili, a babcia bardzo ciebie lubi.” Ucałowałem go jeszcze za przyjacielską przestrogę i za jakieś niby nadzieje w babce. Mój Boże! nadzieje! O jakże boleśnie zawodne! Mówiono, że Świętosław był o rok młodszym od siostry. W roku 1811 ona, przy dość słusznym wzroście, była zupełnie w kształtach cudnych uformowaną panną. Ztąd wnoszę, iż, jak to zwykle się dzieje, tajono przed światem jej rok jeden. Jej brat po ukończeniu nauk w Krzemieńcu, gdzie płacono za ulokowanie panicza u profesora i za jego korepetycję po trzysta dukatów rocznie, umieszczony został w Petersburgu przy ministerjum spraw zagranicznych. Tam został kamerjunkerem i ożenił się z bogatą i bardzo piękną księżniczką Dołhorukówną. Tymczasem wracam do pana marszałka machnowieckiego, który po zakończonych naszych śpiewkach z tańcem wychylił razem z obecnymi mężczyznami huczny toast na cześć czterech krakowianek i ich towarzyszków. Nastąpił poważny polonez, do którego gospodarz stanął z podkomorzystą. Nasze panny rozdzieliły się pomiędzy miejscową młodzież, wyjąwszy moją, którą ważyłem się zamówić do wszystkich po krakowiaku tańców. Trwały do późnej nocy naprzemian mazury, anglety, walce i kadryle, uraczono całe dość liczne zgromadzenie obfitą ucztą, po której nadedniem rozjecha-

liśmy się po domostwach miasteczka, niby tam na nocleg. Po przespaniu się, w poniedziałek wróciliśmy do Wołczyńca, gdzie na ostatni wtorek zapustny miało wielu zaproszonych z Machnówki przybyć. W oficynie, gdzieśmy się przebierali w zwykłe nasze ubrania, gdym był sam na sam z Jędrzejem Abramowiczem i toczyła się rozmowa o wczorajszym w Machnówce wieczorze, on ją zakończył spostrzeżeniem swoim: „Ale ty widocznie oczarowałeś Józię: wszystkim nam odmawiała, aby z tobą tylko tańczyć.” Cóż w tem za dowód? Gdybyś ją był zaimprowizował, jak ja to zrobiłem, pewnieby mnie była odmówiła, tembardziej, że ty masz piękny majątek. „Żle o niej sądzisz! Dziewczę w jej wieku nie myśli pewnie o majątkowych rachunkach; one są niezawodnie w głowie babki, ciotek, a najpewniej w głowie opiekuna, który ma w ręku jej posag, wynoszący, jak mówią, trzykroć sto tysięcy złotych z górą. Lecz ona w anielskiej niewinności, przysiągłbym, że lgnie sercem ku tobie, nie badając wcale, czy ty masz nawet dziesiątą część jej posagu.” Może ona nie dba jeszcze o majątek; ale co do mnie, przeklinam jakiś tam jej posag, bo domyślam się, jakich zasad są ludzie, od których los jej zależy. Oni ją sprzedadzą!... Poznałem w Żytomierzu dumnego jej wuja, opiekuna majątku obojga młodych Bierzyńskich; i na wspomnienie tej nadętej figury mróz przechodzi po mnie. „Stój-no, chłopcze! Nie unos się jeszcze! Wszak przynasz, że wy oboje dziś zbyt młodzi jesteście, aby stanowczo mówić o swoim związku. A co do nierówności majątkowej, ileż to podobnych kojarzy się małżeństw. Mnie się widzi, że nie zważając na uboczne przeszkody, powinieś o ile można często tu bywać; a po przetrwanej cierpliwości, może Bóg zechce szlachetnym uczuciom twoim pobłogosławić.” Tu, w ciągu pozostałych nam dwóch dni, zastosowałem się zaraz do rady poczciwego Jędrzeja: jużem bynajmniej nie zwa-

żał na zachmurzone panny Teofili spojrzenia ku mnie za każdym mojem zbliżeniem się do jej siostrzenicy, a nawet w szeptach ważyłem się raz objawić przed nią moje dla niej uczucia, na co zarumieniona, spuściła tylko oczy.

We wtorek zabrzmiała nam muzyka, sprządzona z Machnówki. Mnóstwo przybyło gości z okolicy. Tańce i wieczerza przeciągnęły się do białego dnia. W ostatnim tańcu z Józią jeszcze raz powtórzyłem, czem ona jest dla mnie, a gdyśmy usiedli, ja zrozpaczony jej posagiem i dumą opiekuna, szepnąłem: — Ten wieczór na resztę życia będzie pokarmem mej duszy, bo już nigdy widzieć pani nie będę! — „Jakto? Czy pan zarzeka się być kiedykolwiek u nas?” — Zdaje mi się, że i pani to widzisz, że powinien wyrzec się tego szczęścia. — „Nie! ja tego nie pojmuję.” I po tych słowach wnet panna Teofila usiadła przy niej i zajęła mnie swoją rozmową. Nazajutrz, w dzień popielcowy, który przypomniał mi marność zabiegów ludzkich, wyjechaliśmy bez pożegnania dam, jeszcze śpiących, do Floryanówki, z kąd kochany Andrzej odesłał mnie do Żytomierza.

Bywałem, jak wprzód, na sesjach sądu głównego. Lecz wśród najczęściej zajmującej wymowy mecenasów o Józi tylko marzyłem. Po wielkanocnych świętach, na których byłem w domu, jak wspomniałem wyżej, wróciwszy do Żytomierza z pamięcią uwag starszej siostry, prosiłem Boga, aby raczył zniszczyć we mnie pamięć o Józi, bo tak rozsądek nakazywał. Ale nawet owe modły moje stawiały mi przed oczy wyraz tej twarzy pełen dobroci, jej spojrzenie z lubym na ustach uśmiechem, jej głos pieśczenie przytłumiony i całą jej postawę, wrażliwą uszanowanie. Jasne jej pukle przy czarnych oczach dniem i nocą śledziły mnie wszędzie. Ojciec, dowiedziawszy się od kogoś, że mocno zmizerniał,

w obawie czy nie nadwyreżyłem zdrowia jakąbądź rozpustą, obok znacznej jego troskliwości, domieścił w liście do mnie, abym zawsze miał w pamięci Adama Giżyckiego. Uspokoilem rodziców doniesieniem, że na bezsenność, która mnie często napada, za radą doktora, biorę niekiedy zimne kąpiele i dlatego na twarzy cokolwiek schudłem, lecz zupełnie zdrow jestem. Było to już śród ciepłego maja 1911 roku.

Raz w izbie sądowej, pośród mnóstwa, jak zwykle, obywateli, dojrzałem Józefa Głębockiego. Po serdecznych uściskach, on mi szepnął: „Czy chcesz dobrze się zabawić?” — Po co mi szukać zabawy? Ojciec w listach powtarza, abym usilnie pracował nad zgłębieniem praw naszych, aby się stać użytecznym w obywatelstwie; a więc moją zabawą są *merita* mecenasów i sądowe wyroki. — „Ojciec pięknie doradza, ale ty wcale nieźle zrobiłeś, żeś na trzy dni przerwał pracę karnawalem w Wołczyńcu”. — Zkądże wiesz o tem? — „A któż w okolicy nie wie, żeś z damami po kawalersku, jak one, przebrany, nocował śród zamieci na polu? Wiem nawet i o tem, żeś pokochał cudnie ładną Józję. Słuchaj no! ja przyjechałem po ciebie. Pani Grzebińska na majowej kuracyi w Piatce u doktora Dufelsa, zawdzięczając mu swoje wyzdrowienie, daje bal dla niego i mnóstwo zaprosiła swoich piękności, między którymi będzie... zgadnij kto?” — Czy nie podkomorzyna z Wołczyńca? — „Trafnął w domysłach! Teraz osądź, czy nie warto na trzy dni zapomnieć o kratkach waszych?” — „Ha! dziej się Boża wola. Trudno ci odmówić! — „Bądź więc gotów. Jutro zajadę po ciebie, aby tam być pojutrze”. Pomimo rozsądnych uwag starszej siostry, pomimo własnego przekonania, że jak dziecko łudzę się bańką mydlaną, gonię za Józją, jestem oto na majowym balu. Pani Grzebińska przy majątku miała syna Aloizego, kawalera maltańskiego z wiecznym uśmiechem na ustach, a który później był marszałkiem żytomierskim, a na koniec ożenił

się z aktorką teatru żytomierskiego; miała oprócz syna trzy hoże córki, a po każdej wzięli mężowie po dwakroć sto tysięcy złotych. Najstarsza z nich była za Litwinem, majorem Galofem, i miała z nim córkę, o której nadmienię po nieszczęsnym 1831 roku; z drugą ożenił się chorąży łucki, Stanisław Piotrowski, ojciec znacznego w dalszych czasach marszałka tegoż powiatu, Wincentego Piotrowskiego; a z najmłodszą z nich i najładniejszą, marszałek łucki, Stanisław Lipski. Dodać tu jeszcze potrzeba, że pani Galofowa, owdowiawszy, wyszła za adwokata Wincentego Łozińskiego, o którym wyżej wspomniałem. Liche miasteczko Piatka pod Cudnowem zaledwie mogło pomieścić natłok karet i koczów, na bal przybyłych. Pani Grzebińska nie szczędziła kosztów. Sienią ogromną u największego domu zajezdnego kazała wyłożyć gładkimi deskami; żłoby przy ścianach odjęto; zwykle po stajniach słupy otoczono girlandami z liści i rozmaitych kwiatów, a przy każdym paliło się po kilka świec woskowych, stearyny bowiem jeszcze nie znano; na belkach poprzecznych pozawieszano pajaki z mnóstwem takiegoż światła. Słowem tak improwizowana sala zatarła ślady brudnej sieni żydowskiej. Na dopełnienie uroku, z liczonej orkiestry romanowskiej uproszono jej część na tę zabawę majową. Przy świecach nadjechała pani podkomorzyna Zaleska z rodziną. Dobra staruszka, skorom ją powitał, z tak życzliwym przymileniem przemówiła do mnie, jak gdybym do najbliższych jej sercu należał: „Czy ty zawsze bawisz w Żytomierzu?” — Dotąd jeszcze bawię; ojciec mój ciągle przypomina, abym się tam sposobił do sądowych urzędów. — „To bardzo chwalebnie. A ja tam wybieram się na lipcowe do was wybory, choć kijowianka. Pan Komberlej pewnie wystąpi z balami”. Głupi! ucieszyłem się, jak ów tonący, co schwycił deskę przed sobą! Całą noc przebawiliśmy tam wśród ciągłych tańców, przerywanych tylko hojnym

gości przyjęciem. Składały się na to herbata, wyborne dla mężczyzn wina, napoje chłodzące i cukierki; a dla mnie najsłodsze było towarzystwo Józki, z którą jedynie tańczyłem. Po wieczery, nad rankiem, odjechalśmy z Głębockim do Żytomierza.

Dobry mój ojciec dowiedział się, mieszkając o trzy mile od Piatki, że tam byłem na balu i pisał do mnie z tą uwagą, że w latach moich nienagannie jest uczucie przyzwoitych niekiedy rozrywek, ale potrzeba panować nad sobą, aby nie zostać ich niewolnikiem; że raz obrany cel życia, należy zawsze mieć przed oczyma; że dobrze jest ubiegać się o życzliwość ludzką, lecz ta będzie pozorna tylko, jeśli jej nie otrzymam przez istotną zasługę, a do zasługi nie dojdę bez pracy. Słowem, dał mi do poznania, że lęka się, abym nie został próżniakiem. Poleciał mi przytem, abym upatrzył i zamówił dom z kuchnią i stajnią do najęcia na zbliżające się wybory, gdzie i szwagier jego, Antoni Budzyński, z dwoma synami, Mikołajem i Ignacym i nas trzech, to jest: mój ojciec, mój brat starszy Antoni i ja, moglibyśmy wygodnie się pomieścić. Ten list zastał mnie w zniechęceniu do szermierstwa prawniczego. Ze wstrętem, a nawet z obrzydzeniem słuchałem sporów zaciętych, jakie od sądów powiatowych drogą apelacji przechodziły do sądu głównego. W prostocie ducha, przy rozmarzeniu uczuciowem, które całą ludzkość chciałoby przyjać braterstwem, powstawałem przeciw adwokatom, którzy wspierają procesa, powstawałem na świat cały, że nie idzie drogą przepisów wiary naszej, a otrzymalibyśmy na ziemi królestwo Boże, o które w codziennym pacierzu błagamy. Nie mogłem jeszcze przewidzieć, co mój ojciec względem mnie zamierzał. Powtarzał ogólnym wyrazem, abym się sposobił do usługi publicznej w sadowniczym urzędzie. Ileż to lat wypadnie męczyć się jeszcze w palestrze, aby dojść do wieku odpowiedniego urzędowi. Nadto, wedle praw na-

szych wówczas, z Rzeczypospolitej pozostałych, wszelka podobna usługa publiczna, bądź administracyjna, bądź sadownicza, dopełniała się bezpłatnie. Obywatel, na jakikolwiek urząd przez współziomków obrany, szczylił się ich ufnością i na tym zaszczyście poprzestawał. Rodzice moi przy pięciorgu dzieciach, lubo mieli o czem przyzwoicie je wychować i dostatnie wiedli życie, przecież cały ich majątek składał się z wioski w powiecie łuckim, wypuszczonej wówczas Litwakowi Rzewuskiemu w posesyę, z dwóch wiosek w nowogródwołyńskim, trzymanych od roku 1791 prawem zastawu, co wszystko z niewielkim kapitałem, osobno do dziedzica tych dwóch wiosek należnym, nie więcej wynosić mogło, jak dwakroć kilkadziesiąt tysięcy złotych. Ztąd wnosiłem sobie, że gdyby i wiek zbyt młody nie był na przeszkodzie, byłoby rzeczą dla mnie trudną podejmować się na urząd bezpłatny. Bądź co bądź, trapiła mnie ciągle obawa, abym nadal nie uwiązł w palestrze. Kiedym się biedził nad moją przyszłością, nadszedł ze wsi kochany Józef Głębocki i zaczął namawiać, abym z nim był na licznej zgromadzeniu, o półtorej mili od Żytomierza, u państwa podkomorstwa Michałowskich w Prażowie. W miejscie odpowiedzi dobywam list mego ojca i daję mu czytać. On, przebiegłszy to pismo, zawołał: „A widzisz! i ojciec nie potępia przyzwoitych niekiedy rozrywek”. — Któż jest ów p. Michałowski, którego tu jeszcze nigdy nie spotkałem? — „Jest to niepospolity oryginał. W gubernii Kijowskiej, w Radomyskim powiecie, posiada dwie porządne wioski, ale ponieważ sąsiedzi jego grają tylko w polskie karty marysza, a staruszek podkomorzy musi czasem pół roku czekać, nim u niego ze stron dalszych zbierze się czterech do wista, zniecierpliwiony, wypuścił warendowną dzierżawę swój majątek, a z kapitałem, który miał na procencie, przeniósł się na zastawę wsi Prażowa, gdzie go ciągle prażą sąsiedzi w wista.

Żona jego, dość młoda jeszcze, zwłaszcza przy nim lubi zabawy i w tem całą mieści się okoliczność do balu. Zapomniałem też dodać, że ma się on odbyć w przyszłą niedzielę, jako obchód jej imienin. Nie stracisz ani dnia jednego: w święto pojedziemy z powrotem na noc; a w poniedziałek będziesz na sesyi sądowej". Przekonał mię i byłem z nim w Prażowie. Zastaliśmy dom pełen gości. Solenizantka gospodyni, mająca około lat trzydziestu kilku, małego wzrostu brunetka, okrągła, pulchna, grzeczna dla wszystkich, ale, jak mi o niej szepnął jeden ze znajomych: „*Sothe, comme une poule!* Wyobraź pan sobie, że będąc we Lwowie, zaledwie wysiadła z powozu, dostrzegłszy blisko otwarty jakiś magazyn towarów, wchodzi i zapytuje kupca: „Powiedz mi pan, gdziebym tu mogła widzieć okręty?" Kupiec zdziwiony patrzy tylko jej w oczy. Ona powtarza: „Okręty, okręty!" — A! rozumiem! pani chceś dla małych dzieciak zabawki; oto niedaleko, widzi pani drzwi otwarte trzecie, tam jest magazyn podobnych dla dzieci rozmaitości. — „Ale nie! ja chcę widzieć wielki okręt na wodzie". — Przebacz pan! Ja na to we Lwowie nie poradzę. — A przecież patrzyłem na to, jak młodzień bardzo przyzwoita otaczała ją nadszakiwaniem. Mąż, prawie zgrzybiały, o gotębiej duszy i jak gołąb siwy, był obojętnym na wszystko widzem, wist mu pochłonał pamięć o żonie i o kraczących przy niej satelitach, z których najbliższym jej względów, jak podawano sobie do ucha, był niskiego wzrostu brunecik, odznaczający się imitacją dość sporego szmaragdu przy żabotach, znany mi adwokat z Żytomierza, pan Stetkiewicz, o którego bolesnym wypadku w Kijowie niżej nadmienię.

Z pomiędzy gości poważnych, wiekiem i kontuszem, poznałem tam stryjka solenizanta, pana Peszyńskiego, który już odbył na Podolu naczelne urządowanie gubernialnego marszałka. Stało się to wpra-

wdzie niechcący, bo ani on nie mógł obiecywać sobie tej godności, ani obywatele nie zamierzali mu jej nadawać. Rzecz tak się złożyła: Wiadomo było zebrany na wybory w Kamieńcu, że generał-gubernator Bachmatiew, nie wiem za co, nie lubił Ludwika Raciborowskiego, którego większością głosów obrano marszałkiem gubernialnym, a ponieważ pan Peszyński powszechnie był znany z zupełnej niezdatności do tego urzędu, bo nietylko żadnym innym językiem nie umiał i słowa przemówić, jak tylko macierzystym, i to niezrozumiale szepleniąc, ale nadto prostacza gburowatość jego śmiech tylko wzbudzała, przeto wnoszono sobie, że taki kandydat przyda się na to, aby Raciborowski niezawodne otrzymał zatwierdzenie. Ale stało się przeciwnie: Oto na przekór obywatelom, Peszyński został zatwierdzony na tę dostojność. Opowiadano mi w Prażowie śmieszne sceny z ciągu jego urzędowania. Niektóre z nich tu przywiodę. Cesarz Aleksander I, w czasie swej bytności w Kamieńcu zapytał go raz, czy nie dzieją się tu jakie nadużycia ze strony urzędników od korony? Peszyński rzekł na to swoją szepleniącą mową: — „Tu N. panie największy selma, jest wice-gubernator, bo otwarcie, mospanie, bieżę pieniądze." — I na takie oskarżenie, bez żadnych dośledzeń, ten urzędnik natychmiast był oddalony. Cesarz tak upodobał sobie prostoduszność Peszyńskiego, że go wziął z sobą do Mikołajewa w gubernii Chersońskiej, gdzie przy zlanu się rzeki Bohu z Ingulem jest port wojenny, stacya floty czarnomorskiej i warsztaty okrętowe. Tam na przybycie cesarza spuszczano nowozbudowany okręt. A gdy cesarz z Peszyńskim dopłynawszy łódką do okrętu, gdzie muzyka zabrzmiała, zażądał wina i odezwał się do Peszyńskiego, siedzącego przy nim na pokładzie: — „Wypijemy toast na cześć komendanta." — Tak, tak N. panie! na cześć kapelmajstra, bo prześlicznie grają! Wiele innych nedorzecznosci prawiono tam

o nim. W Prażowie do tańców wcale nie należałem, dość mi było dramatu, jaki przedstawiała solenizantka i opasty, ogromnego wzrostu, szepleniący jej stryjaszek. Państwa Michałowskich zdarzało mi się widywać i później. Z Prażowa przenieśli się byli do arendownej dzierżawy części miasteczka Polonnego, dokąd staruszka znęcono wiadomością, że tam znajdzie amatorów wista. Jeśli mnie pamięć nie myli, on tam i życia dokończył, a owdowiała, żona jego, posiadając kapitał bądź posagowy, bądź z zapisu męża, wyszła za ubogiego Karola Krajewskiego.

Pierwszych dni lipca znowu Józef Głębocki wyciągnął mnie z Żytomierza na balik niedaleki do Gardeszówki u państwa Rożniakowskich. Tym razem, jakby przewidując, że kochany ojciec coś innego postanowi ze mną, chętnie skłoniłem się na tę podróż, jakby dla pożegnania tych okolic. Najmilszą miałem niespodziankę, bom zastał tam podkomorzyńnię Zalską z pannami. Schwycił mnie natychmiast Głębocki: — „A co? Prawda, że rad jesteś, iż cię tu przywiozłem?” — Ze szczera wdzięcznością uściśnalem go. Tu po dawnemu zapamiętałem należałem do tańców, a zawsze z lubym robaczkiem. Raz, gdyśmy stanęli do polskiego, i byłem z nią w tej wolnej przechadzce, ona wymknęła z mej dłoni rękę, otworzyła sznurkiem ściągnięty mały piękny woreczek, i z wyjętych dwóch cukierków, biały do ust wzięła, a mnie podała różowy. Dziękując jej, powiedziałem: — „Czemuż mi nie wolno, abym roił sobie, że kolor tego cukierka jest w tej chwili tłomaczem uczuć pani?” — „Cóż ten kolor oznacza?” — „Jedyny cel życia mego... zyczliwość pani!” — „O! jeśli on to wyraża, to ja trafnie wybrałam. Ale dziwi mnie, że pan wątpisz o tej zyczliwości. My wszyscy w Wolczyńcu bardzo mu jesteśmy zyczliwi.“ Tu ktoś odbił pierwszą parę i następnie, będąc w drugiej, musiałem ją oddać innemu.

Mam jej zimną zyczliwość tylko! — pomyślałem,

odchodząc już z inną damą; tym razem nie śmiałem wspomnieć, że pragnę w niej żywsze obudzić uczucie i dlatego może to tylko otrzymałem, czegom żądał. Tu upewniłem się, że ona z babcią i ciotkami w tym miesiącu będzie w Żytomierzu. Dziękowałem Bogu i za jej życzliwość i za pewność ujżenia jej wkrótce.

Wybory w lipcu 1811 roku.

Na drugi to w życiu mojem patrzyłem zjazd gubernii, do którego czynnie z dwóch powiatów mam wpływać, jak było po raz pierwszy w 1808 roku. Teraz, lubo za radą z kochanym ojcem, ale przecież będę powodowany własnem przekonaniem, które zawsze poddam pod jego rozagę. Przez dwa lata mieszkając ciągle w mieście gubernialnem, gdzie tyśiące spraw rozstrzygało się pod mojem okiem, miałem sposobność poznać charaktery i moralne zasady wielu obywateli i o wielu z nich słyszeć ustalone opinie. Marszałek gubernialny z przeszłych wyborów, pan Aloizy Gostyński, powinien był zjechać do Żytomierza, aby, jak zwykle przed rozpoczęciem wyborów, całemu zgromadzeniu z dwunastu powiatów zebranemu w sali wyborczej, przewodniczyć do katedry, gdzie po nabożeństwie i odpowiedniem do okoliczności kazaniu, mamy wykonać przysięgę na bezstronność w obieraniu naszych urzędników, i aby w kole powiatowych marszałków przydywować przez całe wybory, jako naczelnik szlachty. Nie zjechał przecież. Może unikał publicznego oburzenia obywateli za bezczelne oskarżenie Tadeusza Czackiego. Nie wspomniałem o tej jego czynności, gdzie mi należało nadmienić, to jest w roku 1810, przeto teraz

przywiodę ową dla dbających o dobro niegdyś publicznie ważną a pamiętną sprawę. Gostyński, powołany jakąś osobistą niechęcią ku Czackiemu, wazył się jako marszałek gubernialny tajnie oskarżyć go przed Cesarzem o zły jakoby sposób udzielania nauk w utworzonym przez niego gimnazjum Krzemienieckiem; o źle przez niego obranem miejscu na to gimnazjum, a nadewszystko, że dochody, na tę szkołę przeznaczone, chybiają swoich celów. Słowem, rzucił w tym punkcie niecne podejrzenie na Czackiego, że on liczne ofiary, zbierane przez siebie na koszt tego gimnazjum, jakoby ku własnej korzyści otracał. Lubo Czacki oddawna znany był w kraju i w stolicy z istotnych zasług swoich i z bezinteresowności, przecież Cesarz nie mógł pominąć oskarżenia, jakie od naczelnika szlachty pochodziło, i nie zawiadamiając potwarcy, wyznaczył komisję, zamianowawszy jej prezesem Fryderyka Moszyńskiego, niegdyś marszałka wielkiego koronnego, rzeczywistego tajnego radcę, i dwóch jej członków: Karola księcia Jabłonowskiego z Ostroga i starostę Romualda Bystrogo. Ta komisya zasiadała w Żytomierzu 1810 roku. Na jej wezwanie stawił się niewinny Tadeusz Czacki; na wszystkie powyższe punkta jasno i dokładnie odpowiedział złożonemi rachunkami, zawstydił utajonego potwarcę, i ze wszelkich podejrzeń wyrokiem tej komisji został oczyszczonym. Dostędzono niebawem potwarcę który nie zdoławszy ową skargą dopiąć jej celu, pokątnie starał się Czackiego zohydzać, urojoną przypisując mu winę. Byłem naczynym świadkiem, jak p. Gostyński, przy obiedzie u jednego z magnatów, wyrzekł tę niedorzeczność: — „Tadeusz Czacki krzywdzi naród, krzywdzi przodków naszych. W mowach swoich ogłasza ciągle potrzebę oświaty, jak gdyby dotąd była tu ciemnota, jak gdyby ojcowie nasi byli głupcami!“

Nie zjechał na wybory 1811 roku, bo pewnie już mu wiadomem było odkrycie w nim potwarcy

Czackiego, który przez całą gubernię był uwielbiany. Miejsce Gostyńskiego zastępował żytomierski powiatowy marszałek, pan Zawisza. Wybory zwykłe wówczas zaczynały się dnia 20 lipca. Mniej było zgłębku, niż w roku 1808, kiedy każdy szlachcic na zagonie, z prawa swojej legitymacji, mógł należeć do wotowania, z czego na tamtych wyborach chciał korzystać p. Michał Korzeniowski, dziedzic Kodni, znie-nawidzony prezes sądu głównego od roku 1796 po rok 1805, a po którym zajmował przez trzy lata ten urząd z otrzymaniem wysokiego szacunku zacny Tadeusz Tęleżyński. Pan Korzeniowski w roku 1808, aby zostać marszałkiem gubernialnym, ściągnął liczną z powiatu owruckiego szlachtę, nawet najuboższą, której nieraz brakowało butów, a która po wielu miejscach całe wioski z nadania królów zaludniała jednem nazwiskiem, jak Wyhowscy i tym podobni, aby za jej pomocą dostąpić urzędu, po który sięgał. I lubo karmił ich, poił i cembrami słodkich lodów na sali wyborowej uraczał, przecież obywatelskie negatywy przemogły zagrodowe wota. Po nowem rozporządzeniu ograniczono wotowanie i nadano do niego prawo tym tylko, którzy w dziedzicznym lub zastawnem posiadaniu mają majątność, liczącą najmniej sto dusz włościańskich. Było nas przecież zgromadzonych około pięciuset.

Skoro mój ojciec nadjechał z moim starszym bratem Antonim, który już był w powiecie zapewnił, że otrzyma urząd deputata komisji legitymacyjnej, a po nich, gdy przybył szwagier mego ojca, Budzyński z Wyszczykus z dwoma synami: Mikołajem i Ignacym, i dwaj Budzyńscy młodzi z Wygnanki: Kazimierz i Marceł, natychmiast przeniosłem się do domu dla tej całej rodziny przezemnie zamówionego, gdzieśmy razem przez całe wybory mieszkali. Z pomiędzy nas wszystkich jeden tylko Mikołaj Budzyński kończył urzędowanie, w ciągu którego, jako chorąży żytomierski zastępując powiatowego marszałka,

otrzymał od Cesarza piękny pierścień brylantowy, nie pomnę już za co. W naszym Zwiąhelskim, czyli Nowogrodzkożyńskim powiecie, jeszcze nie było wiadomo, kto ma być marszałkiem. Nie słyszano o żadnym z ubiegających się o ten urząd, a kończył go po długich latach Jan Nepomucen Omieciński, z którym mój ojciec w dobrej był zażyłości. Ztąd raz wzięwszy mnie na stronę, szepnął, abym napisał mowę ku pochwalie zasług Omiecińskiego, który od roku 1790, to jest od czasów Rzeczypospolitej, spełniał wzorowo rozmaite urzędy bezpłatnie bez przerwy lat 21. Rzec dla mnie młodego pochopna wystąpić w kole powiatowem w przedmiocie niewątpliwej wartości. Jakoż na pierwszej sesji w salach wyborczych, gdzie grupami powiaty stawiały swoich marszałków, skoro zebraliśmy się około swojego, Omieciński przemówił, dziękując za doznawaną dotąd ulność obywateli i razem składając urząd, zęgnął się z powiatem. Na skinienie mojego ojca dobyłem z zanadru swoją krótką mowę, gdzie w imieniu obywateli oświadczyłem panu Omiecińskiemu wdzięczność za gorliwe a długie sprawowanie urzędu, wymieniając przy tem inne od tak dawna dopełniane usługi publiczne, przez które zjednął sobie szacunek współziomków. Było tam jakieś pewnie wysilone krasomówstwo, bo przecież zajmowało to całą ćwiartkę stronicę. Zbiegło się mnóstwo słuchaczy i z innych powiatów na tej sali, z których wielu wówczas szukało mojej znajomości, a pomiędzy nimi był Kajetan Czarnecki, owocześnie obrany marszałkiem kowelskim, któremu w lat 42 później, gdy kończył życie w Kustowcach 1853 roku, pisałem testament. Cały powiat dziękował mi za te kilka słów w jego imieniu i na czyjś wniosek polecono sekretarzowi urzędu marszałka, aby mowa moja, którą musiałem im złożyć, dosłownie wpisana była do akt marszałkowskich ku pamięci zasług Omiecińskiego. Nie mogłem jeszcze przewidzieć, jakie ztąd będzie

następstwo. Ale na stancyi Kazimierz Budzyński, będąc ze mną sam na sam, przywiązany do mnie mój brat cioteczny, a wotujący w naszym powiecie, objawił mi zamiar zgodny z życzeniem mego ojca, aby mnie zamieścić do kandydatów na podsędka sądu ziemskiego. Przedstawiałem mu niepodobieństwo na-przód w tem, że prawo wymaga na to lat dojrzałych, więcej doświadczenia, że nie skończywszy jeszcze lat 21, nie mam na to kwalifikacyi; powtóre, że mało znany jestem w powiecie. — Mówka, rzekł mi, którąś przeczytał, dała im poznać twoje moralne zasady; już wiedzą wszyscy, żeś przez dwa lata nie próżnował przy sądzie głównym w państwie, a stosunki ojca twego dokonają reszty. Zdaje się, że Ignacy będzie podsędkiem Żytomierski, bo proszą go o to, a Marceli w naszym życzy sobie być chorążym. Nie wiem, czy mu się to uda. — Tak więc, o czem nie marzyłem, przyjdzie sędzić sprawy ludzkie!

Na urząd marszałka naszego powiatu, nikt nie objawiał zabiegów. Lecz na następnej sesji, jeszcze pod przewodnictwem, Omiecińskiego, ktoś wspomniał o dziedzicu Marcinówki, starym kawalerze, panu Wodeckim, jako godnym tej w powiecie dostojności. Mało on był znany i żył w poufnej przyjaźni z jednym tylko starym Porczyńskim z Lubomirki, który, lubo nie szczycił się powagą w powiecie, otoczony przecież dorosłymi synami, miał pewne znaczenie przy wotowaniu. Jeden to z nich wspomniał o panu Wodeckim i ten przy konkurencie bez wsparcia, szczęśliwie przeszedł przez tajne wota. Po utwierdzeniu go na tym urzędzie, wszedł do naszego koła obecny wówczas na wyborach Tadeusz Czacki. O dawnem jego znaczeniu, świadczyła wstęga błękitna i dwie polskie gwiazdy; o dzisiejszem, któż po całym kraju nie oddawał czci jego pracy ku kształceniu młodych pokoleń? Przemówił do nas, mając księgę pod pachą, i prosząc o zapisanie w niej ofiar na fundusz pa-

rafialnych szkółek. Na to śmieszny trochę stary Porczyński, we fraku mundurowym, przedwiecznego kroju, o tysinie zasypanej pudrem, odezwał się: — „Pan starosta, mości dzieju, jak mówią nam, uczenie pisze, ale co do pieniędzy, to chwytą, gdzie zachwycić może, niby na szkoły, a my jak w rogu nie wiemy gdzie się podziewają, mościbdzieju, te obywatelskie ofiary!“ Ośmieliła go do tak ubliżającej mowy przyjaźń nowoobranego marszałka. Czacki z uśmiechem, bez najmniejszej urazy przyjął od prostaka ten obelżywy zarzut, i dowiedziawszy się o na-wisku mówcy odpowiedział mu: „Będę miał zaszczyt przedstawić panu rachunek z ofiar obywatelskich“. I spokojnie odszedł. Wielu z nas powstało na starego Porczyńskiego za tak nieprzystojne odezwanie się, czyniące wstyd powiatowi; i staruszek mocno zmieszany, dopiero się dowiedział, że na tak niecny zarzut już była komisya z dostojnych osób złożona, która, przejrawszy rachunki, nietylko zupełnie go oczyściła, lecz nadto przedstawiła cesarzowi jego dla kraju zasługi. Nazajutrz głoszono, że Czacki, powziawszy wiadomość od policyi o kwaterze Porczyńskiego z Lubomirki, drapał się po lichych schodach na poddasze do starca i chciał przed nim składać rachunki, jakie sekretarz jego przyniósł za nim w arkuszowej księdze. Zawstydzony Porczyński ani zajął do owych rachunków, a najuniżeniej przeproszał za wczorajsze odezwanie się w kole powiatowem. Na następnej u nas powiatowej sesyi przystąpiono do podawania kandydatów na urzędy sądu ziemskiego (co dziś nazywają powiatowym). Pomnę niecne podszepty sędziego W., który znieważając swój poważny kontusz, kłaniał się, sciskał i kładł do ucha niektórym te wyrazy: „Pozwólcie, panowie, abym jeszcze przez trzy następne lata podreperował cokolwiek moje interes!“ Lecz podany przez kogoś na kandydata, okropnie zleciał, więcej bowiem miał negatyw niż afirmatyw. On nieborak w upragnionym nadal urzę-

dzie, czyhał na rozbiory, które się wówczas zagaściły w naszej gubernii, gdzie zarówno z każdego powiatu sąd główny za staraniem dłużnika mianował sędziego lub podsędką na zjazd rozbiorowy. Oby czajem wówczas przyjętym, płacono od masy urzędnikowi zjazdowemu po dukacie od tysiąca złotych; a bywały majątki pod rozbiór oddane wartości miliona i nawet kilku milionów złotych. Na ile milionów była oceniona masa idąca pod rozbiór, tyle tysięcy dukatów brał zjazdowy urzędnik. Nie powiodło się panu W., a obrany został naszym sędzią ziemskim także kontuszowy, ale zacny Romuald Kozłowski. Z kolei nastąpiło podawanie kandydatów na urząd dwóch podsędków sądu ziemskiego i pisarza. Ktoś z życzliwych memu ojcu, bo co do mnie, mało tu byłem znany, odezwał się: „Na pierwszego podsędką prosimy pana Szymona Konopackiego“. Na ten głos jeden, odezwał się cały prawie powiat: „prosimy!“ Z obu stron marszałka, który stał przy balotowaniu, była długa ławka, gdzie siedzieli dostojni wiekiem i zasługą. Między innymi z prawej strony siedział, okryty dwiema gwiazdami na piersi polskimi i jedną rosyjską, niegdyś pięknej pamięci konfederat barski, a później, biada mu! targowicki, i w końcu generał-inspektor kawalerii narodowej w kontuszu, Antoni Pułaski. Znał się on oddawna z moim ojcem i skoro ucichli, ozwał się głośno: „Prosimy nawet bez wotowania!“

Z drugiej strony marszałka, na tejże ławce, siedział we fraku także stary targowiczanie, generał Antoni Raczyński. Ten pewnie miał w myśli kandydatów dobrze sobie znanych, którzyby mogliby pomagać jego procesom w powiecie. Nierad więc tej jednomyślności za mną, przemówił: — „Nie mamy nic do zarzucenia podanemu kandydatowi, ależ patrzcie panowie! On na ten urząd, jest zbyt młody!“ — Pułaski już po śniadaniu, pewnie dobrze pokropionem, z oburzeniem wrzasnął: — „Jakto młody? To niby

kiep? Waćpań sam taki! Żerwali się ku sobie Tar-gowiczanie, oba wysocy wzrostem i silnego złożenia. Obraza publiczna i dotkliwa! Nie wiem, jakby się skończyło, gdyby starzy powiernicy nie weszli czynnie w pośrednictwo. Ale głos Pułaskiego przemógł: bez wotowania cały powiat okrzyknął mnie podse-dkiem. Na drugiego podse-dka wotowano, i został nim dawniejszy pan Jasiennicki. Pisarzem obrano pana Józefa Malachowskiego, o którym mówić będą pod rokiem 1838, 1844 i 1845. Kochany mój ojciec, rad niezmiernie otrzymanemu przezemnie tryumfowi, sciskał tych wszystkich, którzy mu winszowali objawionej we mnie ułności, a mnie kark zabolął od ciągłych na wszystkie strony ukłonów. Tegoż dnia w dwóch innych powiatach, obrano na tenże urząd szkolnych moich a drogich kolegów: w Żytomierskim ciotecznego brata mego Ignacego Budzyńskiego, a w zasławskim Jakóba Cichońskiego. Co do ważniejszych gubernialnych urzędów, obraliśmy prezesem sądu głównego departamentu, łowczego niegdys wolińskiego i kawalera orderu 3-go Stanisława, dziedzica miasteczka Januszpola, Antoniego Dąbrowskiego; prezesem pierwszego departamentu do spraw kryminalnych, Józefa Baczyńskiego, a na gubernialnego marszałka Wacława Hańskiego, pana obszernych włości tu i w gubernii Kijowskiej, który później ożenił się z Ewelina Rzewuską z Pohrebyszczy, córką kasztelana Adama, a siostrą znanego w kraju autora Henryka. Na te wybory mnóstwo zjechało matron z córkami. Kilka też świetnych było balów, z któremi kolejną występowali: gubernator Komburlej, gubernialny maszałek Hański i prezes książę Czetwertyński, a najpiękniejszą ich ozdobą była zawsze panna Józefa Bierzyńska. Księżna Radziwiłłowa, dość przystojna, wabiła niektórych wyraźną zalotnością. Mąż jej, Mateusz Radziwiłł, ówczesny dziedzic Berdyczowa, wprzód był ożeniony z Zakrzewską, miał z nią syna, i rozwiódł się, a ożenił powtórnie z mło-

dą Litwinką, z domu Judycką, a jako stary, lat około 60 mający, zazdrośnem patrzył okiem na grzeczności otaczającej ją młodzieży. Ztąd przy kartach na balu u gubernatora, jak mówiono, ciągle przegrywał przez roztargnienie, bo całą uwagę miał na żonę zwróconą. Wkrótce nas, już potwierdzonych, przyprowadził do przysięgi powiatowy marszałek, to jest na urząd podkomorzego Stanisław Potocki z Pasieczny, na chorążego Marceli Budzyński, i cały komplet sądu ziemskiego wyżej wymieniony, razem w katedrze wykonaliśny przysięgę. Podkomorzyna Zaleska nacieszyć się nie mogła mojem podse-dkowstwem. I jej robaczka cieszył mój zarząd. Bywałem tam dość często u nich. Raz przed balem, który miał się odbyć wieczorem u Hańskiego, a na który już odebrałem wzywający bilet, zamówiłem sobie Józię, jakby żartem, do czterech mazurów, tyłuż anglezów i kadryłów, i bawiąc tam z godzinę, zapomniałem o tem. Tegoż dnia śród balu spiesźnie podchodzi do mnie Cichoński i rzecze: — „Zbierają się tańczyć mazura, pozwól, abym tańczył z panną Bierzyńską! — „Dlaczegoż mnie o pozwolenie pytasz? czy z niej, czy ze mnie żartujesz? — „Mówiła, żeś ty ją zamówił.“ — Daje ci słowo, że na ten raz nie zamawiał jej. Odszedł do niej i wnet wraca, już widocznie zagniewany: „To ty ze mnie żartujesz, boś ty ją zamówił.“ — To omyłka jakaś, chodźmy oba do niej, zaraz cię przekonam. Na moje zapytanie, czy nie kto inny ją zamówił, ta zmieszana, przypominała mi: — „Wszakże dopiero dwa mazury tańczyliśmy, a pan mnie zamówił do czterech.“ Przebacz pani za myłkę w rachunku — proszę tym razem nie odmówić memu przyjacielowi. Ten przyjaciel był strasznym dla mnie, bo przy piękności, wysokiem ukształceniu i dowcipie, łączył i tę zaletę, że ojciec jego, pułkownik niegdys wojsk polskich i pocziwy konfederat barski, miał Sulżyn, Futory i Brukulę, a Jakób jedynym jego był

synem. Ale szczęściem, choć Bierzyńską uznawał za najpiękniejszą z panien, przecież nie był moim rywalem. Och, co też ja później ich miałem!

Wracam do mego urzędowania. Sam przystęp do niego wymagał po mnie ofiary. Miałem w usługach moich młodego chłopaczka niskiego wzrostu, którego rad byłem i nadal zatrzymać, bo pilnował swego obowiązku i przywykłem do niego. Mój ojciec zrobił mi uwagę, że powaga urzędu wymaga, abym miał starszego lokaja, i że wyszukanie takiego już nawet polecił faktorowi. Napróżno przedstawiałem cnoty mojego Jasia. Zjawił się nazajutrz i był przyjęty lokaj, lat około 60 mający, ze szlacheckiem nazwiskiem Kowalski, który długo w młodszych latach służywał przy wielkim dworze Szczęsnego Potockiego w Tulczynie. Porządne ubranie świadczyło o jego trzeźwości, a przytem dobre miał świadectwa. Lecz ponieważ o wiele był starszym odemnie, lękałem się, aby nie zechciał zapanować nademną. Później okazało się, że ta obawa była słuszną. Nie raz miałem trudność utrzymać się przy swoim, nie raz musiałem gderania jego znosić. Pomnę, że raz jadąc śród błotnej jesieni do Wolczyńca, słyszałem jego mruczenie do furmana, siedzącego obok na koźle: „Ot i deszcz zaczyna padać! Skaranie Boże! Kto jeździ w taką drogę!” Wtem wśród błota, gdzie gruby taras był narzucony, tylne koło u powozu łamie się w kawałki. „A co? nie mojaż prawda? Trzeba durnia, aby teraz jechał!” „Mój Kowalsiu! bądź cierpliwym! Zobaczysz, że nas tu Bóg nie opuści.” „Oj prawda! kiedy pan z nim toczysz wojnę. Bóg chce pewnie, aby ludzi oszczędzać. Pan w budzie kpisz sobie z deszczu, a człowiek na wierzchu, jak pies moknie!” Na tę rozmowę nadjeżdżają jakieś dwie próżne podwozy. Uprosiłem, aby się zatrzymały. Ci dobrzy ludzie, widząc nasz kłopot, łopomogli wyciągnąć powóz z przepaści błota i jedyna podwoda odwiozła mnie do karczmy o dwie

wiorsty, a druga została przy moim powozie, aby go do tejże karczmy dociągnąć.

Gdy nocowałem w tej karczmie wśród stepu, furman upatrzył tam jakieś stare koło, dla mnie przydatne. Wziąłem je za umową, że je z Wolczyńca o milę od tej karczmy odeślę. Ten wypadek sprawdził przysłowie, że niema złego, coby na dobre nie wyszło. Cały tydzień dobra podkomorzyna zatrzymała mnie pod pozorem reperacyi koła przez miejscowego stelmacha. Koło w trzy dni było zupełnie gotowe, jak później dowiedziałem się od mego lokaja. Staruszka, patrząc na szczęście moje przy wnuczce, odkładała z dnia na dzień dokończenie naprawy. Często wówczas zostawiano mnie sam na sam z Józią. Gdy raz więcej godziny tak było, słyszałem, że w drugim pokoju, na wpół przymkniętym, panna Teofila coś na to szepnęła matce, a ta głośno powiedziała: „Pozwól, niech robaczki się pobawią.” Wówczas to napisałem w sztambuchu Józi te wierszyki, powtarzane później po pismach peryodycznych i innych:

Ustał wietrzyk, błyszczą wody,
Żaden się listek nie ruszy,
Ach! czemuż takiej pogody
Już nie doznaję w mej duszy!
Myślałem, chodząc w te strony,
Że moja młodość upłynie,
Jak ten kwiatem umajony
Spokojny strumyk w dolinie.
Ale dostrzegłszy w twem oku
Wdzięk, co mą duszę zachwyca,
Zadrżałem, jak w tym potoku
Drży blade światło księżycy.

Z tych dwunastu wierszyków, szły moje dla niej, dały mi w świecie dostojny tytuł poety. W pół roku po ich napisaniu, gdy byłem w Wolczyńcu, Józia ze mną sam na sam będąc, rzekła mi: „Kilka dni temu pan szef Seweryn Rzewuski, będąc u nas, przeglądał mój sztambuszek i, przeczytawszy wiersze

pana, tak je sobie upodobał, że je przepisał dla siebie i powiedział nam te słowa: — „Kiedyś i ja w młodych latach układałem piosneczki, ale wszystkie moje oddałbym za te trzy strofki.“ Mniejsza o zdania ludzkie, rzekłem jej, ja dbam o to jedynie, aby one pani podobać się mogły! „Alboż pan wątpisz o tem? Trzeba być bez duszy, aby ich nie oceniać, jak one są warte!“

Ten szef Rzewuski, ozdobiony krzyżem *virtuti militari* za rok 1792, był młodszym bratem Adama, kasztelana witebskiego, i niegdyś w życzliwych żył stosunkach z mieszkającym dawniej ojcem moim w Kijowszczyźnie, o czem wspominał przed podkomorzyną Zaleską, gdy przy nim była mowa o mnie. Ale cóż mi z tego? Wszakże gdyby podobne stosunki życzliwości były nawet z cesarzem chińskim, cóżby one znaczyły dla opiekunów panny, kiedy ona posażna, a ja ubogi?...

Dziękowałem Bogu, żem, bawiąc tam przez tydzień, nie oszalał z nadmiaru szczęścia i daremnych marzeń. Powrót mój był śpieszny, aby zdążyć na świętomichalskie sądy ziemskie do Zviahla, nazwanego Nowogrodowołyniem. Owe sądy były dla mnie jakby ciężką pokutą za grzechy. Koleżeństwo z ludźmi o wiele starszymi, przy ich całej prawości, było wcale niestosowne do moich usposobień. W ciągu trzech lat owej pokuty zdarzało mi się samemu dopełniać zjazdów kondescensyjnych. Pierwszy z nich był z wezwania podkomorzego Piotrowskiego z Bratałowa, ojca pomarłych już przyjaciół moich: Eligiego, Konstantego, Józefa i innych, było ich bowiem siedmiu braci, lecz wcale nie „śpiących“ umysłem i sercem. Podkomorzy oprócz Bratałowa, gdzie z rodziną mieszkał, oprócz tam blizkiej wsi Chyżnec i jednej na Ukrainie, miał za Cudnowem lasem otoczoną wieś Dryhlów, graniczącą z dobrami pana Łyszkiewiczza, który pod Warszawą mieszkał. Proces, wynikły z sąsiedztwa o miedzę pomiędzy nimi, nie był

wielkiej wagi, ale dziwny co do roszczeń pana Łyszkiewiczza, powoda w tej sprawie. Rządca dóbr jego, zaciekle mazur, pan Czochochron, był wprzód u mnie z oświadczeniem, że ze strony swojej nie sprowadzi drugiego urzędnika, lecz poprzestanie na moim wyroku. Nim opiszę, o co był proces, wspomnę o moim tam kłopotcie. Zjazd mój agitował się w lesie, przy młynie nad rzeczką, w chacie mielnika. Strony nie miały patronów do wyjaśnienia interesu. Stawiły się *personaliter* z dokumentami pod pachą. W chacie zastaliśmy przygotowany stół pośrodku i jedno tylko przy nim krzesło, z solwarku podkomorzego przywiezione, była też i nieruchoma ława pod ścianą. Usiadłem na jedynym krześle, aby w zwykłej formie mój akt zapisać. Po przeczytaniu na głos komparycyi, gdy wezwałem strony do stawienia się i wniesienia sprawy, zerwał się pan Czochochron, jako plenipotent strony powodowej. Jeszcze właściwą podtrzymałem powagę, bom wygodnie siedząc, słuchał wniesienia stojącego przed stołem pana Czochochrona; lecz gdy on skończył, a przyszła kolej na stronę pozwaną i liczącą lat 70 podkomorzy wstał z ławy, aby na zarzuty jemu czynione odpowiedzieć, zerwałem się z krzesła i prosiłem go, aby raczył usiąść; wymagał tego po mnie wzgląd na wiek jego i liczne zasługi w obywatelstwie. Nie przyjął krzesła mego poważny starzec; chciałem stół przysunąć do ławy, gdziebyśmy wszyscy trzej usiedli, nie zezwolił i na to. „Ja — rzekł — przed sądem, jestem stroną we wszystkim równą powodowej i będę, jak tamta, na moich tłómaczył się nogach.“ Jakoż nie rozpoczął obrony, aż moje krzesło zasiadłem. Sprawa toczyła się o to: Majatki stron obu należały niegdyś do jednego właściciela, który, obarczywszy cały swój fundusz długami, oddał go pod rozbiór. Z dekretu rozbiorowego wynikło, że wspomniona rzeczka stanowiła granicę pomiędzy dobrami, dla tych obu stron wyznaczoną. Lecz jakby ku zawiązaniu procesu, młynek

przy rzeczce, lubo stojący na gruncie, który się dostał panu Łyszkiewiczowi, nadano z całym z niego dochodem panu Piotrowskiemu; z drugiej zaś strony rzeczki, na gruncie Piotrowskiego, ciągnęły się przepaściste błota. Ztąd jedyny przystęp do młyna odbywał się gruntami pana Łyszkiewicza. Ten we wzniesieniu przez plenipotentę swego, pana Czochrona, nie zaprzeczał podkomorzemu praw jego do młyna i korzyści z niego, lecz żądał, aby nikt ze zbożem do mlenia nie podjeżdżał gruntami jego do młyna, bo podwoły czynią mu znaczną szkodę w sianożęciach, młyn otaczających. Podkomorzy zaś przedstawiał, że skoro mu dano młyn na gruncie sąsiada stojący, to i przystęp do niego nadano, bo inaczej nie miałby przeznaczonego z mlewa dochodu, a ponieważ inny przystęp z położenia gruntów jest niepodobny, przeto wnosił, aby żądanie pana Łyszkiewicza, jako nieprawne, uchylić. Nim przystąpiłem do dekretu, wdałem się w zgodne stron porozumienie, aby przerywając proces, pan Łyszkiewicz odstąpił, po cenie praktykowanej, choć pół morga ziemi dla swobodnego przystępu do młynka, a strona pozwana, dla uniknienia koniecznych na proces kosztów, zechce pewnie nabyć ten kawałek ziemi. Podkomorzy odezwał się na to: „Właśnie tę samą myśl, jedynie dla świętego spokoju, przedstawiałem sąsiadowi, lecz pan Czochron tłómaczył mi się, że od pryncypała swego ma stanowcze polecenie, aby częściami ziemi za żadne pieniądze nie przedawać.“ A więc niema środka! Trzeba sądowy stanować wyrok. Uznałem naprzód potrzebę stawienia obustronnych świadków dla dośledzenia, od jak dawna trwa podjazd do młyna gruntami strony powodowej. Ztąd nastąpiło polecenie stronom stawienia ludzi wiekowych i wiary godnych, a przytem konieczne odniesienie się do właściwych tym właścicielom parochów, o wysłuchanie od świadków przysięgi, i w porządku spełnienia tych zleceń, sesyę zjazdową do trzech dni

zalimitowałem. Na terminie z limity przypadłym, gdy obustronni po dopełnionej przysiędze świadkowie zgodnie zeznali, że od niepamiętnych czasów przystęp do młyna praktykuje się na gruncie pana Łyszkiewicza, a z przejrzenia dekretu rozbiorowego okazało się, że bez żadnych za to wynagrodzeń młyn i cały dochód z niego nadano stronie pozwanej, przeto czynność pana Łyszkiewicza uznałem za nienależytą. I cud nad cudami! Po przeczytaniu mego dekretu obie strony, nie zastrzegając apelacyi, poprzestanie na nim raczyły podpisać. Odtąd podkomorzy Piotrowski, z dawnych jurystów zasłużony, możny i powszechnie szanowany obywatel, mocno mnie polubił i był wielkim aż do śmierci moim przyjacielem. Zdarzało mi się i później bywać wzywany w różne powiaty na sądownicze i tradycyjne zjazdy. Dla szczególności jeden z owych tryumfalnie dopełnionych zjazdów tu jeszcze sobie przywiodę. W roku 1813, w jakimś interesie ojca mego będąc w Żytomierzu, wszedłem na sesyę sądu głównego. Stary kontuszowy deputat, dziedzic Kisielina w Włodzimierskim powiecie, Wojciech Piotrowski, nienależący do familii wyżej przywiedzionych Piotrowskich, ale godny szacunku, jako dobrze mi znajomy, dostrzegłszy mnie na sali, powstał ze swego krzesła, powitał i grzecznie wezwał za kratki. Tam na boku starzec z rozczuleniem przemówił: „Panie podsędku! wesprzyj mnie pomocą swoją! Bóg ci to policzy za wielką zasługę! Straciłem wielkiego przyjaciela, Jastrzębskiego, który niedaleko ztąd mieszkał, między Żytomierzem a Berdyczowem. On, będąc wdowcem, zostawił pięć córek na wydaniu w ciężkich kłopotach. Te biedne sieroty, wiedząc o dawnych moich stosunkach z ich ojcem, uciekły się do mnie po ratunek. Stan ich oplakany jest taki: Nieboszczykowi Jastrzębskiemu należało się pięćdziesiąt tysięcy złotych od pana kasztelanica owruckiego, Tomasza Trzeciaka. Ten oddał majątek swój pod rozbiór. Wy-

znaczoną część wsi na satysfakcyę owych 50 tysięcy złotych ojciec tych sierot objął w posiadanie, lecz na nieszczęście, obarczył ją potem długami, połowę jej wartości przenoszącemi, i umarł. Kredytorowie jego pozwali sukcesorów do rozbioru. Idzie teraz w sądzie głównym o naznaczenie urzędnika z jakiego bądź powiatu, któryby, przez litość nad sierotami, bezinteresownie tego rozbioru dopełnił. Zmiłuj się nad niemi, zacny podsędku dobrodziej! Dozwól, abyśmy postanowieniem tu naszym ciebie na to mianowali.“ Bardzo chętnie spełnię to żądanie pana, chciałbym tylko wiedzieć, kiedy na ten zjazd rozbiorowy mam się stawić, aby uprzątnąć przeszkody z urzędu, jakie zająć mogą. „O bardzo ci wdzięczny jestem! Jeśli można będzie, proszę, aby termin zjazdu pańskiego był za trzy tygodnie, to jest na dzień pierwszy sierpnia. Uprosiłem już do tego interesu od masy pocziwego adwokata, znanego ci pewnie pana Klembowskiego. On będzie tu czekał na przybycie twoje, abyście panowie razem tam jechali.“

Jak czcigodny deputat zamierzył, tak wszystko łatwo dało się dopełnić. Z młodym, wesołym, zawsze uśmiechniętym panem Klembowskim, który pomiędzy żytomierskimi adwokatami wyróżniał się bardzo niskim wzrostem, powitaliśmy w oznaczonym terminie pięć panien Jastrzębskich. Te sieroty nie miały przy sobie nikogo z rodziny, ktoby ich powagą wieku osłaniał i jaką bądź radą zasilal. Najstarsza z nich mogła mieć... 24-y lata, nie więcej, a najmłodsza około 16-u. Zastaliśmy tam oczekujących nas kilkunastu wierzycieli rozmaitego rodu i wyznania, których widok okropnie ciężył sierotom i widocznie je zasepiał. Lecz dowcipny kawaler Klembowski, jako obrońca masy, uwziął się natchnąć je otuchą i wywołać uśmiech na ich twarzach, w czym mu się dość powodziło, a ztąd wnosić wypada, że młodą kobietę mógł zająć. Przecież, lubo później był nawet z obioru sędzią ziemskim powiatu zaslawskiego, kawalerem

umarł. Zebrani kredytorowie grzecznie oświadczyli mi ufność swoją, zawiadamiając, że nie będą mieć urzędnika ze swojej strony. Kierował tam nimi jeden z nich stary, zupełnie ołyśiały jurysta w błękitnym kontuszu z czarnym kołnierzem, czyli w mundurze z czasów Rzeczypospolitej województwa Kijowskiego, mieszkaniec Berdyczowa pan de Oczo, który pomiędzy nimi największą miał należność, dziesięć tysięcy złotych. Ogół zaś długów wynosił 30 tysięcy; zostawało przeto z całej masy dla biedaczek sierot trzy tysiące rubli srebrnych w ziemi. Ale z jakąż troskliwością codziennie powtarzana badały mnie i Klembowskiego, czemuby godnie uraczyć mogły dostojnego we mnie urzędnika! Jak wyborną miewałem kawę z ciasteczkami! Jak coraz nowe podawano na obiad i wieczerzę przysmaków! Świadcę się Bogiem, że ciężyla mi na sumieniu ta ich wysiłona nad stan uprzejmość. W ciągu dwóch tygodni, przy wszelkich wygodach, opływając jak pęczek w masło, dopełniłem całego rozbioru, na którym zgodnie wszyscy poprzestali. Po ogłoszeniu nad wieczorem mego dekretu, gdy nazajutrz to jest 15 sierpnia, przypadalo święto Wniebowzięcia N. Panny, zostawiłem Klembowskiego, który miał odjechać do Żytomierza, a sam rano śpieszyłem na nabożeństwo do Berdyczowa. Pan de Oczo asystował mi do powozu, gdzie zaledwie usiadłem, on przemówił: „Proszę pana podsędku dobrodziej, aby na pamiętkę raczył przyjąć ode mnie tę tabakierkę, lubo pospolitą! — i potrząś nią tak silnie, że mi się dał słyszeć brzęk dukatów. — Ja i bez tego upewniam, że nie zapomnę o panu; a proszę przebaczyć, że ofiary jego nie przyjmuję, bo tabaki nie zażywam. Starzec, otwierając tabakierkę, utkwiał we mnie oczy: — „Taka tabaka nie zakręci panu w nosie! Bardzo proszę!“ Ujrzawszy tam kilkanaście dukatów, na które kredytorowie złożyć się mogli, powiedziałem mu: — Tej tabaki nigdy także nie zażywam, tylko z własnego worka. Ruszaj! — zawo-

lałem na furmana, a osłupiały de-Oczko wyrzekł: „Dziwny z pana człowiek“ i z otwartą w rękę pozostał tabakierą. Podróż niedaleka; przed południem stanąłem w Berdyczowie i zostawiwszy na stacyi powóz, udałem się do kościoła księży Karmelitów. Ale łotr ze mnie! Zapomniałem wówczas, co dobry ojciec mawiał: — jak ty dla Boga, tak będzie Bóg dla ciebie! Nie wszedłem do kościoła, bo przed murami klasztoru dostrzegłem znaną mi karetę podkomorzyny Zaleskiej. A gdy zapytany jej furman powiedział mi, że ona już po nabożeństwie jest w refektarzu na śniadaniu i wskazał boczne drzwi do klasztoru, ja w obawie, aby wnet nie odjechała, tam się udałem, jakby do mojego ołtarza. Skoro wszedłem do pierwszego pokoju, robaczek w drugim wnet zerwał się od stołu, aby zobaczyć, kto wchodzi, i spotkały się oczy nasze, i nie wiem czemu, cała się wstrzęsła, jakby przestraszona, a potem silnie spłonęła. Po uprzejmem powitaniu dano mi miejsce u stołu wprost przeciw jej twarzy, i modliłem się do mego anioła utkwionemi oczami. Na badania podkomorzyny, zkąd tam przybyłem, opowiedziałem moją dwutygodniową u pięciu panien Jastrzębskich zabawę nad rozbiorem ich mająteczku. Los tych sierot mocno zajął wszystkich, a najwidoczniej Józję sierotę. Zapytała staruszka, czy te panny znane mi były wprzód? Wypadało nie tylko objawić, że nawet o nich nie słyszał, ale dodać jeszcze, na czyje wstawienie się dopełniałem tego rozbioru. — „Bóg ci to nagrodzi — rzekła — żeś zlitował się nad sierotami“. — Dziś już mam tę nagrodę — odpowiedziałem — w niespodzianem tu zjechaniu się z paniami! — „Jacyż tam byli kredytorowie? Czy nie zechcą rozebrać pomiędzy sobą tych biednych panien?“ — Przedstawiłem najmniej podobieństwa po temu, a gdy mówiłem o panu de-Oczko, łysym jak kolano, i o jego tabakierce, i jak, odjeżdżając, zostawiłem go w osłupieniu z tabakierą otwartą w rękę, to cała scena mocno je

uśmieszyła. O! głupi, głupi byłem! Należało zupełnie o tem zamilczeć! Miłość to własna podszeptała mi to nikczemne samolubstwo, bo jeden Bóg tylko ma wiedzieć o chwalebnym czynie. Może ktośby powiedział na tę sumienną uwagę, że już zdzieciniał; mniejsza o to, nie zmienię zdania mego.

Co do rozmaitych kondescencji, spełnianych przezemnie, porównywałem nieraz położenie zjazdowego urzędnika z prezesem sądu głównego, pomny na moje dwuletnie atentowanie u krtek tego sądu, i zawsze uznawał, że łatwiej jest panu prezesowi w rzeczy rozjaśnionej dekretem sądu ziemskiego, a czasem i zjazdowego, i obustronnem wniesieniem we dwóch sądach adwokatów, przy naradzeniu się z deputatami sprostować mylną decyzję niższej instancyi, niż na zjeździe, w związku procesu, same-mu, bez narady z nikim, trafnie obmyślić stanowczość i obie strony o swej nieomyślności przekonać. I dlatego nazwałem cudem poprzestanie na moim dekrete obu stron, zażarcie wojujących, w małym wyżej opisanym procesie o wytyczanie sianożęci przy młynku.

Oprócz spraw cywilnych, dołączono ukazem obowiązek dla sądu ziemskiego, aby sądził zdarzające się w powiecie sprawy kryminalne, jakie, za czasów Rzeczypospolitej, należały do sądów grodzkich, gdzie przydywował starosta grodowy lub jego zastępca. Takie sprawy, niecierpiące zwłoki, wymagały kolejnej członków sądowych bytności w mieście powiatowem. Jeden z nas po przejrzeniu śledztwa, dopełnionego przez sąd *niemy*, i po badaniu stawionego naocznie więźnia i świadków, stanowił opinię i przedstawiał ją sądowi głównemu I-go departamentu. Tam opinia mogła być zmieniona, lub potwierdzona; decyzja tego departamentu miała moc dekretu, wyjąwszy tylko sprawy, z których wynikało odjęcie komuś szlachectwa; takie bowiem z Żytomierza przed-

stawiane były po ostateczne postanowienie do senatu Nadto, do członków sądu ziemskiego należała rewizya kasy powiatowej, czyli *kaznaczejstwa*, a to dnia pierwszego każdego miesiąca, równie jak rewizya magazynu prowiantowego, który był wówczas o cztery mile od Zwiahla, w miasteczku Korcu, w murach klasztoru księży Franciszkanów, którzy niekiedy, przez grzeczność, zapraszali mnie na obiad. W magazynie, przy mojej rewizyi, dostrzegałem widoczną kradzież pana *smotrytela*, bo gdy zdarzało się, wyręczając którego z kolegów, i w następnym zjechać miesiącu, pan smotrytel, w przygotowanym już raporcie, zamieszczał też samą, co wprzód, ilość myszjojadów, i pokazywał je w kącie magazynu, jako niby poniesioną w ciągu miesiąca szkodę. Uśmiechem tylko zbywałem te fałszy. Smotrytel był Rosyanin w jakimś stopniu dymisyonowany. Podobne usterki dały mi się dostrzegać i w *kaznaczejstwie*, gdzie *kaznaczejem* był także Rosyanin. Zwykle wszystkie pieniądze liczyłem tak w monecie, jak i w owoczesnych asygnatach. Raz dostrzegłem, że braknie do raportu, jaki on przedstawił, rubli 25. Nie dowierzał mojej rachubie, liczył przy mnie owe asygnaty, a przekonawszy się, że nie popełnił omyłki, wyjął z kieszeni pugilares i dodał rs. 25. Pomnieć potrzeba, że *kaznaczej*, zapisując w swoją księgę wszelki w asygnatach przychód, każdej z osobna dodaje numer. Te 25 rs., z kieszeni wyjęte, nie należą do numeracyi w księdze zapisanej, zatem zdanie rachunku nie było rzetelne. Niech Bóg ich sędzi!

Byłem wówczas w samym kwiecie młodości, a przeto dziś nie dziwi mnie, że owe ciągle z urzędu zajęcia nie przeszkadzały mi korzystać z wieści o jakim bądź niedalekim balu, zwłaszcza, jeśli spodziewałem się zastać panią mego serca. Jakoż co roku w jesieni, na imieniny gubernatora Komburleja, ściągała mnie jedynie myśl o niej. Pamiętne mi jest

liczne tam zgromadzenie 1811 roku, na które przybył i mój ojciec w towarzystwie prezesa Dąbrowskiego, zachęcony przez niego, a obadwa kontuszowi. Znachodził się tam na sali korpusny generał, ciemnej twarzy, z orlim nosem, przy wielkiej wstędze najwyższego orderu Ś-go Jerzego, Bagration, z bardzo licznym sztabem, gdzie co do gości cywilnych oczy wszystkich były zwrócone na powabną panią Naryszkinową, ztąd mianowicie, że nie było nam tajemnicą oczarowanie jej wdziękami najwyższej w kraju potęgi. Z domu Czetwertyńska, była córką owego księcia, który w Warszawie 1794 roku uległ sromotnej karze, wymierzonej, jak na Ankwiczu, wyrokiem trybunału rewolucyjnego. Pani Naryszkinowa, mając zażyłą znajomość z panią Ilińską, w dziewiczym osieroceniu bawiła przy niej pod koniec panowania Katarzyny II, kiedy sam Iliński był tylko kamergerem dworu, mianowany przez cesarżową, gdy jako pierwszy po zaborze kraju marszałek wołyński gubernialny, w potrzebie gubernii był w stolicy i tam z żoną swoją zamieszkać musiał. Wielki książę Aleksander bywał u Ilińskiego, i lubo już ożeniony, zawiązał z tą księżniczką, może przez litość nad sierotą, najbliższą znajomość, a potem wydał ją za Naryszkiną. Piękną jeszcze była, a cały jej ubiór, pas, naszyjnik, bransolety i dyadem blaskiem ogromnych brylantów ćmił oczy. Lecz moją gwiazdą, nad te brylanty świetniejszą, była tam Józia. W roku 1812 nie zjechała podkomorzyna Zaleska na te imieniny. A więc zasmucony, nie należałem do tańców. Solenizant spostrzegłszy mnie rozmawiającego z kimś z poważnych obywateli, zbliżył się do mnie i szepleniącym swoim językiem przemówił: „Vous ne dansez pas, c'est que votre Josephine n'est pas ici. Mais venez je vous trouverai la belle rose!“ — i wzięwszy mnie za rękę, doprowadził do panny Chinczówny w różowej sukni, abym z nią tańczył. Rad nie-rad, mu-

siałem odbyć tę pańszczyznę. A więc i Komburlej dostrzegał moje szaly dla Józki.

W 1813 roku na wiosnę byłem po raz pierwszy w powiecie łuckim we wsi Hołuzi, która od roku 1687, od czasów prapradziada mego, Jana podstolego trębowski, chorążego pancernego, który pierwszy z imienia zamieszkał tam na Wołyniu, dotąd prawem spadku dziedzictwem jest w rodzie naszym. Ojciec mnie tam był wysłał dla obrachowania się z posem, który Hołuzię posiadał trzy lata za arendownym kontraktem, a był nim Litwin Rzewuski. Miałem wskazać sobie marszrutę na Krzewicze, gdzie mieszkali nieznajomi jeszcze dla mnie państwo Postruscy, krewni nasi. Postruskiego nie zastałem w domu. Ciotka, dla wielkiego przywiązania ku moim rodzicom, rada była z poznania się ze mną. Przez dwa dni zatrzymała mnie u siebie. Jedyną jej córeczką, Bogunią, dziecię cudnie miłe, nie więcej miała niż lat pięć. Guwernantka przy niej była przyzwoita i utalentowana Szwajcarka, panna Genie. Dobre dziecię nadzwyczaj było pieszczone przez matkę. Ja, bacząc na ciągłą jej troskę, aby wszelkim zachceniom dziecka dogodzić, widząc to, że po pacierzu, nie da zasnąć dziewczęciu, aż położone obok niej w łóżeczku okarmi konfiturami, ośmieliłem się powiedzieć: — Przebac, kochana ciociu, że ważę się zrobić tu moją uwagę. Takie pieszczoty, jakimi córkę swą otaczasz, miłe zapewne są dla niej na teraz; ale zdaje się, że na później zgubnymi będą. Wymagać ich będzie i od męża, jako od lat dziecinnych oswojona z niemi, a nie zdarzało mi się widzieć, aby mąż tak pieścił żonę. — „Dlatego też właśnie teraz przynajmniej należy dać jej poznać to silne moje uczucie, o jakim wy mężczyźni po ślubie zapomnacie. Obok tego, ja spełniam przekazane od natury powołanie matki. Może nieraz widziałeś, jak małe ptaszę czuwa w gniazdeczku nad pisklętami. I moja Bogunia pisklę jeszcze, piórka jej nie odrosły tak, aby bez

matki obejść się mogła. Rozwój władzy w ptaszęciu jest prędszy, ale za to krótsze jego życie; w miarę więc dłuższego u nas życia i niemowlęstwo nasze trwa dłużej. Nakoniec, nie wiadomo ci, że ja z położenia mego obowiązana się czuję do tych pieszczot. Dobry Wicus, mój mąż, kocha ją jak życie, ale tak dziwnego jest charakteru, że nigdy nie da jej tego poznać, a za najmniejsze jakieś jej uchybienie najsurowiej ją gromi. Ona biedaczka drży na jego spojrzenie. Ja więc muszę czynnie pośredniczyć dla złagodzenia tej surowości. Taką między niemi gram rolę matki. Oto niedawno mieliśmy u siebie kilka osób na obiedzie. Bogunia u stołu, chcąc nalać sobie wody ze swej karafeczki, trąciła nią o kieliszek przy niej stojący, i roztlukła go. Ojciec ani się odezwał, tylko spojrzał na nią. Ja dostrzegłszy, co się z nią dzieje, że zbladła, zadrżała i że ledwie na krześle utrzymać się może, porywam swój cały kieliszek, i, śmiejąc się, mówię do niej: — to szkło, dziecię moje! to szkło. Patrz! byle trącić niem o co twardego, wnet oto tak rozbija się w kawałki, tu uderzywszy pięknym kieliszkiem o talerz, roztlukłam go na miazgę. Ojciec był nierad temu, bo zdwoiła się szkoda, ale moja dziewczyna, oprzytomniawszy, uśmiechem mi to nagrodziła. — W tych jej własnych wyrazach najdokładniej odbija się rys jej duszy. Nazywali ją niektórzy egzaltowaną. Ja, pomnąc na dowody jej później najżywczych stosunków ze mną, jej ufnosci we mnie, gdy z córką mieszkała w Krzemieńcu dla dokończenia jej nauk i talentów, gdy ja, będąc w komisji edukacyjnej urzędnikiem, przez trzy lata codziennie prawie bywałem u niej, powiem tylko, że jej serce pełne było najszlachetniejszych uczuć.

Trzebaż mi coś przypomnieć sobie z mojej pierwszej bytności w Hołuzi. Wiedziałem od ojca mego, że tam mieszkał mój prapradziad, rycerz z czasów króla Jana-Kazimierza, że znajdował się w po-

tyczce znamienitej pod Cudnowem, a tu ożenił się z wdową po swoim przyjacielu, księciu Stefanie Czerwotyńskim, i że ten majątek od roku 1687 bez przerwy pozostaje w naszym imieniu. Już ta jedna okoliczność stanowiła dla mnie Hołuzę, jako przedmiot mocno zajmujący. Ależ smutny jest widok Polesia! Wiekuiste sosny całą sadybę dość wielkiej wsi otaczają. Zostałem dwór blizki upadku. Dziad mój, który umarł 1795 roku, już tam nie mieszkał; przeniósł się był do drugiej o pół mili wioski Wólki-hołuzyjskiej, i tam życie zakończył. Pan posesor Rzewuski, uprzedzony listem mego ojca, że zjadę do niego, oczekiwał mnie niecierpliwie. Przenocowawszy tam, nazajutrz rano śpiesznie wziąłem się do obrachunku. Jakiś niedopłat należał się od dzierżawcy za ostatni rok posesyi. Na to przedstawił on zapomogę daną włościanom, która z obrachunku z nimi, jak poświadczał stary miejscowy gumienny, nie była ani odrobioną, ani zwróconą w pieniądzech. Jakies tam były niedobory w daninach; wszystko to spisywałem przez ciekawość tylko, czy też co zostanie do odebrania, bo w przekonaniu mojem powyższe punkta miały w kontrakcie swoje zastrzeżenia przeciw posesorowi. Nakoniec przedstawił nieurodzaj, jakiego doznał w tym roku ostatnim, z którego robiliśmy ów obrachunek. Słowem, przez wzgląd na klęskę nieurodzaju, jak zacząłem za każdym punktem jego pretenzji odejmować potrosze od sumki niedopłaconej za dzierżawę, pozostało tylko trzysta złotych do odebrania. Tu pan Rzewuski znalazł się tak silnie wymownym, tak do mego odezwał się przekonania, jakby w nim ożył grecki Demostenes. — „Panie! Przysięgam Bogu, że i grosza dać nie mogę, bo nie mam. Zboże wszystko sprzedałem na zaspokojenie długu, chudobkę i konie odesłałem do ojczystej siedziby w gubernii Mińskiej; pozostała tylko para chabetów, aby się tam dowlec, i kilkanaście złotych na drogę. Ale ponieważ panu podobał się mój oto wiszący

w tej klatce kanarek, który, nie ma co mówić, pięknie śpiewa kuranty, to proszę przyjąć go za te 300 złotych, a mnie racz panie zakwitować, bo co do pieniędzy, nikt dać nie może, kto nie ma”. Musiałem przyjąć kanarka, zakwitowałem pana Rzewuskiego, a oddawszy klatkę drucianą z ptaszkiem pod tymczasową straż i opiekę starcowi gumienemu, odjechałem na dzień jeden o pół mili po najgorszej drodze do Wólki-Hołuzyjskiej, gdzie prawem dożywocia mieszkała macocha mego ojca, z domu Chajęcka, trzecia żona ś. p. mego dziada, przy której mieszkał i jej syn Mateusz, brat z innej matki mego ojca, o 26 lat młodszy od niego. Powitano mnie jak można najuprzejmiej. Zostałem żyjącą tam jeszcze siostrę mego dziada, pannę Judytę, mocno już nachyloną wiekiem. Stryj mój, Mateusz, bardzo rad z mego przybycia, przez dwa dni mnie zatrzymał. Wracałem na Hołuzę, aby zabrać kanarka, i z nim, o ile można w najprostszym kierunku, wróciłem do rodziców. Dobry mój ojciec ani zmarszczył czoła, śmiał się tylko z kłopotu, jaki miałem, wioząc mil 30 klatkę z ptaszkiem. Ale po dwóch latach okropny spotkał los kochanego śpiewaka mego, który cały nasz dom ożywiał i zachwyczał. Raz, wyjeżdżając z moim ojcem na imieniny do marszałka Jana Wyłężyńskiego, nie poleciłem nikomu pamiętać o nim, bo nazajutrz mieliśmy wrócić. Tymczasem ztamtąd udaliśmy się odwiedzić Budzyńskich w Wygnance; matka z moimi siostrami bez nas bawiła dni kilka u swej siostry w Wyszczikusach i za powrotem z naszej podróży, zastałem.. milczącą klatkę! szlachetne ptasze z głodu zmarło! O! jak silnie wyrzuciłem sobie tę niepamięć o nim! On pierwszy wzbudzonym żalem po sobie, jakby mnie sposobił do łez po stracie tylu krewnych i przyjaciół! W kilka miesięcy później, nocując w Berdyczowie 1895 roku, gdy rano wyszedłem na podsiennie domostwa, dał mi

się słyszeć śpiew kanarka, który nucił tegoż, co niegdyś mój, kuranta. Wnet posyłam żyda do kupca Szwajcara z prośbą o sprzedanie ptaszka. Za żadne pieniądze zbyć go nie chciał; a ja, wsłuchując się w śpiew jego, poczułem lzy w oczach.

W tymże 1813 roku musiałem odbyć pamiętną mi podróż do Zwiąhla ze znaczną sumą pieniędzy w srebrze: dziewięć tysięcy kilkaset rubli. Opieka szlachecka obrała ojca mego administratorem nad połową majątku senatora hr. Ilińskiego, nad drugą połową, z wymieniem wiosek, był pan podkomorzy Izbiński. Senator zawinił rządowi, nie uściwszy się w terminie z dostawy sukna dla armii. Lotry Niemcy na jego w Romanowie fabryce zrobili mu zawód. Spowodowali ogromne koszty na rozmaite maszyny z zagranicy sprowadzane i z pieniędzmi, na resztę owych narzędzi przeznaczonych, już nie wrócili. Ztąd majątek jego podpadł administracji. Kłopot ten ciągnął się aż do r. 1819, w którym hr. Iliński sprzedał darowane mu przez Pawła I-go całe starostwo ułanowskie, w cenie po sto dukatów za duszę, za spokojił pretensję rządową i zwolnił się z pod administracji. Członek opieki szlacheckiej, który spisywał inwentarze dóbr, niską, jak zwykle, stanowił intratę. Ztąd mój ojciec, nie zarządzając gospodarstwem w podanych sobie wioskach, spokojnie spełniał obowiązek administratora; odbierał tylko od komisarza pana hrabiego łatwo zebraną coroczną intratę inwentarzami wskazaną i odsyłał ją do opieki szlacheckiej, która owe pieniądze wyprawiała do stolicy.

Gdy się puścił o mil siedem, po części lasami, w tę podróż do Zwiąhla, wówczas ruch był wielki po Wołyniu wojsk wracających z pod Moskwy po pierwszym upadku Napoleona I. Pomiędzy regularnymi pułkami snuły się oddziały baszkirów i kirgizów wiary muzułmańskiej. Spotkanie się z nimi w lasach wcale nie było bezpieczne. Dla impozycji przeto wdziałem na siebie mundur, wziąłem do bry-

kę szpadę i kazałem uczepić dzwonek do dyszla. Był w tem widoczny pozór urzędnika, jakim istotnie byłem. Tę postawę przybrałem jedynie dla ocalenia od napadu skrzynki z pieniędzmi pod fartuchem bryki, gdzie jakoby wiozłem ważne urzędowe papiery. Ściemniać się zaczęło pod miasteczkiem Rohaczowem, które las wielki otaczał. Postanowiłem tam zanocować. Wjeżdżam na rynek. Mój Kowalski, zajrzawszy do domostwa, gdzie zwykle zajeżdżał, wraca z tem, że tam kwateruje rotmistrz baszkirów. Zwiedził po kolei resztę niewielką domów, bo ich było tylko trzy, czy cztery, i znalazł je zajęte wszystkie tą dziecią. A więc wysiadam z bryki ukorzyć się przed panem rotmistrzem, aby raczył mnie przyjąć na nocleg. Zastaję go siedzącego za stołem, gdzie stoi miedziana półgarncówka, a przed nimi lampeczki z wiszniakiem. Powitałem go uprzejmie po polsku, bo i dziś po rusku nie umiem; proszę go, aby jako urzędnikowi, jadącemu z ważnymi dokumentami do Zwiąhla, pozwolił mi przenocować tu w sieniach. — „Nie — odpowiada — nigdy na to nie pozwolę! urzędowe dokumenta będą pod moją opieką; ja na całą noc wartę moją postawię przy waszej powózce; a wy tu ze mną w izbie nocować macie, ale wprzód wypijcie stakan wiszniaku.“ Mróz przeszedł po mnie! Pomyślałem, że kozak na straży zajrzeć może pod fartuch, gdzie podniesiona i spuszczone skrzynka, wyda brzęk pieniędzy. — Ja nie chcę panu przeszkadzać — rzekłem — ja bardzo rano mam wyjechać, mogę pana obudzić. — Oho! raniej ja, niż wy, już spać nie będę. — I powstawszy z ławki, zawołał na żyda: — *Dawaj tretę, stakan* — a mnie bierze za rękę i chce sadować przy sobie. — Pozwólże pan, abym dał dyspozycję moim ludziom. — Nim bryczka w sień zajechała, poleciłem furmanowi, aby nieodstępnie był przy niej, gdy Kowalski, zniósłszy tłumok, ślać będzie łóżko dla mnie, Kowalskiemu zaś, aby spał w bryce, mając pod nogami skrzynkę. Żadnego wówczas nie pijałem trun-

ku; a tu dla ujęcia sobie pana rotmistrza, musiałem wypić lampeczkę śmierdzącego wódka wiszniaku. Udać mocno zmęczonego podróżą, przeprosilem rotmistrza, że ból głowy zmusza mnie położyć się, i niby śpiący, nie prędko mogłem zasnąć. Ale rotmistrz, szczęściem dla mnie, zapomniał postawić kozaka przy mojej bryce.

Nazajutrz, skoro się ubrałem, Kowalski wniósł mi kawę. Rotmistrz wół ubrany pyta: — *Czto eto?* — To kawa, panie dobrodzieju, proszę pana. — Kowalski odrzekł: — Kofe, kofe! panie dobrodzieju! — *Wy Francuz, ili czto? Pijtie so mnoju moloko.* — Wypij sobie tę kawę, mówię do lokaja, a powiedz żydowi, niech nam da sprażonego mleka i bułek. — Moja powolność ujęła kozaka.

Co do administracyi mojego ojca później zagroziła mu najniewinniej odpowiedzialność za kolegę, podkomorzego Izbickiego. Ten w ciągu administracyi nad drugą połową dóbr hr. Ilińskiego poddał swój majątek pod rozbiór. Koledzy moi w tajemnicy przedemną, zastraszeni odpowiedzialnością ze złe obranego administratora, jeśliby ten przy upadku swoich tunduszów nie złożył dochodów z powierzonego mu majątku, zmienili swoje poprzednie postanowienie, i chociaż tam były oznaczone wsie, jakie któremu z tych dwóch obywateli były podane, opieka szlachecka poprawiając to, postanowiła, że jeden za drugiego ma odpowiadać. Postanowienie to w czasie naszych sądów było dopiero w projekcie napisane.

Wszedłszy raz do izby sądowej, gdzie zastał samego tylko regenta, pocziwego Żukotyńskiego, który był potem sędzią żytomierskim, przeglądałem papiery leżące na stole. Przypadkiem wpadł mi do rąk ów projekt przeciw memu ojcu. Zaledwie skończył czytać, nadchodzi sędzia i mój towarzysz, podsedek Jasiennicki. Udało mi się uprosić ich, aby nie robili tak wyraźnej krzywdy niewinnemu ojcu memu. I starzy raczyli usłuchać mej rady, że dość będzie

dla spokojności członków opieki, gdy wydamy odezwę do sądu niższego, aby na majątku pana Izbickiego położono areszt, który go zmusi do zdania rachunku z administracyi, a z przyczyny ogłoszonego rozbioru na tymże jego majątku, abyśmy innego obrali administratora do wiosek, jakie mu były podane. I dobra zawsze harmonia trwała między nami.

W ciągu działań naszych w komplecie, co bywało trzy razy w roku po dwa zwykle tygodnie, sędzia Kozłowski, dziedzic wsi Ferdynandowa, zapraszał nas niekiedy na obiady; ja zaś nie miałem kucharza i żywiłem się z traktierni. Kochany ojciec, oprócz zwykłej pensyi czterdziestu dukatów rocznie, dawał mi odjeżdżającemu na sądy do Zviahla po kilkadziesiąt rubli srebrnych. Raz dwa zacięte procesy miały się wytoczyć przed naszym sądem. Jeden między braćmi Ignacym i Franciszkiem Łosiami ze wsi Kamienia, spadłej na nich po stryju bezdzietnym, lecz szczęściem oba zapisali się zgodnie na kompromis, obierając nasz komplet sądowy na sumiennych, czyli ostatecznych sędziów; drugi zaś przykry dla nas, bo należący do kryminalnych; proces był taki: Wojciech Świętosławski, z czasów polskich chorąży krzemieniecki, na sejm czteroletni z Wołynia nie-szczesny poseł, w końcu konfederat targowicki, o którym niżej coś powiem, wydał był córkę swoją za Kazimierza Pułaskiego, który był synem generała Antoniego, konfederata barskiego, a w końcu także targowickiego. Pomimo takiego pomiędzy nimi powinowactwa i jedności ducha, Świętosławski i generał Pułaski weszli do sądu naszego z oskarżeniem się wzajemnem o nielegalne noszenie orderu Orła Białego.

Zarzut samozwaństwa stanowi sprawę ważną. Opinia sądu ziemskiego miała przejść, jako w rzeczy kryminalnej, pod ostateczną decyzję do departamentu 1-go. Gdy sądenie tej sprawy było jeszcze w za-wieszeniu, sędzia po sesyi zaprasza nas na obiad. Gdyśmy zasiedli do stołu, gdzie do tej uczty należał

znajomy mi pan Lityński, jurysta i dorywczy poeta, którego dwa tomiki wierszy niewartych wspomnienia już nam były znane, wszedł do sędziego obywatel przybyły z powiatu, który, gdy gospodarz dał mu miejsce u stołu, zapytał: — Jak wiele spraw panowie już osądziliście? — Lityński odezwał się: — Krótko panu powiem: Dwa Łosie, Zgodziło się, Targowica jeszcze fica. — Ten koncept rymowany obudził w nas śmiech powszechny. Ale szczęściem dla nas, to ficanie poskromione zostało. Ktoś z obywateli, mających przewagę w powiecie, przedstawił obu stronom, że wynikiem z osobistości wzajemne ich zarzuty nietylko krzywdzą ich poważny kontusz, lecz są obelgą naszej przeszłości; że ta sprawa stanie się głośną ku hańbie naszej, a ztąd oni ściągną na siebie obrzydzenie i pogardę współziomków. Na tak trafne uwagi obie strony cofnęły swoje oskarżenia, i rozchodząc się na prawo i lewo, warczały tylko na siebie, jak dwa psy zażarte, którym nie dozwolono zagryźć się na śmierć.

O panu Wojciechu Świętosławskim później slyszalem z ust mego teścia, ś. p. Łukasza, podkomorze-go Łaźnińskiego, coś okropnego. Zdarzenie, które nie pojmuje, jak on mógł przeżyć.

W pierwszych latach panowania cesarza Aleksandra I wielki książę Konstanty przejeżdżał się po Wołyniu z powodu przeglądu wojsk tam rozlokowanych, a tutejsi magnaci, dawniejsi dygnitarze Rzeczypospolitej, których to województwo było gniazdem, na wyścigi łetowali go świetnymi balami. Mój teść, młody wówczas, bogaty posiadacz klucza Raśnickiego, który nań spadł po stryju bezdzietnym, łowczym w kor., lubiący zabawy, nie omijał sposobności po temu. Po kilku innych licznych zgromadzeniach był z kolei na balu, danym dla wielkiego księcia przez strażnika koronnego w Zasławiu, księcia Janusza Sanguszkę. Już sala pełna była gości, kiedy wszedł pan Świętosławski. Po przywitaniu gospodarza prosi,

aby go zaprezentował wielkiemu księciu. Oba ku niemu się zbliżają; następuje prezentacya, po której wielki książę podnosi głowę, przypomina coś sobie i pyta: — Czy nie poseł wołyński na sejm konstytucyjny? — Świętosławski, rad temu wspomnieniu, bo wówczas miał zasługę u dzisiejszego dworu, jakby z chlubą, śmiało odpowiada: — Tak jest. — A wielki książę z uśmiechem głośno się odezwał: — Pocóż pan szukasz mojej znajomości, kiedy ja nie daję pieniędzy, jak niegdyś babka moja, Katarzyna II? — Konfuzya bez ratunku!... Odszedł winowajca i cicho wy-mknął się z balu.

W 1813 roku niemiłe miałem zajście z deputatem 1-go departamentu, Karolem Pruszyńskim. Był to mężczyzna bardzo przystojny, siłnej budowy, ale nadzwyczaj dumny ze swej piękności i bogactwa, a jeszcze wówczas kawaler. Ojciec jego Józef Pruszyński, niegdyś rotmistrz kawaleryi narodowej, co znaczyło rangę generała, kawaler orderu Ś. Stanisława, posiadał w naszym powiecie Zwiąhelskim Czartoryę Starą i Nową, Korostki i jakieś osady po leśnych obszarach; ożeniony był z posażną Kordyszówną, z którą mając pięć córek i jedyne go syna Karola, nietylko żył z nią w separacyi, lecz i w ohydny procesie, do którego z hańbą swoją wpływał pan Karol, przychylny dla ojca, z niepoczcziwemi przeciw matce zarzutami. Moje z nim zajście nastąpiło z takiego powodu:

Staruszek Francuz de Mousseau, mieszkający w Romanowie, wuj pani senatorowej Ilińskiej (senator bowiem, rozwiódłszy się z pierwszą swoją żoną Komorowską z domu, siostrą owej Komorowskiej, która nieszczęsnym losem swoim dała przedmiot do poezyi Malczewskiemu p. t. „Marya,” ożenił się powtórnie z wdową, panią de Craque, rodem francuską), owóz ten jej wuj polubił mnie i przysłał mi na pamiątkę trzy tomy wyborowych poezyj, tłómaczonych na jego język z angielskiego, Aleksandra Pope.

Zaledwie je otrzymałem, jeszcze nieoprawne, a na wet z kartkami nierozciętemi, wypadło mi jechać do Żytomierza w pilnym interesie ojca. Podpisałem się na tych trzech książkach, jako do mnie należących, i wziąłem je z sobą, aby w podróży tej czytać. Przybywszy do Żytomierza, wyszedłem natychmiast na miasto, a mój Kowalski uporządkował się na stancyi, położył owe książki na stoliku przy łóżku i wyszedłszy przed sień, zagapił się nad widokiem ludnej ulicy. Wtem Ka ol Pruszyński, który go znał u mnie lokajem, zbliża się i zapytuje, czy jestem na stancyi, a nie zważając na to, że mnie nie zastał, wchodzi do izby, przegląda moje książki i zabiera je z sobą, mówiąc: — Powiedz swemu panu, że ja dziś przejrzę tylko te książki, a jutro je oddam. — Kowalski, znając dobre nasze stosunki, zezwolił na to. Nazajutrz spotykam się z Karolem; przeprasza mnie, że nie oddaje jeszcze owych poezyj, lecz że za dwa dni odda niezawodnie. Minęły owe dwa dni i wyjechałem do domu, nie odebrawszy moich książek.

Po upływie kilku tygodni przybywam znów do Żytomierza; spotykam na ulicy Pruszyńskiego. Po przywitaniu zapytuje go: — A moje książki? — Dziś odniosę je ci z podziękowaniem, bo też śliczne to są poezye! — Nie przyniósł ich przecież, chociaż wiedział, gdzie mieszkam. W dwa dni potem dostrzegam go zdaleka wprost mnie idącego; lecz skoro mnie spostrzegł, wnet skierował się w boczną ulicę i to tak przyspieszonym krokiem, że napróżno chciałbym go dopędzić. Pomyślałem sobie: nie darmo on mnie unika, już moje książki przepadły.

Tegoż dnia wieczorem byłem z wizytą u marszałka gubernialnego, Mańskiego. Nie zastałem z gości nikogo; ale gdy przy podanych fajkach gawędziłszy, wchodzi elegant wyperfumowany Karol Pruszyński, i gdy usiadł przy mnie na kanapie, ja po niejakiem czasie najgrzeczniej, nawet z uśmiechem zapytuje go pocichu, kiedy też oddasz mi moje książ-

ki? A on z nacisłem, z wyraźną złością, odpowiedział mi: — Milcz! ja ci zapłacę za te książki! — Silnie mnie tem oburzył; a więc odrzekłem mu na ucho: — Zatrzymaj przy sobie swoje pieniądze, bez których nicbyś nie znaczył, a moich książek, jeśli jutro o godzinie ósmej rano nie oddasz mi, to publicznie nazwę cię łajdakiem. — Jak oparzony zerwał się, pożegnał Mańskiego i wyszedł.

Niezadługo zjawia się lokaj miejscowy i oznajmia mi, że jakiś pan, tu na ulicy, wzywa mnie na chwilę. Domyślałem się, że to on. Żegnam przeto gospodarza i z łaską w rękę wyszedłszy, stanąłem we drzwiach na ulicy. Lubo noc już ciemna, widzę przecież Pruszyńskiego i zapytuje go: — Czego pan żądasz jeszcze odemnie? — Chcę się dowiedzieć, gdzie pan mieszka i czy jutro rano o ómej godzinie będzie pan w domu? — Dałem mu informację o mojem mieszkaniu i że o naznaczonej godzinie czekać go będę u siebie. On odszedł, a ja w przeciwną puściłem się stronę, ażeby wstąpić do życzliwego dla mnie Wincentego Karwickiego, którego brat starszy, Stanisław, mój dobry znajomy, mieszkał w Karpowcach i wówczas był także w Żytomierzu. Przewidując, że Pruszyński, mocno dotknięty, wyzwie mnie na pojedynek, opowiedziałem Karwickiemu moje zatargi z deputatem i uprosiłem go, ażeby na wypadek wyzwania był moim sekundantem, zastrzegając tylko, że rozprawa nasza ma być na pistolety; a dostrzegłszy na stoliku przy jego łóżku najwyborniejsze kuchenerajterowskie, zamówiłem je sobie na jutro. Przespawszy noc spokojnie, czekam owej ósmej godziny. Nadjeżdża do mnie Stanisław Karwicki. Po przywitaniu mówi, że z przykrością spełnia obowiązek honorowy, włożony na niego przez Karola Pruszyńskiego... A ja mu przerywam zapytaniem: — Czy przywiozłeś od niego moje książki? — Nie dał mi żadnych. — To pozwól, abyśmy zajrzeli do zegarka. — Patrz, już wpół do dziewiątej; a ja powiedziałem dość stanowczo pa-

nu Pruszyńskiemu na jego uwłaczające mi słowa, że jeśli dziś rano o ósmej nie odda mi moich książek, to nazwę go łajdakiem. Przebac mi to!—Ależ zmiłuj się, o taką bagatelę życie ryzykować!—Kiedy on mnie mocno obraził głupią impozycją bogactwa swego, chcąc mnie zbyć pieniędzmi, a nadto zbyt wyniosłym tonem przemawiając do mnie.

Krótko z tem skończyć. Przewidywałem, że mnie wyzwie, przeto proszę cię, ażebyś o czasie i miejscu mojej rozprawy z panem Pruszyńskim raczył pomówić z bratem swoim Wincentym, który przyrzekł być moim sekundantem. — Widocznie spostrzegłem zmieszanie się Stanisława Karwickiego ztąd, że mnie widzi niezachwianego, a może i dlatego, że z bratem jego wpłatał się do tej sprawy. Pożegnał mnie i odjechał z niczem. Pruszyński pewnie myślał, że ja, zastraszony pojedynkiem, gotów będę przez sekundanta przeproszać go. Czekam daremnie, nie wychodząc z mieszkania przez dzień cały. Nazajutrz rano udaję się do Wincentego Karwickiego. Żyd, u którego on miał stancję, powiedział mi, że ten pan odjechał wczoraj przed południem z bratem swoim do Karpowic. Waham się, co mam robić? Czekam jednak do wieczora. Na trzeci dzień uderzam do przyjaciela mego Eligiego Piotrowskiego, który był wówczas deputatem departamentu cywilnego. Opowiadam mu cały wypadek i szukam jego rady. Nie chcę bowiem odjeżdżać, ażeby Pruszyński nie rozgłosił, jakoby ja zemknął, ale obok tego przedstawiłem mu konieczną potrzebę powrotu do domu. Poczciwy mój, do swej śmierci zacny przyjaciel, liczne w gubernii miał stosunki, a wówczas właśnie dla jakiegoś celu rządowego był tam zjazd marszałków i kilku znakomitszych obywateli; wysłuchawszy przeto mojej sprawy, tak doradził: — Zaczekaj do jutra. Ja dziś wieczorem zbiorę u siebie sąd honorowy, który wskaże, jak masz postąpić. — Jakoż nazajutrz, gdy zrana byłem u niego, uspokoił mnie tem: — Karwicz obadwaj

umknęli, bo Stanisław czuł pewnie brak słuszności ze strony fanfaronu Pruszyńskiego. Zdecydowano, ażebyś bezpiecznie wracał do domu, a Gracyan Lenkiewicz bierze na siebie załatwić zakończenie zatargu. — Wracam spokojny do domu.

Po dwóch dniach, gdy wieczorem sam na sam z kochanym ojcem gramy w rumel-pikię, wchodzi Żyd, posłaniec z Żytomierza, z paczką w ręku. Na adresie poznałem rękę zacnej duszy Eligiego; przy moich książkach w paczce znajduję list jego. Pisze mi, że Pruszyński, dobrze przyparty, że wstydem przyznał się do winy przed Lenkiewiczem, że moje książki darował był pannie Chinczównie (którą, mówiąc w nawiasie, bałamucili); a przeto, że odebrane od niej książki zwraca i zrzeka się w tej sprawie jakiegobądź honorowej satysfakcyi. Podpis mój na książkach znalazłem podskrobany. Zataiłem przed ojcem moim zajście z Pruszyńskim, ale w następnym 1814 roku na wyborach, wyjaśniło się to przed nim, lecz jakim sposobem, nadmienię pod tą datą.

Raz będąc w Wołczyńcu, żadnych nie zastałem gości, a panny zajęte były dobroczynnym uczynkiem, skubaniem szarpi dla szpitali. Gdy po obiedzie wyszły na chwilę z salonu, podkomorzyna, pozostawszy ze mną, zapytała: — Czy wiesz z czego te szarpie robi robaczek? — Nie zgadnę, rzekłem. — Ona bierze trochę strzępów z miejsca, przy którym Józia siedziała, oddaje do rąk moich i uśmiechnięta, rzecze: — Weź to na pamiątkę, bo to z jej koszulki. — O! z jakimże uniesieniem radości ucałowałem i jej rękę i tę szczyptę szarpi. Zachowały się dotąd ślady laku w sztabuchu moim, gdzie pomiędzy sklejonymi jego kartkami tę drogą pamiątkę chowałem. Wówczas to w tejże czerwonej mojej księdze panna Teofila, niby mi życzliwa, raczyła jakieś francuskie wiersze napisać, i z jej zapewne rady i wyboru, kazała Józii z jakiegoś autora francuskiego wpisać wierszyk o zaletach przyjaźni z potępieniem uczuć niestalej miłości. Mam

to wszystko w tym moim sztambuchu od lat sześćdziesięciu.

Bawiąc tam wtenczas przez dwa dni, nadmienilem, jak łatwo z czarnego marmuru dają się wyrzynać pieczętki z jakimś godłem lub też z napisem wkoło i że taką udało mi się zrobić dla mojej siostry. Panny Zaleskie, jedna po drugiej, prosiły o takie pieczętki i podały myśl do nich. Najstarsza panna Tekla, wyrysowała sosnę z napisem: *Le temps ne me change pas*; młodsza Teofila, drzewo zeschle, otoczone żywym powojem, z napisem: *Même sa*

Même sa mort ne m'en sépare pas; Józia siedziała nad nieskończonym jeszcze rysunkiem bukietu pansetek, a napis już był gotowy: *A, qui les fait naître*. Jej ćwiarteczka z rysunkiem leżała przed nią na stole, ciągle coś poprawiała w pansetkach; dostrzegłem, że często ust swoich dotyka ołówkiem. A więc proszę ją, aby i mnie dozwoliła dodać ze dwa listki; biorę jej ołówek. O! młodości! po coś mi uleciała tak prędko! Kładę go do ust moich i byłem w raju! Z tym ołówkiem żal mi się pożegnać! Ona mnie ocknęła: „Niech pan rysuje, bo jeszcze mam coś dodać.“ I zaledwie wzięła go w rękę, znów ust dotyka... W lat 50 potem nadmienilem o tym pocałunku ołówkowym w wierszu p. t. „Rozpamiętywanie starca“, który tu przywodzę:

I.

Ona! ten anioł! już w grobie!
Grób otwarto na kobiercu!
Bo przysięga przeciw sobie,
Bo był ktoś inny w jej sercu!

II.

Ona! ten anioł! już w grobie!
A czas mych uczuć nie zmienia:
Bóg dozwolił, by po sobie
Złała mi wieczne wspomnienia!

III.

Na dobry dzień w każdy rane,
Jej rzut oka dotąd pieszczę,
A z wieczornych pogadanek,
Każdy jej wyraz tkwi jeszcze.

IV.

Raz usiadłem przy stoliku,
Gdzie kreśliła sobie kwiatek;
I koleją, a bez liku,
Kładziemy listki w dodatek.

V.

Pali wzmianka!... sekret święty!...
Usta dziś na to niemiej!...
Jej ołówek w ustach tknięty,
Latał do moich koleja!...

VI.

Pół wieku już będzie temu,
Dzieli nas kamień grobowy;
A ogniem jest sercu memu
Pocałunek ołówkowy!

VII.

Pięćdziesiąty rok upływa,
Jam się otoczył wnukami;
A ona dziś jakby żywa,
Czułem wejrzeniem w snach mamil...

Wpisując te wierszyki, żal mnie mocny przejął, żal do ludzi, którzy tak niegodnie sponiewierali jej i moją młodość. Wierzę w nieśmiertelność duszy, i ztąd pewny jestem, że ich dręczy dziś wspomnienie losu, jaki ona za ich sprawą przetrwała na ziemi; dręczy ich może i boleść moja nad nią. Był potem mały odwet, najniewinniej przezemnie sprawiony, ale o tem w porze właściwej nadmienię.

Aby przerwać tak smutne marzenia, przejdę do wesołych krotchwilek z moich lat wiosennych. Nie pomnę, kto mnie nauczył kabały, która nie tylko mocno zajmowała, ale nawet ściągała podziw i nieuków i uczonych. Mówiono mi, że tą kabałą rozciekawiał niegdyś Tadeusza Czackiego przyjaciel jego, obywatel gubernii kijowskiej, p. Szymanowski. Córka jego, marszałkowa Rościszewska, Szymanowska z domu, jako naoczny świadek usilnej a daremnej próby Czackiego, aby mu jej ojciec odkrył tajemnicę, mówiła mi o tem. Każdy z rozsądnych żartuje z odgadowań przyszłości przez jakąbądź kabałę. Z tem wszystkim Marya Lenormand cieszyła się sławą europejską: dwory monarsze udawały się do niej. Ona w czasie najwyższej potęgi Napoleona I przepowiedziała rychły jego upadek, a tryumf legitymistów. Zdaje się, iż najsluszniej wypada przypuścić, że ta wróżka była jasnovidząca. Ale z pospolitych kabałistek lubo żartujemy, przecież nie można zaprzeczyć, że pociąg do badań o przyszłość, choćby z kombinacji politycznych, jest nam wrodzoną słabością. Niepodobniśmy z tego względu do zwierząt domowych, które spokojnie się tuczą wcale nie ciekawe, czy nie pod nóż rzeźnika. Moja kabała ma pozór mistycyzmu. Ktoś ciekawy układa sobie abecadło z rozmaitych znaków, temi podaje pytania jemu tylko wiadome, a ja, nie znając znaczenia tych hieroglifów, zasiadam nad niemi, z kombinacyi ich pomiędzy sobą, wyprowadzam rachunek algebraiczny i pod mojem piórem w oczach otaczających mnie składa się temież znakami niewiadoma dla mnie odpowiedź. Jedno tylko daję zastrzeżenie, aby w miejsce jakichbądź znaków, nie pisać numerów, bo niektóre liczby mogą tam wejść z rachunku w miejscu liter, jakich nie ma w zapytaniu, a w odpowiedzi, jeśli między hieroglifami znajdzie się jaki numer, ten oznaczać będzie literę, jaka w zwykłym jest porządku alfabetycznym, jako to: 3 znaczy literę *c*; 4 literę *d* i t. p.

Pierwszą zrobiłem próbę mojej biegoty w tej mistycznej kabale roku 1812, będąc z Kazimierzem Budyńskim w Staszówce u jego szwagra, czcigodnego Seweryna Bukara, który miał dwóch synów, a żadnej jeszcze córki, i tej bardzo sobie życzył. Zastaliśmy tam dla spodziewanej potrzeby akuszerkę znaną w całej okolicy, panią Kurczmińską z Lubaru. Wieczorem w familijnem kółku i ona swoje zajmowała miejsce, jako w dniach oczekiwania gościa wysokiego znaczenia. Bukar wśród rozmowy ze mną zapytał: „Czy to prawda, że tobie znana jest tajemnica hieroglificznej kabały, o której, w wojsku jeszcze będąc, słyszałem?” Prawda, że tajemnicę odkryto mi, ale wyznam ci, że sił swoich na to nie doświadczałem. „Spróbuj proszę! ja pójdę do mojej kancelaryi dla ułożenia alfabetu.” Niebawem wrócił z zapytaniem. Wobec wszystkich zrobiłem mój rachunek i na niewiadome zapytanie dałem odpowiedź. Gdy ją wziął do rąk, wówczas nam powiedział: „Kwestyę podałem w pani Kurczmińskiej: jakiego nam gościa przyniesie?” „Ah! — zawołała — toż to rzecz ciekawa! Ależ to Bogu tylko wiadomo!” Bukar dobywa z zanadru swój alfabet, aby dojść, jaka jest odpowiedź, i potem głośno rad nadzwyczaj czytał:

Czego nigdy nie zgadła akuszerka żadna,
Kabała przepowiada: będzie córka ładna!

Ucieszyła wszystkich ta wyrocznia; lecz nazajutrz, gdy istotnie Bóg im dał upragnioną córkę, Kurczmińska przyznawała mi duch wieszczu i taką wiarę pokładała w mej kabale, że podwakroć nasyłała mi w interesach swoich badania, na które odpisywałem, że wieszczu mój duch zasnął. Klotylda Bukarówna była istotnie ładną brunetką. Wyszła za Władysława Bernatowicza i dwa lata temu, jak mieszkając na Podolu około Baru, tam życie skończyła.

Zbiórę z pamięci, o ile w niej zatrzymała się, tryumfy mojej kabaly i z późniejszej daty. Gdy od pierwszych dni stycznia 1820 przez trzy lata ciągle mieszkalem w Krzemieńcu, w tym natenczas *petit Paris*, byłem raz w towarzystwie samych kobiet, gdzie obok poważnych matron, były też ozdoby i pociechy rodu ludzkiego z rozwitemi powaby przy darach serca i umysłu. Pomiędzy tym kwiatem najwięcej jaśniała panna A. K. Lecz dla mnie, powagą urzędu zaszczyconego, były to marne przynęty; serce, raz doznawszy zawodu, było jakby martwe. Do miasta przybyła jakaś wiekowa z za granicy Niemka, która udając Sybillę, znaczne osiągała korzyści. Ztąd jedna z dam starszych wspomniała o słyszanej kiedyś hieroglificznej kabale, jako o sztuce mało komu znanej i dziś pono już zatraconej. Na to ważylem odezwać się: Rzecz budząca ciekawość ludzką, czasem jakby pożyteczna, przechodzi w następne pokolenia, i dlatego nie da się zatracić; ja sam w młodszych latach udawałem kapłana tej sztuki. Wnet wszystkie razem zaczęły tak silnie nalegać, żem odmówić nie mógł. Pannę A. K. wezwano do ułożenia alfabetu, która w drugim pokoju rysując rozmaite hieroglify, tam pisała niemi pytanie, którego ani się mógł domyślić w towarzystwie dam niedawno mówiących o ostatnim balu i strojach. Wraca panna A. K. z ułożeniem już zapytaniem i prosi, aby wolno jej było patrzeć na moje algebriczne działanie. Chętnie zezwoliłem na to. Usiedliśmy za stolikiem naprzeciw siebie. I nie więcej, jak w pięć minut, odpowiedź była gotową, a do rąk panny A. K. oddałem ją. Wówczas jedna z dam odezwała się: „Gdy pan już nam odpowiedział, przeto możemy odkryć zapytanie, którego po kobietach, bzdurzących o balu i strojach, pewnie spodziewać się nie mogłeś. Oto byliśmy ciekawe dowiedzieć się, jakie będzie powodzenie zamierzonej wojny z Turcyą o wyswobodzenie Grecyi.” Ja równie ciekawy jestem odpowiedzi

w kwestyi, rzekłem, zajmującej dziś całą Europę. Tymczasem panna A. K. dobyła z za gorsu swój alfabet i wyszła znów do drugiego pokoju, aby tam samotnie bez żadnej przeszkody odcyfrować moją odpowiedź, jej własnymi znakami napisaną. Długo tam zatrzymała się, a towarzystwo szczebiotliwe zapomniało i o niej, i o mojej kabale. Nakoniec wraca, i nic nikomu nie mówiąc, cichutko miejsce swoje zasiada. Nieprędko pani marszałkowa S., z którą ona tam przybyła, ocknąwszy towarzystwo z zapomnienia, odezwała się: „Antosiu! Jakaż jest odpowiedź?” Omyłka zająć musiała w rachunkach, bo tej odpowiedzi nikt nie zrozumie. I mówiąc to, mocno się rumieniła. A więc wszystkie razem nalegały, aby im oddała moją wyrocznię. Pani S., powstawszy, gwałtem odebrała ją od niej i czyta:

Potężna północ z zachodem,
Święte przymierze stanowi,
Z niewiernym walczyć narodem,
I wrócić wolność wschodowi.

Tam tyranów dotknie kara,
Tu miłości niepokoję;
Jedną wojnę wznieci wiara,
A drugą spojrzenie twoje.

Nie dbałem o to zupełnie, jakie z tej odpowiedzi wnioski roić sobie będzie panna Antonina K. i obecni w tem towarzystwie; Bogiem tylko świadczę się, że do serca tej panny wcale nie pukałem. A co ztąd wynikło, powiem pod rokiem 1840, jeśli dożyję. Na starość dopiero poznałem tę prawdę, że człowiek, zdolny jeszcze zająć kobietę, nie powinien żartować z drażliwością nerwów młodziutkiej panienki.

Później, gdym mieszkał na Podolu we wsi Czezelówce, trzymanej za kontraktem arendowym od gubernatora Giżyckiego, przybyłem odwiedzić kochanego ojca; przy mnie nadjechał do niego mój

bardzo życzliwy Seweryn Bukar w jednej karecie z wdową panią S., przybyłą z Galicyi, a krewną Budzyńskich, która, objeżdżając domy rodzinne, zaczęła tę pielgrzymkę od wdowca Bukara, któremu niedawno żona, Budzyńska z domu, umarła. Pani S., pomimo swoich lat 56, dosyć na zdrowiu czerstwa i rumiana, a jak starzy mówili, że lat temu 30 głośną była pięknoscia, teraz bardzo widoczną objawiała skłonność do powtórzenia z wdowcem Bukarem matrymonialnych związków. Po dwóch dniach od czasu ich przybycia do mojego ojca, Bukar opowiedział przed nią, jak niegdyś kabala moja trafnie przepowiedziała mu córkę. Pani S. z najśladszym przypomieniem uprosiła mnie, abym na jej zapytanie raczył dać wyrachowaną odpowiedź. Zasiadła sama do ułożenia alfabetu pewnemi, jej tylko wiadomemi znakami, i waha się jeszcze, jak ma powierzyć najdroższą sercu tajemnicę. Bukar, dostrzegłszy to, upewnił ją, że nie mając jej alfabetu, nikt nie przeczyta zapytania, że na koniec można w zapytaniu pomieścić taki ogólnik, z którego nie objawi się tajna myśl pani: „A więc dobrze, pójdę za radą pana.“ I oto na jej zapytanie odpowiedź:

Na wschód przy domku posadź dwie żółędzie;
Za lat trzydzieści dwa dębczaki będzie.
Pierwszego lipca, o wieczornej dobie,
W cieniu tych drzewek siadź i dumaj sobie.
Gdy snem najśladszym skleję się powieka,
Sen ci opowie, jaki cię los czeka.

„O niegodziwa kabala!—zawołała pani S.—Ja badam, czego mam się spodziewać teraz w moich zamysłach, a ona mi na to przyrzeka odpowiedź we śnie i to po latach trzydziestu. Gdybym nawet dożyła tej starości, to bez łaski kabaly wiedzieć będę, że grób mnie tylko czeka.“ Mój ojciec, Bukar i moje siostry, słowem wszyscy, nie mogliśmy powstrzymać serdecznego śmiechu.

W lat dwadzieścia potem, bawiąc w roku 1843 dni kilka w Żytomierzu, bywałem na wieczorach u marszałka gubernialnego, który z żoną tam mieszkał. Raz tam zastałem dość liczne towarzystwo, gdzie znajdowała się siostra gospodarza, wdowa marszałkowa Z. z dwiema pięknymi córkami i z synem lat młodzieńczych, którego nazajutrz miała wyprawić do stolicy, gdzie miał być umieszczony w korpusie pażów. Ta wdowa z powiatu owruckiego nie była mi znana, równie jak i jej dzieci, a nawet nie wiedziałem, że ona ma i trzecią córkę imieniem Herminie, która wówczas bawiła w domu rodzinnym. Owymi dniami przybyła też do Żytomierza wróżka, rodem z Anglii, mówiąca po francusku, którą i ja w towarzystwie dwóch innych byłem ciekaw poznać. A gdy u marszałka mówiono o niej, przywołałem balamuctwo jej odpowiedzi na zapytanie, rzucione dla próby: jaka była najstraszniejsza chwila w życiu mojem? Ona, spojrzawszy na czerwoną wstążeczkę w butonierce mojej, co ją wprowadziło w mniemanie, że mam krzyż legii honorowej, a potem, wpatrzywszy się w horoskopy, leżące przed nią, jakby mapa obrotu ciał niebieskich, rzekła mi tonem powagi: „Dzień najstraszniejszy dla pana był pod Lipskiem, kiedy wasz książę Józef tonął.“ Śmialem się z Angielki, a obecna na tym wieczorze panna Kondracka, dobrze mi znajoma, bo jej rodzice byli sąsiadami mojego ojca, odezwała się na to: „Kabala pana daleko jest trafniejszą, jak mi opowiadały siostry jego o danej odpowiedzi wdowie pani S.“ Tu pani marszałkowa Z., którą teraz dopiero poznałem, z nieśmiałością prosi, abym wyrachował odpowiedź na jej tajemne zapytanie. Otoczyły mnie damy i sam gospodarz, tak usilnie nalegając, że trudno mi było odmówić. Wówczas to marszałkowa Rościszewska, Szymanowska z domu, opowiadała, że ojciec jej dziwił tą kabalą Tadeusza Czackiego, i lubo w przyjaźni żyli z sobą, nie chciał mu objawić tajemnicy tej

sztuki. Ja, lubo zajęty rachunkiem nad kwestyą wdowy pani Z., otoczony przy stoliku damami, słyszając niektórych szepty o projektach podawania mi pytań. Unikając tej pracy rachunkowej, oddałem pani Z. odpowiedź, za którą wszyscy ciekawością zdjęci odeszli, a ja nieznacznie wymknąłem się z salonu, nie czekając nawet na odcyfrowanie mojej odpowiedzi. Nazajutrz miałem odjechać do domu. Lecz za ledwie wypiliśmy kawę poranną, wchodzi do mnie s. p. Józef Cieszkowski i rzecze: „Ach! co pan narobiłeś swoją kabałą! Pani Z., odcyfrowawszy odpowiedź, płakała.” Jakto? rzekłem, może smutna przepowiednia o synu, którego dziś ma wyprawić do stolicy? „Czyliż pan nie wie?” Zkądże mam wiedzieć, kiedy nie znam hieroglifów jej alfabetu? Słuchajże pan. Ona zapytała, jaki los będzie jej trzeciej córki, Herminii, której tu niema. Odpowiedź pana przepisałem sobie, oto ona jest:

Człowiek swój los, jak pajak nić, wysnuwa z siebie.
Drzewo szczęścia tu rośnie, a owoce w niebie;
Lecz kwiat jego, bojaźnią Bożą wykarmiony,
Da uczuć twej Hermince raj matki, raj żony!

Ta odpowiedź rozrzewniła matkę, a ja nie mogłem zataić uśmiechu, gdy ona, płacząc z radości, powiedziała: „I jeszcze tak spieścił moją Herminkę!”

W blizkiem sąsiedztwie moich rodziców, o dwie wiorsty, we wsi Romanówce, mieszkał baron Brykman. Rozmaicie mówiono o jego pochodzeniu, szepotano nawet, że był synem bogatego w Warszawie blacharza. Staranne wychowanie, jakie tam odebrał w konwiktach u Teatynów, gdzie ścisłą zabrał przyjaźń z synem jednego z magnatów i po skończonych naukach odbył z nim podróż po całej prawie Europie, dało mu swobodny dostęp do wyższego świata. Umiął też niepospolicie odgrywać rolę arystokraty, lubo fundusze jego w kapitale musiały być szczupłe. Senator hr. Iliński lubił go i pozwolił mu w ma-

jątku swoim, w Romanowie, mieszkać, gdzie przy pięknym ogrodzie z parkiem był dom dość wygodny. W sąsiedztwie wiadano, że on się kochał w siostrze senatora, wdowie Zabierzewskiej, która posiadając w Galicyi pięć wiosek, ciągle we Lwowie mieszkała. Brykman mógł się podobać, był bardzo przystojny, ujmujących obyczajów, a przytem biegły w kilku językach, posiadał talent uczonego przy fortepianie śpiewu. Na balach w Romanowie widywałem go zwykle w paśowym mundurze maltańskim z orderem bawarskim na szyi. Za co ten znak zasługi mógł otrzymać, nie śmiało go nikt o to zapytać. Rzadko nawiedzał sąsiadów, lecz poważając mego ojca, dość często bywał u nas. Gdy raz na wiosnę w dzień pogodny przyszedłem do niego, rad, jak zawsze, przywitał mnie, lecz za ledwie zaczęliśmy rozmawiać, wszedł ogrodnik z zapytaniem, gdzie ma rozsadzić kwiaty, które mu z sąsiedztwa przysłano?

On daje na to polecenie, a w końcu rzecze: „Daruj mi, kochany Szymonie! On mi tam sympatyę popsuje; opuszczę cię na chwilę, ale się nie znużysz. Oto są dwa listy z rozmaitym datą, które wczoraj wieczorem przywieziono mi z poczty w przedmiocie politycznym z za granicy; zabaw się tymczasem czytaniem ich, a pewnie cię zajmą”. To powiedziawszy, schwycił ze stolika jakąś ściwkę zapisaną, która przy wyjętych z kopert listach leżała, schował ją do kantorka i wyszedł z ogrodnikiem. Polityka z owych czasach była bardzo zajmująca, bo kiedyż ona była inną dla nas, karmionych zawsze nadzieją? Chwytałem owe listy... zdziwiony, poznając że one należą do mojego fachu. Uśmiechnąłem się, pomyślałem na ową ściwkę tak skrętnie schowaną do kantorka. Był to pewnie klucz dla odczytania listu od kochanki, bo gdyby to było w rzeczy, kraj nasz interesującej, to powinien był zostawić mi ów tajemniczy alfabet. Jakoż rzuciwszy uwagę na początek jednego z listów, zaraz przekonałem się o pra-

wdzie mego domysłu. Data ze Lwowa, gdzie pani Zabierzewska mieszkała. Łatwo doszedłem od nici do kłębka. Oba listy tchnęły najżywszem uczuciem stęsknionej miłości. Zdaje się, że biedaczka wdowa miała wzór przed sobą w listach Nowoj Heloizy. Gdy byłem ku końcowi drugiego listu, nadchodzi z ogrodu Brykman, widzi mój uśmiech nad tym listem i pyta: „A prawda, żeś się ubawił?” — Dziękuję ci za twoją ufność we mnie — rzekłem mu — i bądź spokojny: tajemnicy przed nikim nie wydam. — „Oho! już jakieś domysły!” — Abym cię przekonał, że nie domysły tylko, to będę głośno ten śliczny list deklamował. — I zacząłem mu go czytać. Wyrwa mi z rąk tę korespondencję i biegnie do kantorka żarzyć, czy tam klucz schował, a znalazłszy tam schowaną ćwiartkę, zbliża się do mnie zdziwiony i woła: „Szymonie! powiedz mi, czy ty masz dyabła przy sobie?” — Nie dyabła — przerywam — ale przyjaźń dla ciebie, która nakazuje cię ostrzedz, że wszystkie podobne hieroglify dają się łatwo rozwiązać. Ja ci wskażę pewniejszy sposób tajnej korespondencji. Oto weź dwie ćwiartki papieru tej wielkości, jakie są używane zwykle do listów, połóż jedną na drugiej; poliniuj wierzchnią i w rozmaitych odstępach na tych liniach powyrzynaj scyzorykiem dziurki, tak, aby obie ćwiartki zarówno były podziurawione. Jedną z nich zostaw u siebie, a drugą jej odesłaj. Gdy będziesz miał pisać do niej, połóż na listowym papierze ową podziurawioną ćwiartkę i w każdej dziurce pisz zwykle litery, gdy skończysz swój list, zdejm dziurawą ćwiartkę i pomiędzy napisane przez dziurki litery, pododawaj te same wielkości i tem samem piórem jakie zechcesz litery tegoż pospolitego alfabetu i daj to czytać najbłędszemu w dociekaniu tajemnic, a pewnie, choćby miał dyabła przy sobie, nic nie wyczyta. Osoba zaś, do której list zaadresujesz, odebrawszy go, połóż na nim swoją dziurawą ćwiartkę; przestanki pomiędzy dziurkami zasło-

nią dla niej niepotrzebne litery jakie po napisaniu listu dodałeś a przez dziurki czytać będzie twój cały list. Na to rzucił mi się w objęcia i serdecznie uściskał. — „O! jakże ci wdzięczny jestem za tę informację! Mam do niej pisać, a więc proszę, nie traćmy czasu, zróbmy zaraz owe dziurki w dwóch ćwiartkach, jedną z nich dla niej przylączę do mojego listu. Ale ktoż cię nauczył odcyfrowywać rozmaite znaki w miejscu liter i używać do tajnej korespondencji tych dziurawych kartek?” — Tobie powiem, lecz z warunkiem, abyś tego nikomu nie objawił, bo ten, co mnie nauczył, prosił, aby nie rozgłaszać, że on umie odcyfrowywać tajne korespondencje; nie wiem, czy go znasz: jest to szambelan, poczciwy Zwierzchowski. — „O! znam go! jego córki kształciły się w Puławach pod okiem Księżnej Generałowej Ziemi Podolskich.” I natychmiast wzięliśmy się do dziurawienia dwóch ćwiartek po liniach zrobionych ołówkiem na położonej zwierzchu, czyli raczej ja sam wziąłem się do tej roboty, aby szczęściu dwojga kochanków czemkolwiek dopomóc. Ale we własnych szalach miłosnych znikąd nie miałem pomocy i wsparcia.

Będąc w Wołyńcu, przywiozłem pannom marmurowe pieczętki, dość szczęśliwie przezemnie wypracowane, z podanemi na to godłami i napisem. Wówczas, wieczorem, będąc sam na sam z panną Bierzyńską przy tortepianie, oddałem jej moje tłumaczenie wierszem Pigmaliona z Jana Jakóba Rousseau z dedykacją do niej. Skryła natychmiast zarumieniona mój zeszyt wewnątrz tortepianu, zdało się jakby na to, aby która z ciotek nie dostrzegła go. Całe tłumaczenie moje zaginęło u mnie w brulionie, a w pamięci pozostał tylko wiersz do niej następny:

Ty, coś wznieciła miłość bez nadziei,
Dla której ogniem dusza moja płonie!

Poznaj swe wdzięki w cudnej Galatei,
A moje tylko serce w Pigmalionie!
Tu ci wzór dają niebo mu łaskawsze:
On ocknął kamień.... tyś kamieniem zawszel

Może kto inny zwodniczym obrazem
Łudząc niewinność, duszę twą porywa;
Ach! łatwo znajdziesz połączone razem
Wszystkie przymioty, na jakich mnie zbywa;
Lecz wspomnisz kiedyś!... W tych przymiotów tłumie,
Nie będzie serca, co się kochać umiel...

Anielskie a biedne dziewczę sierota! Czegoż wymagałem po niej? Czyliż na dowód jej wzajemności mogłem oczekiwać, aby mi się rzuciła na szyję? O! ciemnoto moich lat młodych! Nie dość było ci cho poprzestać na wyłącznych dla mnie jej grzecznościach, gdy innym sześciu, równie jak ja młodym, ale darami natury i losu hojnie wyposażonym, dość jawną przy mnie okazywała obojętność? Wzdychał do niej bogaty Teodor Ryłski, Antoni Sobański, Sylwester Załęski, Franciszek Charleński, Paweł Abramowicz i Mikołaj Przyłuski, z którymi tam raz niespodzianie zjechawszy się, patrzyłem na nią, jak Tantal śród wody, która przed nim umyka, ile razy chciał ją pragnienie ugasić. Ona wówczas, w takim towarzystwie nadskakujących jej, stojąc przy mnie we framudze okna, przytłumionym swoim głosem zapytała: „Powiedz pan! dlaczego pomiędzy tak wesołymi pan jeden jesteś zawsze smutny?” Z gorzkim uśmiechem powiedziałem jej: — Bom ja tu jeden tylko niepewny siebie! bo ja tylko jeden widzę jasno, jak mi daleko do serca pani! — „Pan zawsze w tym względzie mylisz się: wszyscy tu panu sprzyjamy”. I jakby także zasmucona, spuściła oczy i cichutko westchnęła.

W roku 1814 w czerwcu, ciotka moja, Budzyńska z Wygnanki, umyśliła być w Berdyczowie na onufrejskim jarmarku i wzięła z sobą dla towarzystwa moja młodszą siostrę Katarzynę. Tam będąc

w teatrze, ujrzała w łoży obok swojej panią podkomorzynę Zaleską z pannami. Jako znajome sobie, powitały się staruszki i nazajutrz pani Zalewska, pragnąca najbliższych z tym domem stosunków, a to dla Teofili, w której Kazimierz, lubo zawsze ostrożnie, gustował, wizytowała panią Budzyńską na jej kwaterze. Siostra moja po raz pierwszy z tem całem towarzystwem zabrała znajomość. Bierzyńska objawiła jej naprzód swój domysł, z pierwszego na nią spojrzenia w teatrze, iż ona niezawodnie jest moją siostrą, a to z wielkiego do mnie podobieństwa. Nasze z wiejskiem choćby najstaranniejszem, wychowaniem panny, mają dusze prawie na dłoni i jeśli tylko objawi się wzajemna sympatya, dość na to godziny, aby się spoufaliły. Odszedłszy na stronę, rade obie rozmawiały z sobą i w ciągu rozmowy, dobra Józia po dwakroć całowała ją, powtarzając cicho: „Ach, jak ty jesteś podobna do brata”. Kobiety ten swój język zawsze dobrze rozumieją. Moja siostra, korzystając z tej chwili, powiedziała jej: „Ja nigdy nie miałam przyjemności widzieć cię, a już cię uwielbiałam od trzech lat z opowiadań brata mego, który, zawsze tobą zachwycony, słusznie cię nazywa aniołem!” Tu znów powtarzały się uściski i serdeczne całowania, które położyły pieczęć trafnemu domysłowi mej siostry, że Bierzyńska najmocniej mi sprzyja. Po powrocie z Berdyczowa, opowiadała mi z tryumfem odgadnięcie serca Józii. A siostra starsza odezwała się na to: „Ja mówiłam, że ona sercem mogła przyłgnąć do niego; ale powtarzam wam zawsze, iż boleję nad przyszłością ich obojga; bo familia, a mianowicie opiekun jej majątku, nie będzie zważał na pocziwską skłonność sieroty, i wydadzą ją za jakiegoś bogacza, jak gdyby w niej serca nie było”. To zdanie siostry mojej starszej było najtrafniejsze i jej przepowiednia sprawdziła się ku nieszczęściu mojej drogiej Józii!

W tymże 1814 roku dnia 4 lipca, oprócz kre-

wnych i sąsiadów, zjechało się kilku obywateli tak na imieniny mojego ojca, jako też dla narady, kto ma być wybrany na gubernialnego marszałka. Mój ojciec listami do niektórych z familii mieszkających w powiecie Łuckim, Włodzimierskim i Rowieńskim, uprzedził już wprzód, że na ten urząd ma podać kandydata, który w zdarzeniu potrzeby gubernii może wpływać swemi dopomóżdż w stolicy. Powszechnie wiadano, że oskarżony Komburlej o rozmaite jego podwładnych nadużycia już nie będzie naszym gubernatorem, a przynajmniej tak wnioskowano. I rojono też sobie, że ten od korony urząd dostanie się generałowi Bartłomiejowi Giżyckiemu, który za urlopem siedział w swojej wsi Mołoczkach. Te wieści pewnie opierały się na tajnych o to staraniach, a po powiatach przechodziły z ust do ust, jakby niezawodne. Lecz gubernia chce Giżyckiego mieć wprzód marszałkiem gubernialnym; idzie tylko o dodanie mu kandydata, który wtenczas ma wejść w jego urząd, gdy on istotnie zostanie gubernatorem. Na tym u nas zjeździe ojciec zaproponował na kandydata starszego syna senatora Ilińskiego, pana hrabiego Henryka, który, jak w naszym powiecie umówiono się, ma być obrany na marszałka zwichelskiego. Skoro Giżycki zostanie gubernatorem, a Henryk Iliński, jako kandydat, zajmie jego miejsce, interesa gubernii ku naszemu dobru najzgodniej załatwiać się będą, bo Giżycki ożeniony jest z ciotką pana Henryka. Jeden z gości ozwał się: — „Ależ podobno ten młody pan hrabia, wychowany w stolicy przez Francuzów, nie umie, jak mi mówiono, i dwóch słów porządnie złożyć po polsku“. — Nie wierzcie temu — rzekł mój ojciec. — Poznacie go na wyborach; dobry on Polak, jak każdy z nas, co kontusz nosimy; a za jego uczciwość, ja ręczę. — O Giżyckim szepnął drugi: — „To generał rosyjski, przywykły, mospanie, trzymać w subordnacyi podkomendnych, czy uzna go Cesarz gubernatorem na miejscu Komburleja, jeszcze z pewnością nie

wiemy, lecz na gubernialnego marszałka czy nie będzie straszny?“ — Prawda — rzekł mój ojciec — że on ma żywy temperament, łatwo się oburza, ale wówczas tylko, kiedy jest dotknięty na honorze. Z żywości swego temperamentu złożył dowód w oczach moich przy obiedzie u senatora Ilińskiego, z którego siostrą on jest ożeniony. Senator miał stryja Jana, starostę cudnowieckiego i skarżynieckiego; te dwa starostwa były mu nadane od rzeczypospolitej prawem dożywotniem, zamiast pewnej sumy ich przodkowi należnej; oprócz tego pan starosta posiadał dziedzictwem tu blisko mnie wieś Romanówkę i w lasach klucza Kureński; co spadło, jako po bezdzietnym, na jedyne go synowca jego, senatora. Z tym nieboszczykiem starostą byłem w zażyłych stosunkach i nieraz w lasach kureńskich, gdzie on dojeżdżał niekiedy ze Skarżyniec, polowaliśmy z sobą, do czego osobiście wzywał mnie tu, bywając u mnie. Był to człowiek zacny, nosił się po naszymu, ale do wyższego towarzystwa wcale nieusposobiony.

Co do mnie, przy zbliżających się w 1814 roku wyborach już wiedziałem z ust kochanego ojca, że życzy on sobie, abym jeszcze na trzy lata był obrany podsędkiem sądu ziemskiego. Lecz pomimo to, że ten dla mnie urząd był bolesną męką w miasteczku Zwiąhlu, pragnąłem wyrwać się z domu i zamieszkać jak najdalej od Wolczyńca, aby daremną nie łudzić się nadzieją.

Już miałem rok 24-ty. Po szalach stałej miłości przez lat cztery przyszła nakoniec rozważa. Brat mój starszy, ś. p. Antoni, nie zważając na uwagi ojcowskie, starał się uparcie o rękę najstarszej córki chorążego łuckiego, Rocha Teleżyńskiego, panny Ksawery. Teleżyński posiadał wprawdzie dwie piękne wioski, ale pojezuickie, z których opłacał corocznie do *kaznaczejstwa* dziewięć tysięcy złotych; i na to był syn i cztery córki, a w dodatku, wojna 1812 roku okropnie zniszczyła te wio-

ski, i dziedzic ich, z przyczyny podejrzeń o patryotyzm, ciężkie na mieniu swoim poniósł nieodzyskane straty; ztąd po córkach Teleżyńskiego, żaden prawie posażek nie był spodziewany. Rozmyślałem nad tem, że gdybym cudem jakim, nawet miał szczęście otrzymać rękę panny Bierzyńskiej, gdzie ją poprowadzę? W położeniu mojem, wypada na to wziąć jakąś dzierżawę; a kochanym rodzicom dość będzie kłopotu, gdy brat mój ożeni się z Teleżyńską i zapotrzebuje posesyi. Gotowość na to w domu naszym niepodobna dla dwóch razem żeniących się synów. Raz gdy matka z mojami siostrami wyjechała do Wyszczukus odwiedzić siostrę swoją wdowę Wiktoryę Budzyńską, a ja zostałem sam-na-sam z ojcem, który wieczorem bawiąc się ze mną ulubioną mu grą w rumla, przywodził mi zaśłepienie mego brata Antoniego i żale na to, iż nie idzie za radą jego, aby w miejscu panny Ksawery, starał się o starszą córkę starosty o milę od nas, której ojciec, wdowiec podeszły, ma porządną wieś, a dwie tylko córki, na które spadnie wioska i po bezdzietnej staruszce stolnikowej ich ciotce; ta skarga jego, te ojcowskie żale tak mocno mnie przejęły, że mając w duszy stanowcze wyzwolenie się od drogich, lecz bolesnych kajdan, które mnie ciągnęły ku Bierzyńskiej, bez żadnego namysłu powiedziałem. — Jeśli połączenie się z tym domem, tak upragnione jest kochanemu ojcu, ja gotów jestem starać się o młodszą. — „Dobrze synu — rzekł mi — jeśli tylko masz skłonność ku niej; bo naprawdę rzekłszy, choć dobra dziewczyna, nie wykwinna i pięknie gra na fortepianie, ale nie jest ładna“. — Zamilkłem na to, a w myśli miałem to jedynie, że dogodzę kochanemu ojcu i przysięgą wierności wyzwolę się od nierozważnych marzeń o tamtej. Nazajutrz udałem się do pana starosty. Jako dobry sąsiad i przyjaciel mego ojca, powitał mnie najuprzejmiej. Bawiłem cały dzień. Może zdziwiłem pannę Salomeę, która z ojcem i siostrą często bywała u nas, a pierw-

szy raz dostrzegła moje głębokie wpatrywanie się w jej niebieskie oczy; one mnie wcale nie zachwyciły, tylko ciekawie badałem w nich, jaka będzie moja z nią przyszłość? Na grzeczną prośbę gospodarza, przyjąłem tam nocleg. Bawiąc dzień cały, ani jednym słowem nie dałem jeszcze pojąć moich tam zamiarów; a tymczasem struny u fortepianu pękały od silnych a biegłych uderzeń śród kolejnych sonat, mazurów, uwertur i t. d. Po nich nieprędko zasnąłem: brzmiały one w uszach, a w sercu i w głowie zamęt, który dał się przywieść do ładu, gdy w duszy Bogu i sobie powiedział: — Poniosę tę ofiarę dla kochanego ojca, a w nagrodę, będę miał pokój umarłych!...

K O N I E C.



203434



161944

DOTYCHCZAS WYSZŁY:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Powieści poetyckie**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 2, 3 i 4. Bolesławita. **Tufacze**, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Pługa*.
5. Gustaw Le Bon. **Psychologia rozwoju narodów**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowelle**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego**, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy*.
- 8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. **Dzieje Księstwa Warszawskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
11. Wiktor Gomulicki. **Cudna Mieszczka**, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
12. Jan Kochanowski. **Psalterz Dawidów**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perelka**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
17. Teodor Jeske-Choiński. **Stłumione Iskry**, powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
18. Juliusz Słowacki. **Poemata**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studjum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiego*.

Tom.

20. Maryan Gawalewicz. **Szkice i obrazki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi** (1815—1825), z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
- 22 i 23. Franciszek Wężyk. **Władysław Łokietek**, powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta*.
24. Roman Pleniewicz. **Kształcenie młodzieży** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. **Pojata, córka Lezdejki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
30. Julian Ochorowicz. **Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu**, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
31. Klemens Junosza. **Na zgłiszczach**, powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 32 i 33. Anna Potocka. **Pamiętniki**, tłmaczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
34. H. Lachambre i A. Machuron. **Wyprawa Andrée'go balonem do bieguna**, w przekładzie M. O., z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- 35 i 36. Berta baronowa Suttner. **Precz z orężem!** historia prawdziwa, obrobił Włodzimierz Trąpczyński, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
37. Fryderyk hr. Skarbek. **Pamiętniki Seglasy**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 38 i 39. Fridtjof Nansen. **Podróż do bieguna północnego**, w przekładzie i z przedmową *Stanisława Janiszewskiego*.
- 40, 41, 42. Wiktor Hugo. **Rok dziewięćdziesiąty trzeci**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
43. Klementyna z Tańskich Hofmanowa. **Dziennik Franciszki Krasińskiej**, z przedmową *T. Jeske-Choińskiego*.
44. Wiktor Biernacki. **Nowe dziedziny widma**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- 45 i 46. Hr. A. K. Tołstoj. **Książę Srebrny**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
47. Juliusz Słowacki. **Beniowski**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 48 i 49. Teodor Tomasz Jeż. **Szandor Kowacz**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
50. Adam Krechowicki. **Stella**.—**Tartówna**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
51. G. Krahmer. **Syberja i znaczenie wielkiej kolei Syberyjskiej**, w tłmacz. i z przedmową *Włódz. Trąpczyńskiego*.
- 52, 53, 54, 58. **Dzieje Narodu Polskiego**, z przedmową *Władysława Smoleńskiego*.



Tom.

55. Adolf Dygasiński. *Wilk, psy i ludzie*. — W puszczy, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 56, 57. Marek Twain. *Przygody Huck'a*, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
59. Pamiętniki Franciszka Karpińskiego, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 60, 61. J. I. Kraszewski. *Barani Kożuszek*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
62. Marya Rodziewiczówna. *Straszny Dziadunio*, z przedmową *Adama Pługa*.
- 63, 64, 65. Ludwik Gallet. *Kapitan Czart. — Przygody Cyrana de Bergerac*, przekład Gomulickiego, z przedm. *Święcickiego*.
- 66, 67. Oskar Mysing. *Berezyna*, w przekładzie i z przedmową *Włodzimierza Trąpczyńskiego*.
68. Konstanty Rengarten. *Pieszko do Chin*, w przekładzie Henryka Wernica, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
69. C. F. Gordon Cumming. *Życie w Chinach*, w przekładzie d-ra Wik. Wolskiego, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
70. Michał Bałucki. *Przekłute pieniądze*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 71, 72. Ferdynand Hoesick. *Miłość w życiu Zyg. Krasieńskiego*, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 73, 74. Kajetan Kraszewski. *Bartochowski*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 75, 76, 77, 78, 79, 80. Cervantes. *Don Kiszot*, w przekładzie W. Zakrzewskiego, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
81. Edmund Biernacki. *Istota i granice wiedzy lekarskiej*, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- 82, 83. Anna Neumanowa. *Obrazy z życia na Wschodzie*, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
84. Stanisław Grudziński. *Półpanek*, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 85, 86. Teod. Tom. Jeż. *Nad rzekami Babilonu*. Powieść.
87. Teodor Jeske-Choiński. *Historyczna powieść polska*. Studium krytyczno-literackie.
88. Włodzimierz Zagórski. *Wybór poezji*, z przedmową *Wiktora Gomulickiego*.
89. Pamiętniki Szymona Konopackiego, z przedmową *J. A. Święcickiego*.

